

Ulysses Moore

Ogród popiołu

Drodzy Koledzy Redakcyjni,

piszę do was ten list z dalekiego morza, ale nie pytajcie mnie z jakiego, bo byłoby mi bardzo trudno na to odpowiedzieć.

Sytuacja, krótko mówiąc, wygląda następująco: kilka osób podróżuje, a kilka innych ich poszukuje. Jest ktoś, kto jak wiecie, runął pechowo z mostu i zniknął. Ale gdy ktoś znika, na jego miejsce pojawia się ktoś inny. I to jest prawdziwa niespodzianka, zważywszy że ten ktoś był odcięty od świata, by tak rzec, przez dwanaście lat z górą.

Mam naprawdę zbyt mało czasu na wyjaśnienia: śpieszę się, by wysłać przez Internet ostatni rękopis podpisany przez Ulyssesa Moore'a, zanim będzie za późno. Jak zawsze, pozwoliłem sobie przetłumaczyć go i uzupełnić o brakujące fragmenty. Tu i owdzie znajdziecie w tekście moje uwagi zaznaczone gwiazdką (*).

Co do mnie i Freda Śpiczuwy, który mi tu towarzyszy, wyznam wam, że jesteśmy pogrążeni w niezwykle zajmującej lekturze, nawet jeśli trudno byłoby ją nazwać „miłą rozrywką”.

Nie mogę jeszcze niczego zdradzić, ale wiercie mi, zapowiadają się rewelacje doprawdy zdumiewające.

Kto by pomyślał!

Wasz oddany Pierdomenico Baccalario

Rozdział 1

ZŁOTE WROTA

Dokładnie w połowie korytarza na zapleczu cukierni Chubbera skrzypnęły drzwi. Stare drewniane drzwi, takie same jak tysiące innych starych drzwi z drewna. Kiedy się im jednak dobrze przyjrzało, uwagę zwracał kunsztownie cyzelowany zamek z metalowym szyldem w kształcie wypukłego liścia, z zawijasami i spiralami łagodnie lśniącymi w mroku korytarza. Drzwi ponownie zaskrzypiały, tym razem głośniejsz, a nieprzyjemny dźwięk poniósł się echem po pustym lokalu.

Była głęboka noc. W rogu cukierni stały zsunięte stoliki - złożone jedne na drugich. Podłogę pokrywała gruba warstwa błota naniesionego tu na butach klientów. Na sklepowej ladzie stały puste srebrne tace i rynienki z folii aluminiowej pełne okruchów. W powietrzu wciąż jeszcze wisiał zapach słodkiego kremu, wanilii i drożdżowego ciasta. Drzwi wejściowe były uchylone, ale na zewnątrz nie widziało się żywego ducha.

Żałosny stos rupieci zalegał od centralnego placu miasteczka aż do małego portu. Wszystkie światła Kilmore Cove pogasły: kuliste klosze latarni wzdłuż wybrzeża, okna mieszkań, dzwonnica kościelna, którą ojciec Feniks miał zwyczaj podświetlać lampką wotywną. Nawet górująca na cyplu latarnia morska Leonarda Minaxo tej nocy była spowita w ciemności. W drżącym blasku gwiazd widać było tylko lśniące wstążki morskich fal.

Kilmore Cove było pogrążone w głębokim mroku. A pośród niewielu odgłosów, jakie dawały się słyszeć, najwyraźniejsze było skrzypienie dobiegające z korytarza na zapleczu cukierni.

Potem pchnięcie.

I jeszcze jedno.

Za trzecim pchnięciem stare drewniane drzwi się otworzyły.

Wtargnęła przez nie chmara muszek i podmuch gorącego powietrza, wilgotnego i dusznego.

Na koniec pojawili się dwaj chłopcy, którzy zatoczyli się w ciemności i wyczerpani oparli o ścianę.

Kopniakiem zamknęli za sobą bez słowa drzwi i zaczęli gwałtownie wymachiwać rękami, aby odpędzić owady.

Jeden z nich miał na sobie śmieszny żelazny hełm w kształcie kokosowego orzecha, wgnieciony z boku, i bufiaste, żółto-czerwone spodnie, zapinane pod kolanami na dwie grube klamerki. Był boso, a stopy i łydki pokryte zadrapaniami i ukąszeniami miał umazane błotem.

- Pożrą mnie żywcem! - wykrzyknął drugi, drapiąc się wściekle po szyi i zaczerwienionych ramionach. Ubranie miał w łachmanach: podartą koszulę, poszarpane na strzępy płócienne spodnie i zniszczone skórzane sandały. - To najzjadliwsze muszki, jakie kiedykolwiek spotkałem!

- Piekielne muszki! - dorzucił kolega we wgniecionym hełmie, po czym puścił się biegiem za towarzyszem.

Dobiegli do końca korytarza, uchylili zasłonę, która oddzielała go od reszty lokalu i przystanęli na moment, zerkając w stronę wyjścia, by się upewnić, że nikogo tam nie ma. Potem pobiegli dalej, kierując się w stronę plaży.

- Dosyć! - zawołał chłopiec w łachmanach, które zrzucił w biegu. Jego jasna skóra usiana była czerwonymi ukąszeniami. Przeskoczył przez bezładny stos desek zwalony na skraju drogi ciągnącej się wzdłuż wybrzeża i biegł dalej po zimnym piasku, wymijając leżący po drodze fotel i ławkę.

I w końcu wskoczył do morza.

Drugi poruszał się o wiele wolniej: kiedy znalazł się na plaży, zdjął wgnieciony hełm, potrząsnął rudymi spoconymi włosami i podbiegł do przyjaciela, gdy ten otrząsał się już z wody. - Pomogło? - spytał.

- Myślałem, że oszaleję.

- Owady z dżungli.

- Tak, ale... - chłopiec rzucił złe spojrzenie na budynek cukierni, drewniany sześcian z ozdobnymi zawijaszami - nie sądziłem, że będą aż tak żądne krwi! Popatrz tylko, ile ukąszeń!

Rudzielec ziewnął, przetarł podkrążone ze zmęczenia oczy i czekał, aż przyjaciel wyjdzie z wody. - Możemy już iść? - zapytał. - Padam ze zmęczenia.

Tamten przytaknął, podniósł podarte łachy, otrząpał je byle jak z piasku i znowu na siebie włożył. Po czym obaj zawrócili w stronę miasteczka i poszli przed siebie główną ulicą.

Przechodzili akurat obok Chubbera, gdy...

Bach\ W środku cukierni coś się poruszyło.

- Słyszałeś? - zapytał Rudzielec, przystając.

Pisnęła mewa. Szumiało morze. Nic poza tym.

- Co niby miałem słyszeć?

Rudzielec dał mu znak, by na niego poczekał i podszedł do witryny cukierni. Nocne powietrze było gęste i nieruchome jak wosk. Główna ulica Kilmore Cove biegła prosto jak strzeł, pnąc się w stronę starego miasta, a potem jeszcze wyżej, aż do opuszczonej stacji kolejowej.

Wszystkie okiennice od ulicy były pozamykane. Wszystkie z wyjątkiem tych w klinice weterynaryjnej: przez szyby przedostawał się słaby blask kilku świeczek i olejnych lampek. To tam opatrywano rannych podczas ostatniej powodzi. A kiedy w całym mieście zabrakło prądu, powrócono do starych metod oświetlania.

Jakimś cudem budynek cukierni Chubbera, stojący na samym rogu ulicy, wysoka fala oszczędziła.

Znowu z cukierni dobiegł ten sam dziwny odgłos.

Dwaj chłopcy spojrzeli po sobie i zawrócili. Weszli do środka. Coś przemykało się wśród cieni po ladzie.

- Nie do wiary! - wykrzyknął Rudzielec.

- Jak ona się tutaj dostała ? - zapytał drugi, podobnie zaskoczony.
- Mały, puchaty kłębek przycupnął zwinięty na srebrnej tacy, spoglądając na przybyłych ze zdziwieniem i zadowoleniem kogoś, kto właśnie zlizął najlepszy krem angielski.
- Kociątko pumy!
- Musiała się przemknąć przez drzwi, zanim je zamknęliśmy!
- Pumiątko zeskoczyło z lady na ziemię i z ufnością zaczęło ocierać się o łydki chłopca w poszarpanym ubraniu.
- Niemożliwe! - westchnął chłopiec, opierając się o futrynę drzwi, straszliwie zmęczony i przygnębiony.
- Najpierw krwiożercze owady a teraz puma... Bach! BACH! - szepnął drugi, wkładając znowu wgnieciony hełm. - Coś mi się zdaje, że nie służą ci podróże przez Wrota Czasu.
- Co my teraz zrobimy? - zapytał przyjaciel, przyglądając się strapiony małej pumie, która turlała się teraz po podłodze u jego stóp.
- Przecież chyba nie zostawisz zwierzątka w cukierni! - odparł tamten. Mówiąc to, schylił się i błyskawicznie schwytał pumę za łapę. Kocię się obróciło, odsłaniając pazurki, ale po chwili całkiem zadowolone skuliło się w kłębek w ramionach chłopca. Nie okazywało żadnego lęku przed ludźmi.
- Brawo, maleńka. Teraz przekażę cię twemu pańciewi.
- Nie jestem jej pańciem! - zaprotestował chłopiec w podartym ubraniu, ale już po chwili trzymał kociaka w ramionach. - Rick, proszę cię! Nie chcę jej! Nie umiem sobie radzić z pumą!
- Kocię pomrukiwało wielce zadowolone.
- Chłopiec w hełmie uśmiechnął się ubawiony.
- Ale coś mi się zdaje, że ona ciebie chce, Tommi.

Rozdział 2

NA STACJI

- Mowy .nie ma! - wykrzyknął Black Wulkan na widok Ricka Bannera i Tommasa Ranieri Strambiego w drzwiach. Opuszczony budynek stacyjny w Kilmo-re Cove był czymś w rodzaju hangaru wiktoriańskiego, w którym, całkiem jak w oranżerii, wyrósł mały las. Black Wulkan, były zawiadowca, oczyścił fasadę budynku, wyrrywając jeżyny i pnący bluszcz, który się bardzo rozrósł, ale postanowił pozostawić drzewa.
- Przed kasą biletową, gdzie niegdyś była posadzka z płytek, wyrósł miękki dywan z mchu.
- Posłuchaj, Black... - westchnął Rick.
- Nie, chłopcy, to wy posłuchajcie! Jestem zmęczony i jest mi zimno. Piekielnie zimno. A na dodatek jestem uczulony na kocią sierść. Jeśli więc chcecie wejść do środka, musicie zostawić tę bestyjkę na zewnątrz.
- Ale to puma!
- Mogłaby być nawet kangurem, ale tak czy owak gubi sierść i do domu jej nie wpuszczę!
- Pumiątko jakby rozumiało, że to o nim mowa, przylgnęło jeszcze mocniej do chłopca. Nieomal ocierało się o jego policzek.
- Nie sprawiaj kłopotu, mała - szepnął Tommi.
- Black Wulkan rzucił Rickowi surowe spojrzenie. -
- A można wiedzieć, po kiego licha zabraliście ze sobą tę przeklętą pumę?
- Nie zabraliśmy jej, przyszła za nami sama. Ścisłej biorąc, przykleiła się do niego. Tommi uśmiechnął się z zażenowaniem. - Przykro mi. Nie wiem teraz, co począć.

Black westchnął, parsknął, zaklął, lecz w końcu usunął się na bok, by zrobić im przejście. - Sprawdź, czy zechce tu pozostać między drzewami. Ale wybij sobie z głowy, że ją wpuszczę do salonu.

Chłopcy przeszli przez poczekalnię dawnej stacji. Nocne światło wpadające przez świetlik i szyby nadawało jeszcze bardziej nierealny wygląd paprociom i wysokopiennym roślinom pieniącym się wewnątrz budynku.

Black szedł przodem, niezbyt elegancki w swoich krótkich pomiętych spodenkach, z których wystawały krzywe nóżki w olbrzymich futrzanych kapciach. Doszedł do furtki po drugiej stronie torów, otworzył ją i zaczął wchodzić po wewnętrznych schodach.

- Żadnego kociska! - przypomniał Tommasowi, nawet się nie odwracając.

Chłopiec nic nie odpowiedział, ale wszedł zrezygnowany między drzewa i czas jakiś przekonywał zwierzątko, żeby odczepiło się od jego koszuli. W końcu uwolniony podbiegł do furtki, którą Rick szybko za nimi zatrzaskał.

Słyszeli, jak puma drapała i płakała po drugiej stronie, ale nie ulegli pokusie, by jej otworzyć. Odwrócili się i niewzruszeni poszli po schodach.

Z górnego piętra przenikało drżące światło wielu świec.

- Można wejść? - zapytał Rick, kiedy stanęli na podeście.

Nie czekając na pozwolenie, weszli do pokoju na pierwszym piętrze. Buchnęły na nich kłęby pary i przenikliwy zapach eukaliptusa, który przyprawił obu o napad kaszlu. Na środku pokoju stały dwie wielkie miedziane miednice z gorącą wodą. Black zsunął ze stóp futrzane kapcie i zanurzył stopy w miednicy. Druga była dla Julii Covenant.

Siedziała z zamkniętymi oczami na krawędzi koślawego tapczanu, wdychając balsamiczne wyziewy unoszące się znad miski. Zawinięta w szkocki pled, nawet w mdłym świetle świec najwyraźniej dygotała.

- Julia! - powitał ją Rick i dziewczynka otworzyła oczy. Podeszedł do niej z wahaniem, onieśmielony swoją miłością, usiadł obok niej i ramieniem przyciągnął do siebie. Serdeczny gest, niezwykle jak na niego odważny. - Jak ci poszło? - zapytał.

- Och, nie pytaj... - wyszeptała, tuląc się do niego. - Całkowita porażka.

Tymczasem Tommaso zatrzymał się jeszcze przez chwilę w pobliżu podestu, nasłuchując odgłosów dochodzących z dołu. Kiedy te stopniowo ucichły, dołączył do reszty towarzystwa i szukał po omacku czegoś do picia.

- Na stole znajdziesz srebrny czajnik - podsunął mu Black Wulkan. - Pamiętasz, co to lodowate zimno? - zwrócił się następnie do Ricka, naciągając sobie gruby koc na kolana i pocierając brodę, na której jeszcze wisiały małe sople lodu. - No, to my byliśmy tam, gdzie je wynaleziono.

- Aaaapsik! - kichnęła głośno Julia, jakby podkreślając jego słowa, odchyliwszy głowę do tyłu, na oparcie tapczanu.

Rick położył jej dłoń na czole: było rozpalone.

Nie był to najlepszy pomysł, by wysłać dziewczynkę razem z Blackiem przez Wrota Czasu, które się znajdowały w podziemiach latarni Kilmore Cove. Wrota te prowadziły do Thule, krainy mroźnej jak prehistoryczna Syberia, na najdalszej Północy. Miejsca z Wyobraźni gdzieś wśród lodów Arktyki, w Ziemi Franciszka Józefa.

- Julia! - powitał ją Rick i dziewczynka otworzyła oczy. Podeszedł do niej z wahaniem, onieśmielony swoją miłością, usiadł obok niej i ramieniem przyciągnął do siebie. Serdeczny gest, niezwykle jak na niego odważny. - Jak ci poszło? - zapytał.

- Och, nie pytaj... - wyszeptała, tuląc się do niego. - Całkowita porażka.

Tymczasem Tommaso zatrzymał się jeszcze przez chwilę w pobliżu podestu, nasłuchując odgłosów dochodzących z dołu. Kiedy te stopniowo ucichły, dołączył do reszty towarzystwa i szukał po omacku czegoś do picia.

- Na stole znajdziesz srebrny czajnik - podsunął mu Black Wulkan. - Pamiętasz, co to lodowate zimno? - zwrócił się następnie do Ricka, naciągając sobie gruby koc na kolana i pocierając brodę, na której jeszcze wisiały małe sople lodu. - No, to my byliśmy tam, gdzie je wynaleziono.

- Aaaapsik! - kichnęła głośno Julia, jakby podkreślając jego słowa, odchyliwszy głowę do tyłu, na oparcie tapczanu.

Rick położył jej dłoń na czole: było rozpalone.

Nie był to najlepszy pomysł, by wysłać dziewczynkę razem z Blackiem przez Wrota Czasu, które się znajdowały w podziemiach latarni Kilmore Cove. Wrota te prowadziły do Thule, krainy mroźnej jak prehistoryczna Syberia, na najdalszej Północy. Miejsca z Wyobraźni gdzieś wśród lodów Arktyki, w Ziemi Franciszka Józefa.

Miejsce zdecydowanie przejmująco zimne. Zwłaszcza dla Julii, która dopiero co dźwignęła się z paskudnej infekcji.

- Jakież ślady Nestora? - zapytał z nadzieją Rick?

Black Wulkan masował sobie palce u stóp w gorącej wodzie. - Ale gdzie tam! Nic, zupełnie nic. Z wyjątkiem śniegu, wiatru i lodu...

Tommaso nalał sobie filiżankę gorącej herbaty i wziął do ręki kartkę ze stołu, na której zapisali wszystkie Miejsca z Wyobraźni dostępne dzięki kluczom, jakie mieli w swoim posiadaniu:

Thule - w głębi schodów pod latarnią morską.

Eldorado - na tyłach cukierni Chubbera.

Wenecja - Dom Luster.

Agartha - Turtle Park.

Na czele listy widniał Ogród Księdza Jana przekreślony: Black już tam był i nie znalazł żadnego śladu pobytu Nestora. Co do Atlantydy, prowadzące do niej Wrota Czasu w księgarni Kalipso lepiej było trzymać zamknięte po strasznej powodzi morskiej, która o mało co nie zmiotła z powierzchni całego Kilmore Cove. Brakowało klucza z kocią główką, który otwierał Wrota Czasu w domu panny Biggies, podobnie jak czterech kluczy z Willi Argo, którymi oczywiście - a byli tego pewni - stary ogrodnik otworzył poczerńiałe i zardrapane drzwi prowadzące do Metis, na której mógł dopłynąć do każdego Miejsca z Wyobraźni, jakie sobie wymarzył.

Ale które z nich mógł wybrać Ulysses Moore? Wyruszył, nie uprzedzając nikogo i nie zostawiając żadnej wiadomości. Kiedy poprzedniego wieczoru jego przyjaciele powrócili do Willi Argo, znaleźli tylko pudełko z kluczami, w którym brakowało tych czterech od poczerńiałych drzwi, i natychmiast zrozumieli: Nestor udał się na poszukiwanie Penelopy, swojej żony. Prawdopodobnie zdecydował się na to, gdy tylko się dowiedział, że żyje. Ale był stary i kulawy, a w każdym Miejscu z Wyobraźni czyhały zasadzki. Zasadzki śmiertelne, nawet jeśli ktoś się nazywał Ulysses Moore. Tak więc, tej samej jeszcze nocy postanowili go dogonić i dopomóc mu w poszukiwaniach. Stary ogrodnik jednak rozplynął się w powietrzu...

- Drzwi prowadzą na dno jakiejś groty... - opowiadał tymczasem Black.

- Aaaapsik! - przerwała mu znowu Julia.

- ...niedaleko miasta gigantów - ciągnął były zawiadowca stacji, rzucając na dziewczynkę zatroskane spojrzenie.

- Gigantów? - zapytał zaciekawiony Rick.

- Ludzi Północy: blondynów, wysokich i chudych, okrytych skórą, obwieszonych amuletami i bronią z kości. Tych, którzy trzymają mamuty, jako zwierzęta domowe... - Black zrobił przerwę i posłał znaczące spojrzenie w stronę Tommasa. - Żaden mamut na szczęście za nami nie poszedł!

- Bardzo śmieszne... - mruknął tamten przez zaciśnięte zęby.

- W każdym razie Nestora tam nie było - zakończył Black. - A jeśli wybrał się do Thule, to już zamarzył.

Nastała długa chwila ciszy, z której skorzystał Tommi, skreślając z listy dwa następne miejsca: Thule i Eldorado.

- Aaaapsik! - kichnęła znowu Julia. - A... wy?

- My byliśmy pożerani przez owady - odpowiedział Rick, odruchowo drapiąc się po ramieniu. - A kiedy już przedarliśmy się przez gęstą dżungłę, wróciliśmy do Złotego Miasta. Nawet jeśli byliśmy tam wcześniej z Wojniczem, zawsze to robi wrażenie...

- Taak... - szepnął Tommaso, powracając myślą do tego czarownego miejsca poza czasem. Złote Miasto. Błyszczące, świetliste i wspaniałe, z tysiącem kolorowych wstęg i dekoracji zawieszonych między domami niczym wspaniałe naszyjniki i bransolety zdobiące ciało dostojnej królowej. I jeszcze wieże nad jeziorem i nieziemski dźwięk wydawany przez tysiące złotych liści poruszanych wiatrem...

- Pomimo wszystko - ciągnął Rick, zwracając się do Blacka Wulkan - udaliśmy się do wskazanego nam konkwistadora.

- Żyje jeszcze?

- Tak. Żyje i prosperuje. Otworzył nawet coś w rodzaju lokalu.

Były zawiadowca zatarł ręce, aż poczerwieniały. - Stary poczciwy Francisco Bizzarro de la Vega. Najbardziej leniwy konkwistador w historii! Wiesz, co nam kiedyś powiedział? - wspominał z błyskiem w oku. - „Po co przemierzać dżungłę z powrotem i wracać do Hiszpanii, kiedy można leżeć brzuchem do góry i łowić ryby w złocistym jeziorze?” •

- Wygodna filozofia.

- Tak. Szkoda tylko, że potem...

Black nie dokończył zdania.

- Co potem?

- Zostawmy to. Złe wspomnienia i źli ludzie. Co wam powiedział? - zapytał były zawiadowca, zmieniając nagle temat.

- Że dawno już nie widział Ulyssesa Moore'a ani nikogo z jego przyjaciół. Co najmniej od dziesięciu lat.

- Dwunastu - uściślił Black. - Zresztą rok mniej, rok więcej.

Znowu nastąpiła dłuższa cisza zakłócana teraz odległym miauczeniem pumiątka, najwyraźniej wojującego z drzewami na stacji.

- Co to za hałasy? - spytała zdziwiona Julia.

- Malutka puma Tommasa - odparł Rick, patrząc z rozbawieniem na chłopca z Wenecji.

- Przybłąkała się - wyjaśnił Tommi wyraźnie speszony.

- Kocię... pumy? Ależ to cudownie! - zawołała z entuzjazmem Julia. - Czemu jej tu nie przyprowadziliście?

- Mowy nie ma! - uciął krótko Black Wulkan. - I biada ci, jeżeli stłucze szybę! - dorzucił surowo, zwracając się do chłopca.

- Są trzy możliwości - podsumował zamyślony Rick. - Pierwsza, że Nestor nie wyruszył do żadnego z miejsc, do których można dotrzeć za pomocą naszych kluczy, lecz tam, gdzie można jedynie dopłynąć na Metis. Druga, że owszem, wyruszył, ale osoby, które o niego pytaliśmy, nie widziały go...

- A trzecia? - zapytał Tommaso.

- A trzecia, że Nestor przekonał je, żeby nie ujawniały nam, że go spotkały - dokończyła Julia zamiast Ricka.

- I niby dlaczego miały to zrobić? - zapytał z niedowierzaniem Tommaso.

Black pokiwał głową. - Kto go kiedy zrozumiał, tego przekłętą kuternogę? - Płasnął gniewnie dłonią o powierzchnię gorącej wody. - Mógł się udać gdziekolwiek. A kiedy powiadam gdziekolwiek, rozumiem... wszędzie.

Cała czwórka spojrziała po sobie zatroskana.

- W porządku - rzucił na koniec Black. - Postępujemy pomalutku. Teraz idziemy wszyscy spać. Jutro podejmiemy nasze poszukiwania.

- Czy mogę zostać tutaj na noc? - zapytał Tommaso, ziewając.

- Jasne, ale puma jutro rano zniknie - odparł szorstko Black. - Nawet gdybym musiał na siłę odstawić ją do dżungli.

Tymczasem Rick pomagał Julii wstać z tapczanu. -Dasz radę? - pytał z przejęciem.

Dziewczynka zadrżała, przytulając się do niego jeszcze mocniej.

Rick dotknął ustami jej rozpalonego czoła. - Odprowadzę cię do domu - powiedział łagodnie, pomagając jej włożyć suche już buty.

Kiedy Julia była gotowa zmierzyć się z przenikliwym chłodem nocy, pożegnali się.

Ale Black ich prawie nie słyszał. - Może być wszędzie... - mruzczał do siebie ze stopami zanurzonymi w wodzie teraz już ledwo ciepłej.

Rozdział 3

TAJEMNICZA WYSPA

Ponury bezkres ciemnego piasku i ciemnofioletowych muszli pokruszonych przez morze. Stalowoszare niebo. Zimno i daleko. Żadnej chmury. Zimny wiatr wiejący od północy, który w ciągu lat powyginał pnie palm w niekończący się szereg smutnych łuków.

Nestor przesunął ręką po włosach i zacisnął z irytacją zęby.

Do diaska, to było jeszcze bardziej niegościnne miejsce, niż zapamiętał.

Kiedy pchnął z wysiłkiem drewniane drzwi pomalowane na niebiesko, od razu usłyszał szum morza i świst wiatru unoszący się znad piasku. Popiskujące ptaki. Długo stał w progu, nasłuchując.

„Ostrożnie” - powiedział sobie. Nie miał broni na wypadek czyjejś napaści. I nie był całkiem pewien, czego mógł się spodziewać.

W końcu przekroczył próg, popatrzył na niego uważnie, po czym wyszukał dostatecznie ciężki kamień i zablokował drzwi tak, żeby nie mogły się za nim zamknąć. To była jedyna droga powrotna.

Było gorąco. Gorąco i parno, duszno. Tropik. Ściągnął z siebie wełniany sweter i w końcu ruszył, wymijając korzenie, które się przebiły przez ruiny posadzki dawnego salonu w siedemnastowiecznym zniszczonym i opuszczonym budynku, w jakim się znalazł. Ze ścian obsypywał się złuszczone biały tynk.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył resztki starego kominka. Lustro.

I tysiące napisów na ścianie.

Graffiti.

Obrażliwe i niezrozumiałe wyrazy. Dziwne rysunki wyryte żelaznym szpikulcem czy kamiennym ostrzem.

Gniewne.

Naładowane nienawiścią.

Dłuższą chwilę rozważał, czy nie byłoby rozsądniej zawrócić. Mógł się domyśleć, kto był autorem tych napisów.

Rozpoznał swoje imię: Ulysses Moore.

Było podkreślone i otoczone krzyżykami, zupełnie jak cmentarz na mapie. Były też imiona innych znajomych osób: Penelopa, Peter, Black i Leonard.

Litery były wielkie i spiczaste. A czaszka z dwiema skrzyżowanymi piszczelami tuż pod imionami oznaczała tylko jedno: zemstę.

„Módl się, żebyś to nie był ty...” - wyszeptał przez zaciśnięte zęby stary ogrodnik, opuszczając w pośpiechu zrujnowany dom.

Szum fal rozbijających się o plażę i nieustający świst wiatru natychmiast go ogłuszyły, tak że Nestor nie usłyszał, jak w budynku zatrzasnęły się Wrota Czasu. Ktoś ostrożnie odsunął na bok blokujący je glaz.

„Powiniennem być wziąć ze sobą broń” - mruknął stary ogrodnik, kuśtykając po plaży. Coś na wszelki wypadek, gdyby doszło do jakiegoś niebezpiecznego spotkania. Jakaś szabla czy rewolwer... Rewolwer byłby lepszy, zważywszy, co się wydarzyło ostatnim razem.

A tymczasem nie miał nic: wyruszył z Willi Argo w pośpiechu, z plecakiem pełnym notesów i drewnianych łódeczek oraz z wielkim zamęt w głowie.

Początkowo zamierzał zabrać ze sobą pudełko z kluczami, żeby przeszkodzić innym w szukaniu go, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie: „A niech robią, co chcą - pomyślał - to nie mój problem”. Nic i nikt nie mógłgo odciągnąć od jego zamiaru: odnalezienia Penelopy bez względu na cenę.

A poza tym zawsze lubił podróżować bez bagażu.

Teraz rozumiał, że okazał się naiwny. Postąpił impulsywnie, nie przemyślał sprawy. Prawdę mówiąc, nie wyobrażał sobie, że wyląduje na tej wyspie. Podjął taką decyzję w ostatniej chwili: w momencie, w którym postawił nogę na pokładzie Metis i ujął ster w dłoń. I natychmiast dopadły go wątpliwości.

Okrutne wątpliwości.

I oto już tu był.

Za rzędem palm wygiętych od wiatru Pacyfik wyglądał jak ogromne jezioro błota. Trawa była mokra, co znaczyło, że dopiero co przeszła tu tropikalna ulewa.

Nestor przeskoczył przez pień wyrzuconego przez morze drzewa i skierował się w stronę dalszych drzew, wyrwanych z korzeniami i pobielających od słońca, przypominających szkielety wielorybów.

Zapytywał sam siebie, czy w tej chwili on go obserwuje.

Czy jeszcze żyje?

A Penelopa?

W powietrzu rozległo się przenikliwe nawoływanie wędrownego ptaka. Zaniepokojony Nestor rozejrzał się dokoła, po czym ruszył dalej. Obszedł przylądek i sto kroków przed sobą zobaczył resztki opuszczonego miasteczka. Stare, koślawe domy z drewna. Pomost. Dziesięć pierścieni zardzewiałego łańcucha od kotwicy.

Przeszedł ostrożnie wzdłuż rzędu palm, żeby nie rzucać się w oczy i zauważył, że piasek był usiany dziesiątkami małych jamek krabów. Po pewnym czasie oparł się wyczerpany o pień palmy, zaciśnął zęby z wściekłością i przy pierwszym silniejszym podmuchu wiatru wymamrotał przekleństwo.

„To już nie na moje lata, tego rodzaju imprezy - powiedział sobie. Nie mam też już do tego cierpliwości”.

W końcu postanowił zlekceważyć wszelkie środki ostrożności i szedł dalej samym brzegiem, dobrze widoczny. Jeżeli w tym miejscu zapomnianym od Boga i ludzi ktoś jeszcze żył, tym bardziej chciał go jak najszybciej spotkać. Niechby to był on... albo Penelopa.

Kiedy tak wędrował, wysilał się, by sobie przypomnieć kształt wyspy i układ starych zabudowań. „To musi być opuszczone miasteczko piratów, zatem...”

Nagle się odwrócił i nastawił uszu.

Usłyszał jakiś hałas.

Czekał przez chwilę w napięciu. Serce podeszło mu do gardła, jak to się zdarza starszym ludziom ze zmęczenia.

- Hej! - krzyknął gniewnie. - Wiem, że tu jesteś!

Ale nikt mu nie odpowiedział. Palmy kołysały się na wietrze. Może to orzech kokosa spadł na dywan z suchych liści. Może jakieś zwierzę? Ptak czy coś, co żyje wśród gałęzi. Albo... „Spokojnie - powiedział sobie. - Nie wpadajmy w panikę”.

Podwinął rękawy koszuli. Zaczął się pocić. Potem ściągnął plecak, otworzył go i wyjął z niego zeszyty, które zabrał, usiłując sobie przypomnieć, czy w którymś z nich była mapa wyspy. Jakkolwiek było możliwe, że została przekazana tłumaczowi razem z pozostałymi dziennikami.

Usiadł na piasku i przez kilka minut kartkował te, które udało mu się zachować, dotyczące Krainy Puntu, Atlantydy, Thule, Eldorado... przynajmniej raz miał szczęście: w jednym z ostatnich dzienników znalazł niestaranną kopię mapy wyspy pod niedwuznacznym tytułem: Tajemnicza Wyspa.

Czytając te stare zapiski, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

To nie było jego pismo. To było pismo Penelopy.

Potem, z mapą w ręce, zaczął obchodzić plażę po drugiej stronie starego miasteczka piratów. Przeskoczył kilka pni i obszedł inny maleńki cypel z niewysokimi skałami pokrytymi muszlami rogowców. Poszedł dalej wzdłuż następnej plaży, która zataczała długi łuk niczym otwarty nawias.

„Tak, prawie jak otwarty nawias” - pomyślał.

Zdjął buty i skarpety i zrobił kilka kroków w płytkiej wodzie, próbując sięgnąć spojrzeniem poza rzędy palm i dostrzec inne szczegóły na wyspie.

TAJEMNICZA WYSPA_ ,

Woda była mętna i zimna. Prąd znosił pokruszone muszle, które łaskotały go w stopy, jak tysiące małych pazurków.

Kiedy woda sięgnęła mu już po biodra, zatrzymał się: umiał rozpoznać granicę, poza którą prąd oceaniczny nie pozwalał mu się posunąć. Podniósł wzrok i zobaczył stożek szczytu wulkanu. Sterczał samotnie ponad drzewami, nie dalej niż kilometr w linii prostej.

Zerknął na rysunek: więzienie gubernatora nie powinno być daleko stąd.

Wrócił zamyślony na brzeg. Zebrał buty i skarpety i szedł dalej wśród krabów mknących z niebywałą szybkością, a fale zalewały każdy jego ślad.

Jakby go tu nigdy nie było.

Rozdział 4

SENNE KOSZMARY

- Pali się! - krzyknął Jason Covenant, zrywając się nagle ze snu.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że znajduje się w swoim pokoju w Willi Argo. Był cały spocony. Serce waliło mu jak oszalałe i prześladował go jakiś strach. Ale nie mógł sobie przypomnieć, z jakiego powodu: koszmar jakby wyparował mu z pamięci w chwili przebudzenia. Usiłował go sobie przypomnieć, ale na próżno.

Potem uświadomił sobie, że przez sen ściągnął z siebie ubranie, które teraz zgniecione leżało gdzieś w kącie materaca, więc wsunął się pod kołdrę, żeby po nie sięgnąć.

I natychmiast doznał tak dotkliwego bólu krzyża, że zabrakło mu tchu.

Kilka chwil pozostał bez ruchu, ale ból wcale nie malał, więc skulił się cały na poduszce i przycisnął ręce do piersi.

W głowie nie pozostało mu wiele z podróży do Agar-thi, tymczasem w ciele wprost przeciwnie, bardzo dużo: powrócił zupełnie wykończony z zimna. Do tego stopnia, że poprzedniego wieczoru musiał odmówić przyłączenia się do pozostałych, ruszających na poszukiwanie Nestora, i padł wyczerpany na łóżko.

Odczekał z sięgnięciem po piżamę, aż poczuje się trochę lepiej i zrobił to bardzo ostrożnie. Dźwignął się do pozycji siedzącej na skraju łóżka, z rękami przylegającymi do boków. Nie pamiętał już nawet, że boli go w krzyżu, bo poczuł teraz, jak go łamie. Podniósł się i zdał sobie sprawę z przerażeniem, że właściwie nie ma takiego miejsca na ciele, które by go nie bolało. Podszedł do okna z przymkniętą okiennicą, szurając bosymi stopami po podłodze. Która mogła być godzina? Odsunął zasłony - wyglądało na rano. Daleko nad horyzontem wisiały czarne niskie chmury, ale nad Kilmore Cove świeciło słońce. Mewy fruwały nad drzewami w parku. Morze iskrzyło się w słońcu. W powietrzu unosiła się obrzydliwa woń dymu. I natychmiast doznał tak dotkliwego bólu krzyża, że zabrakło mu tchu. Kilka chwil pozostał bez ruchu, ale ból wcale nie malał, więc skulił się cały na poduszce i przycisnął ręce do piersi. W głowie nie pozostało mu wiele z podróży do Agar-thi, tymczasem w ciele wprost przeciwnie, bardzo dużo: powrócił zupełnie wykończony z zimna. Do tego stopnia, że poprzedniego wieczoru musiał odmówić przyłączenia się do pozostałych, ruszających na poszukiwanie Nestora, i padł wyczerpany na łóżko. Odczekał z sięgnięciem po piżamę, aż poczuje się trochę lepiej i zrobił to bardzo ostrożnie. Dźwignął się do pozycji siedzącej na skraju łóżka, z rękami przylegającymi do boków. Nie pamiętał już nawet, że boli go w krzyżu, bo poczuł teraz, jak go łamie. Podniósł się i zdał sobie sprawę z przerażeniem, że właściwie nie ma takiego miejsca na ciele, które by go nie bolało. Podszedł do okna z przymkniętą okiennicą, szurając bosymi stopami po podłodze. Która mogła być godzina? Odsunął zasłony - wyglądało na rano. Daleko nad horyzontem wisiały czarne niskie chmury, ale nad Kilmore Cove świeciło słońce. Mewy fruwały nad drzewami w parku. Morze iskrzyło się w słońcu. W powietrzu unosiła się obrzydliwa woń dymu. Dymu i spalenizny. Dymu, spalenizny i... benzyny. Przetarł oczy i skierował wzrok na to, co pozostało z domku Nestora i na część ogrodu w pobliżu: same szkielety z czarnego drewna. Zwęglony stos. I masa popiołu. Wszędzie popiół unoszony wiatrem. Pomału sobie przypominał: poprzedniego dnia Bowen podpalił Willę Argo. A przynajmniej próbował to zrobić. Potem użył Pierwszego Klucza do otwarcia Wrót Czasu i szedł aż do mostu ze zwierzętami, zanim wpadł ostatecznie w przepaść rozpadliny. To Jasonowi opowiedziano po tym, jak wrócił z Agarthi.

- Mała strata, krótki żal... - wyszeptał chłopiec, wstydząc się nieco własnego cynizmu.
- Jason? - odezwał się głos za jego plecami.

Obejrzał się w stronę uchylonych drzwi: Julia.

- Hej, siostrzyczko!
- Już nie śpisz?
- O czym ty mówisz? Wchodź, śmiało.

Siostra wślizgnęła się do pokoju, zamykając za sobą drzwi. - Jak się czujesz?

- Hmm, powiedzmy, że miewałem w życiu lepsze chwile. W głowie mam zamęt i... wszystko mnie boli.
- To cena, jaką musisz zapłacić za swoją „wycieczkę” do Agarthi. Należało się lepiej ubrać... aaapsik!

- Na zdrowie! - odezwał się Jason ze złośliwym uśmiechem. - Coś mi się wydaje, że przyganiał kocioł garnkowi... - Po chwili spowaźniał. - Jakies nowiny w związku z Nestorem? - zapytał.

Julia spojrzała na niego i podsunęła sobie chusteczkę pod nos. Była blada, a oczy miała paskudnie podkrążone. - Żadnych. Pozostaje nam jeszcze sprawdzić tylko Wenecję i Agarthi.

- Nie sądzę, żeby się udał do Agarthi. - Jason pokiwał w zamyśleniu głową. - Nestor dobrze wie, że nawet jeśli uda mu się tam zdobyć jakieś informacje na temat Pene-łopy, zapomni o nich, jak tylko opuści to miasto, jak to się zdarzyło mnie... - Ziewnął. - Która godzina?

- W sam raz pora, żebyś wstał. Już i tak za długo spałeś.

Dokładnie w tej samej chwili z dołu doszły ich głosy rodziców: wyglądało na to, że o czymś żywo dyskutują.

- Czekają nas nieprzyjemności? - zapytał Jason zmartwiony.

- Na to wygląda - uśmiechnęła się Julia.

- Hej, synu-zjawo! - zawołał, udając dobry humor pan Covenant, gdy tylko Jason wsunął głowę do kuchni i bosy, na palcach przemykał się na swoje miejsce. - Właśnie o tobie mówimy.

„No to klops” - pomyślał chłopiec, jeszcze nie całkiem rozbudzony. Nie wystarczyła powódź, która zrujnowała doszczętnie miasto. Ani pożar domku Nestora i cała reszta. Nic nie mogło przeszkodzić rodzicom w wygłoszeniu kazania w starym stylu. W porządnym zmyciu głowy za urwanie się z lekcji.

Jason nie odezwał się ani słówkiem. Usiadł na swoim stałym miejscu i przyglądał się, jak matka krząta się po kuchni, szykując śniadanie. Nie zaszczyliła go przy tym bodaj jednym spojrzeniem: taki miała sposób na zakomunikowanie mu, że była rozgniewana.

Ciepłe grzanki z masłem jednak smakowały wybornie.

- I patrz mi w oczy, kiedy do ciebie mówię! - ciągnął pan Covenant, który przeciwnie niż żona, nie miał najmniejszego zamiaru milczeć.

- Ale jeszcze do mnie nic nie mówiłeś!

- Nie żartuj sobie, Jason! I odgarnij włosy z oczu!

Jason gniewnie odrzucił włosy do tyłu.

Tymczasem ojciec usiadł naprzeciwko niego i podjął temat. - Więc jak udała się szkolna wycieczka? Rozerwałeś się?

Jason parsknął. Nie było sensu ciągnąć dalej tej gry. Wymyślili z Rickiem chytry plan wycieczki, żeby zapewnić sobie dwa wolne dni... Ale z powodu tego wszystkiego, co się w międzyczasie wydarzyło w Kilmore Cove, nakryto ich.

- Posłuchaj, tato... Przykro mi - szepnął ze spuszczonej oczami.

I natychmiast pożałował. Nie powinien tak szybko się poddawać. Powinien zawalczyć.

Zaprzeczać aż do końca. Nie chciał tak łatwo przyznać ojcu racji, dając mu pełną satysfakcję. Ale już było z późno. Już nawarzył piwa.

- Przykro ci? - zapytał pan Covenant zdumiony. - I to jest wszystko, co masz nam do powiedzenia? Że ci przykro? Czy ty masz bodaj blade pojęcie, co myśmy tu z matką przeżyli?

Stary sposób na wywołanie poczucia winy. Jason zrobił wszystko, by nie dać się w to wciągnąć.

- Można wiedzieć, co ci wpadło do głowy? Jak mogłeś coś takiego... nam zrobić?

A teraz stara śpiewka na temat zatroskanych rodziców. Tę także znał. „Wytrzymaj - powiedział sobie. - Wytrzymaj, a to się zaraz skończy”.

Ale ojciec niewzruszony ciągnął: - Zastanawiam się, jak ci przyszły na myśl takie wniosłe przeprosiny. Dwa dni na wycieczce szkolnej w...? O czym miałeś odwagę nam tu opowiedzieć? O obserwatorium astronomicznym? O skałach w Dover?

- W Londynie - mruknął Jason przez zaciśnięte zęby. Nawet przy przeprosinach wypadła zachować pewien styl.

- Niby w Londynie, aha... A tymczasem? Co naprawdę robiłeś? Gdzie byłeś?
Jason wybrał ostrożne milczenie. Nie podniósł wzroku znad grzanki, nawet kiedy usłyszał kroki siostry, która weszła do kuchni i usiadła koło niego. Nawet jeśli nie oczekiwał od niej pomocy, było mu jednak rażniej. Przynajmniej Julia wiedziała, jak naprawdę wyglądała sprawa.

- Chcemy tylko poznać prawdę, Jasonie - wtrąciła się w tym momencie matka, trzymając w ręku dzbanek z kawą.

No tak, ostatecznie nadeszła podniosła chwila.

Prawda.

Gdyby im ją powiedział, prawdę, ściągnąłby na siebie największą burzę w całym swym życiu. Chyba że rodzice przedtem padliby na apopleksję. Prawda była taka, że on razem z Anitą i Rickiem wsiedli w tajemniczy do samolotu do Tuluzi, udali się na poszukiwanie Miejsca z Wyobraźni zagubionego w Pirenejach, wspinali się po skałach, rozmawiali z ostatnią mieszkanką w miasteczku, któremu groziło rozplynięcie się w powietrzu, weszli przez niedokończone Wrota Czasu, które prowadziły do tajemniczego Labiryntu ukrytego w czeluściach Ziemi, z którego ledwo zdążyli uciec na pokładzie małego balonu zbudowanego przez Petera Dedalusa i...

Jason chciał coś powiedzieć, ale w końcu wydał tylko głośne westchnienie i z powrotem spuścił głowę, zamykając się w milczeniu z poczuciem winy.

Pani Covenant popatrzyła chwilę na niego z miną wyraźnie zawiedziona. Potem powróciła do swojej zwykłej krzątania po kuchni.

- Nie chcesz odpowiedzieć? - zapytał surowo pan Covenant. - Nie chcesz nam powiedzieć, co robiłeś? Nieważne. Wszystko jedno, czy powiesz czy nie, od tej chwili jesteś ukarany. Będziesz mógł wychodzić tylko na jedzenie. I tylko wtedy, kiedy cię zawołamy. A poza tym pozostaniesz w swoim pokoju. Czy wyraziłem się jasno?

- Ale...!

- Żadnego „ale”, Jasonie. Tym razem naprawdę przebrałeś miarę.

- A co będzie ze szkołą? - zatroszczył się po raz pierwszy w życiu chłopiec.

- Dziś autobus szkolny nie jeździ. Jutro też nie. I do wieczora będziemy bez prądu.

- Nie możecie kazać mi siedzieć w zamknięciu przez cały dzień!

- Czyżby? A to dlaczego?

Jason rzucił siostrze błagalne spojrzenie. - Powiedz coś chociaż ty!

Ale Julia tchórzliwie wzruszyła tylko ramionami.

- Teraz skończ swoją grzankę i zmykaj na górę! - uciął krótko ojciec.

Jason poderwał się z krzesła. Chciało mu się wyć i zbuntować przeciwko temu, co w jego oczach było potworną niesprawiedliwością. A tymczasem nie zdołał wymówić słowa. On, który pokonał tysiące trudności i ocalał po-

- Nie chcesz odpowiedzieć? - zapytał surowo pan Covenant. - Nie chcesz nam powiedzieć, co robiłeś? Nieważne. Wszystko jedno, czy powiesz czy nie, od tej chwili jesteś ukarany. Będziesz mógł wychodzić tylko na jedzenie. I tylko wtedy, kiedy cię zawołamy. A poza tym pozostaniesz w swoim pokoju. Czy wyraziłem się jasno?

- Ale...!

- Żadnego „ale”, Jasonie. Tym razem naprawdę przebrałeś miarę.

- A co będzie ze szkołą? - zatroszczył się po raz pierwszy w życiu chłopiec.

- Dziś autobus szkolny nie jeździ. Jutro też nie. I do wieczora będziemy bez prądu.

- Nie możecie kazać mi siedzieć w zamknięciu przez cały dzień!

- Czyżby? A to dlaczego?

Jason rzucił siostrze błagalne spojrzenie. - Powiedz coś chociaż ty!

Ale Julia tchórzliwie wzruszyła tylko ramionami.

- Teraz skończ swoją grzanekę i zmykaj na górę! - uciął krótko ojciec.

Jason poderwał się z krzesła. Chciało mu się wyć i zbuntować przeciwko temu, co w jego oczach było potworną niesprawiedliwością. A tymczasem nie zdołał wymówić słowa. On, który pokonał tysiące trudności i ocalił połowę świata od zagłady, nie znalazł siły, by sprzeciwić się tej absurdalnej karze!

- W gruncie rzeczy... - wtrąciła się pani Covenant - może jest alternatywa, Jasonie, jeśli aż tak bardzo nie chcesz siedzieć cały dzień w swoim pokoju.

Jason spojrział na matkę i poczuł, jak mruga iskierka nadziei. Jego mama! Jego kochana mama!

- Możesz mi pomóc przy robieniu porządków po tym bałaganie, jakiego narobili ci wandale. Wszystko jest do wysprzątania, ogród do uporządkowania, a spalone pnie do usunięcia...

Jason opadł na krzesło, zawiedziony.

- Nestor wziął sobie kilka wolnych dni, biedak - ciągnęła matka. - Musi być do głębi poruszony tym, co się stało. To zrozumiałe.

- Ale to nie wszystko - dodał tajemniczo pan Covenant.

W kuchni zapadło dziwne milczenie.

Rodzice spojrzeli po sobie, potem kiwnęli przecząco głowami. Ale Julia to zauważyła i postanowiła zgłębić sprawę. - Zechcielibyście może powiedzieć nam, o co chodzi?

- O nic!

- Zupełnie nic.

Julia jednak miała zazwyczaj nosa w sprawach dorosłych, pewien szósty zmysł, i nie dała się tak łatwo zbyć.

- Coś planujecie - nalegała. Jason odrzucił sobie znowu włosy zaciekawiony sytuację.

Pani Covenant zebrała nerwowo talerze ze stołu. - Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy z wami, dzieci, ponieważ na razie to dopiero pomysł, jeszcze nie podjęliśmy decyzji...

Oparła ręce na ramionach męża.

„Zły znak - pomyślał Jason. - Zjednoczenie sił”.

- Wiecie dobrze, jak bardzo lubimy ten dom, ale...

- Ale...? - zapytały zgodnym chórem bliźnięta, coraz bardziej zaniepokojone.

- Jesteśmy przekonani, że dalsze mieszkanie w Willi Argo stało się naprawdę niemożliwe.

- Jak to „niemożliwe”...?

Pani Covenant zacisnęła ręce na ramionach męża i spojrzała z czułym uśmiechem na dzieci, które się w nią wpatrywały skamieniałe. - Myślimy zatem o powrocie na stałe do Londynu - powiedziała jednym tchem.

Rozdział 5

DOM OBLIWII NEWTON

Rick Banner zbudził się bardzo wcześnie, pozdrowił matkę, która śpieszyła się do kliniki weterynaryjnej, by pomóc ostatnim ofiarom powodzi, wskoczył na swój nieodłączny rower i pomknął z Kilmore Cove w kierunku przeciwnym niż urwisko Salton Cliff.

Minął warsztat Złotej Rączki, gdzie przez ogrodzenie wydało mu się, że spostrzegł MV augustę, którą pożyczyci poprzedniego dnia. Motocykl znowu stał na swoim miejscu pod dachem pilnowany przez groźnego pitbula.

„Piękna przygoda” - pomyślał Rick, stając na pedałach.

Pamiętał doskonale upojny pęd, jakiego doświadczył na tym motorze, jego hałaśliwe przyśpieszenie i ramiona

Julii, którymi obejmowała go w pasie. To było wspaniałe. Mimo że dzień zakończył się pożarem Willi Argo i śmiercią doktora Bowena...

Na to wspomnienie zadrżał.

Doktor spadł w ciemną przepaść pod mostem ze zwierzętami. Rick zamknął oczy i w głowie znowu mu zabrział ten ostatni, mrozący krew w żyłach wystrzał z pistoletu. Zobaczył płomyk na czubku parasola Wojnicza i wyraz niedowierzania na twarzy Bowena, gdy zatoczył się do tyłu i zaplątał nogami w linę cumowniczą balonu. A chwilę potem... doktor spadł w otchłań przepaści.

Pochłonęła go ciemność.

„Kurczę, marny koniec”.

Rick potrząsnął głową, żeby uwolnić się od tych mrocznych myśli. Także dlatego, że nie pomagały mu skupić się na tym, co teraz było najważniejsze: odnalezieniu Pene-lopy i Ulyssesa Moore'a oraz sprowadzeniu ich do domu. Tym razem obojga.

Wiele o tym myślał i postanowił, że pierwszą sprawą do załatwienia jest spotkanie i rozmowa z Peterem De-dalusem. Trzeba mu opowiedzieć o balonie, poprosić by zbudował drugi i zejść ponownie w podziemia Labiryntu.

Ale przed udaniem się do Wenecji wieku osiemnastego, trzeba było załatwić dwie sprawy: nakarmić konia i pożegnać pewną osobę.

^ _DOM OBLIWII NEWTON_ ^

Pokonał wzniesienie na skraju miasta, minął cypel z latarnią morską i zatrzymał się przy stajni, w samą porę, by dać paszę Ariadnie. Łódź Leonarda jeszcze nie powróciła.

Nieobecność latarnika i jego żony stawała się z dnia na dzień coraz bardziej uciążliwa. Było tak, jakby oni oboje postanowili wypisać się z całej tej historii. Jakby opuścili Kilmore Cove na zawsze.

Kto wie, co by powiedzieli na wiadomość, że księgarnia Kalipso została całkowicie zniszczona...

Rick rzucił klaczy ostatnią wiązkę siana.

„Nie da się niczego zbudować, nie rujnując czegoś...” -powiedziałby jego ojciec, gdyby żył. - Wiesz co, tato? To wcale nieprawda - powiedział na głos chłopiec o rudych włosach, dziwiąc się sam tej niespodziewanej myśli.

Od morza wiał zmienny wiatr. Powierzchnia wody była usiana setkami lśniących diamentów, a drzewa na wzgórzach pochylały się to w jedną, to w drugą stronę.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że Rick nie zgadzał się z maksymą swego ojca i to wcale nie było przyjemne uczucie. Czuł się, jakby przestało go chronić ojcowskie doświadczenie. Jakby nagle musiał zacząć myśleć wyłącznie na własny rachunek.

Wzruszył ramionami i wsiadł z powrotem na rower.

„Ja niczego nie musiałem burzyć, żeby zbudować coś z Julią” - powiedział do siebie, naciskając na pedały.

Ale co takiego zbudował, szczerze mówiąc? Serce zaczęło mu bić mocniej i to nie z powodu wysiłku pedałowania.

Dom Obliwii Newton wyłonił się nagle zza zakrętu i Rick nie umiał powstrzymać uśmiechu: ten z pewnością należałoby wyburzyć, żeby zbudować nowy. I w miarę możliwości sympatyczniejszy.

Była to betonowa budowla, niska i szeroka, podobna do odwróconego tortu, osadzona na niewielkim wzniesieniu trochę powyżej drogi wzdłuż wybrzeża. Liliowa bu-genwilla oplotła fasadę i szczęśliwie osłoniła jej większą część.

Aż do poprzedniego wieczoru dom od bardzo dawna stał pusty. Po śmierci właścicielki przeszedł, wraz z pozostałymi dobrami zgromadzonymi w ciągu lat przez bogatą kobietę

interesu, w posiadanie Blacka Wulkana, ojca Obliwii. Ten jednak nie miał zamiaru postawić tam nogi.

„I jak nie przyznać mu racji” - pomyślał Rick, pedałując aż do furtki.

Zadzwoił i czekał, zerkając poprzez kraty, aż ktoś otworzy. Ale nikt nie nadchodził.

Zawołał głośno i dopiero wtedy wyjrzała z góry uśmiechnięta czarnowłosa Anita Bloom.

- Nie słyszałam dzwonka! - wykrzyknęła.

„Oczywiście - dopiero w tym momencie przypomniał

Ale co takiego zbudował, szczerze mówiąc? Serce zaczęło mu bić mocniej i to nie z powodu wysiłku pedałowania.

Dom Obliwii Newton wyłonił się nagle zza zakrętu i Rick nie umiał powstrzymać uśmiechu: ten z pewnością należałoby wyburzyć, żeby zbudować nowy. I w miarę możliwości sympatyczniejszy.

Była to betonowa budowla, niska i szeroka, podobna do odwróconego tortu, osadzona na niewielkim wzniesieniu trochę powyżej drogi wzdłuż wybrzeża. Liliowa bu-genwilla oplotła fasadę i szczęśliwie osłoniła jej większą część.

Aż do poprzedniego wieczoru dom od bardzo dawna stał pusty. Po śmierci właścicielki przeszedł, wraz z pozostałymi dobrami zgromadzonymi w ciągu lat przez bogatą kobietę interesu, w posiadanie Blacka Wulkana, ojca Obliwii. Ten jednak nie miał zamiaru postawić tam nogi.

„I jak nie przyznać mu racji” - pomyślał Rick, pedałując aż do furtki.

Zadzwoił i czekał, zerkając poprzez kraty, aż ktoś otworzy. Ale nikt nie nadchodził.

Zawołał głośno i dopiero wtedy wyjrzała z góry uśmiechnięta czarnowłosa Anita Bloom.

- Nie słyszałam dzwonka! - wykrzyknęła.

„Oczywiście - dopiero w tym momencie przypomniał sobie Rick. - Przecież nie ma prądu!”.

Anita zeszła, żeby otworzyć zamek kluczem, i wkrótce Rick wszedł na teren posesji.

- Coś nowego? - zapytała dziewczynka.

Rick pokręcił przecząco głową.

Położył rower na ziemi, ściągając przedtem z kierownicy zegarek swego ojca i poszedł za Anitą po kręconych schodach prowadzących na pierwsze piętro.

Wnętrze domu Obliwii Newton było przestrzenią typu open space z dwoma ogromnymi oknami wychodzącymi na morze. Urządzone było w sposób dosyć niepokojący - meblami i przedmiotami w stylu futurystycznym. Trochę przypominało wnętrze... lodówki.

- A twój tata? - zapytał chłopiec o rudych włosach, rozglądając się onieśmielony dokoła.

- Jest na dole.

- Udało się wam dodzwonić do mamy?

Anita przytaknęła i dała znak Rickowi, by usiadł na tapczanie o wyglądzie groźnie nowoczesnym.

- Nie będę się rozsiadać - powiedział chłopiec. - Razem z Tommim przygotowujemy się do wyjazdu do Wenecji.

Dziewczynka spojrzała na niego pytająco.

- Nie do twojej Wenecji - uściślił Rick.

- Aha.

- Potrzebujemy Petera.

Anita zmrużyła oczy. Po dłuższym odpoczynku, prysznicu i solidnym posiłku odzyskała swoją dawną energię i spojrzenie pełne blasku i życia. Ale nie miała najmniejszego zamiaru ładować się w nową przygodę poza Wrotami Czasu.

- Nie sądzę, bym mogła wam towarzyszyć... - zaczęła mówić, jakby otrzymała specjalne zaproszenie.

- Nie przyszedłem tu po to, by cię namawiać - przerwał jej Rick. - Wiem, że wyjeżdżasz i chciałem cię tylko pożegnać.

To była prawda: po rozmowie telefonicznej z matką Anita z ojcem postanowili wypożyczyć samochód i pojechać po panią Bloom do Londynu, żeby rodzina znów była w komplecie.

- Wrócisz, prawda?

Anita uśmiechnęła się. - No tak. Przynajmniej żeby zabrać Tommiego. Jego rodzice okropnie się martwią. Dziś w końcu udało się nam z nimi porozmawiać i trzeba było wielkich zdolności dyplomatycznych mego ojca, żeby ich przekonać, że wszystko jest w porządku.

- Zaopiekuję się nim.

Zapadło milczenie i w powietrzu zawisły pewne pytania.

Na koniec Anita przerwała tę ciszę. - Widziałeś się z Jasonem? - zapytała, nie patrząc na Ricka i leciutko się czerwieniąc.

- Nie, ale rozmawialiśmy niedawno. Został ukarany.

- Rozumiem. A w miasteczku... co mówią o ostatnich wydarzeniach? - dziewczynka pośpiesznie zmieniła temat.

- Cóż, moja matka powiada, że nikt nie potrafi wyjaśnić, co wspólnego ma Bowen z pożarem Willi Argo. A przede wszystkim ludzie się dopytują, gdzie doktor przepadł. Dziś powinny się zacząć poszukiwania, które -jak wiemy - nie doprowadzą do niczego...

Anita pomyślała o paskudnym końcu doktora Bowena i głęboko westchnęła. Potem wstała i podeszła do okna. - Sądysz, że istnieje jeszcze ktoś inny... zamieszany w tę historię z Wrotami Czasu? - zapytała cichutko, błędząc spojrzeniem po morzu pomarszczonym od wiatru.

- Ktoś inny mający złe zamiary? - Rick pokręcił głową. - Nie, nie sądzę, żeby byli jeszcze jacyś inni niegodziwcy.

Ale wcale nie był tego pewien.

Rozdział 6

WYZNANIA W BLASKU ŚWIECY

- Co za katastrofa... - szeptał ojciec Feniks, chodząc nerwowo tam i z powrotem w ciasnej zakrystii, z rękami założonymi do tyłu.

Proboszcz Kilmore Cove nie był sam: naprzeciwko niego, na starym fotelu biskupim zakupionym przez księdza na perskim targu przy Portobello Road, rozsiadł się Black Wulkan. Kiedy fotel podejrzanie zaskrzypiał pod masywnym byłym zawiadowcą, ojciec Feniks już-już miał wskazać gościowi inne miejsce, ale jakoś się powstrzymał.

Nigdy nie byli z Blackiem szczególnie blisko i nie zamierzał wdawać się z nim w niepotrzebną dyskusję.

Z pewnością nie teraz, kiedy było tyle problemów do rozwiązania.

- Jak się czuje pani Bowen? - spytał bez specjalnego przejęcia Black.

Ksiądz przystanął i spojrzał na niego wzrokiem wyrażającym strapienie. - Jeszcze się nie przebudziła. Przynajmniej nie całkiem. Leży w łóżku i z trudem oddycha. Na szczęście Bowen, zawsze bardzo dokładny, pozostawił w domu szczegółową rozpiskę, jakie leki i o jakiej porze należy żonie podawać.

- Leki? - zapytał podejrzliwie Black Wulkan. Pamiętał, że zaledwie przed dwoma dniami dzieci odkryły w aptece doktora specyfiki mocno podejrzane, ukryte między tymi pospolitymi. Lekarstwa pochodzące z Miejsc z Wyobraźni, wywołujące skutki doprawdy zdumiewające.

- Wszystko normalne lekarstwa... - odparł ojciec Feniks, jakby czytał w myślach Blacka. - Między innymi herbatka ziołowa o łagodnym działaniu nasennym. I zadają sobie

pytanie, czy pani Bowen śpi z potrzeby czy też mąż ją uspił, żeby zapewnić sobie większą swobodę działania.

- Myślę, że to drugie - uznał Black Wulkan. - Bowen musiał uporządkować trochę pewne „delikatne” sprawy przed opuszczeniem miasta. A gdy żona spała, nie musiał się z niczego tłumaczyć.

Ksiądz smutno pokiwał głową. - Możliwe. Co zatem proponujesz? - zapytał po chwili.

- Zbudź ją. I powiedz, jak się sprawy mają. Nigdy nie wiadomo, czy nie dowiesz się czegoś nowego. Może okaże się, że wie, gdzie się ukrywa Penelopa. - Black zamilkł na dłużej, po czym dorzucił: - Czy ktoś powiadomił jej córkę?

Ojciec Feniks pokręcił przecząco głową. - Jeszcze nie. W każdym razie, ja nie. Nie wiem nawet, gdzie przebywa.

- W Londynie - przypomniał sobie były zawiadowca. - Lepiej, żebyśmy to my zrobili, zanim wpadnie na to ktoś w miasteczku.

- Plotki już krążą - zauważył ojciec Feniks. - I nie powstrzymam ich przecież.

- To oczywiste - odparł Black, kręcąc się na biskupim fotelu, który znowu zaskrzypiał. - Willę Argo podpalono, doktor Bowen zniknął, a jego samochód znaleziono obok w ogrodzie. Sądzę, że to wystarczające przesłanki, by nikt nie mógł wątpić w jego udział w sprawie.

- I na tym nie koniec: wśród osób, które gasiły ogień, byli też Kastor i Polluks.

Black Wulkan spuścił zmartwiony głowę. Kastor i Polluks to były przezwiska, jakie od lat przyłgnęły do dwóch jedyńskich w Kilmore Cove policjantów. Nie byli nigdy w swoich dochodzeniach szczególnie bystrzy, ale zawsze lepiej było nie wpaść im w łapy i nie narazić się na przesłuchania.

Były zawiadowca dzwignął się, by pójść przejrzeć biuro doktora, zanim ci dwaj zaczną węszyć i znajdą jego zapiski czy coś innego.

- Bowen... kto by to pomyślał? - odezwał się na głos. - Okazał się skończonym bydlakiem- Szpiegował nas przez te wszystkie lata, podróżował przez Wrota Czasu bez naszej wiedzy i, jak się zdaje, ma Pierwszy Klucz...

- A teraz klucz znikł ostatecznie w jakiejś ciemnej i niedostępnej rozpadlinie w czeluściach Ziemi, dokąd mam nadzieję, nikt z was nie zechce się udać na poszukiwania. Black Wulkan uśmiechnął się złośliwie. - Poczekaj tylko, jak wróci Leonard...

- Musicie skończyć z tą historią raz na zawsze - zaproponował ojciec Feniks. - Bowen stał się tą kroplą, która przelała kielich. I tak będzie poważny problem z wymyśleniem prawdopodobnej i możliwej do zaakceptowania wersji na temat tego, co się wydarzyło.

Black parsknął zniecierpliwiony. - Chcesz wersję prawdopodobną i do przyjęcia? Proszę bardzo: Bowen pojechał do Willi Argo, bo został wezwany. Zaskoczył jakichś podpalaczy na gorącym uczynku, doszło do bijatyki i biedny bohaterski doktor spadł do morza.

- A gdzie się podzieli bandyci? - zapytał ksiądz nieco sceptycznie.

- Uciekli.

- Dokąd?

Black Wulkan podniósł tylko oczy ku górze. - Może na morze?

- Przestępcy, którzy przyłynęli od morza?

- Tak, nazywają się pi-ra-ci. Nie wiesz o tym?

Ojciec Feniks spojrział na niego z politowaniem. -

Black, żyjemy w XXI wieku! Dziś piratów już nie ma!

- To ty tak uważasz - wybuchnął tamten. - Nieraz się pojawiają i to wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewasz, prosto z piekła!

W tym momencie proboszcz Kilmore Cove uniósł rękę. - Licz się ze słowami, Black.

Przypominam ci, że jesteś w domu bożym.

- Apropoz - odparł Black spokojnie - należy urządzić porządny pogrzeb. Już takie bywały: pochówek bez zwłok.

- Jak w wypadku Bannera i małżonków Moore... - Ojciec Feniks pokiwał z rezygnacją głową. - Jak tak dalej pójdzie, cmentarz w Kilmore Cove będzie pełen pustych grobów. Na myśl o tym Black gorzko się roześmiał. Potem wstał i skierował się w stronę wyjścia z zakrystii.

Ale w ostatniej chwili dosięgło go kolejne pytanie księdza: - Szukacie go?

Były zawiadowca przystanął. - Tak - odparł.

- Domyślcie się, dokąd mógł się udać? - Ojciec Feniks pochwycił błysk irytacji w oczach Blacka, więc zaraz dodał: - Przykro mi, że nie mogę wam pomóc, ale mnóstwo ludzi mnie tu potrzebuje. Pani weterynarz jest jedyną osobą zorientowaną w medycynie, wiele domów stoi jeszcze pod wodą i...

- Nie przyszedłem tu, by prosić cię o pomoc, Feniks. Chciałem tylko, żebyś o wszystkim wiedział. Na wypadek gdyby coś się zdarzyło. - Black Wulkan obrócił się. - Z drugiej strony nie sądzę, żebym był pierwszy, który ci się... zwierza. Czy może się myłę? Ojciec Feniks spojrział na niego w milczeniu. Po chwili uśmiechnął się i zaczął wkładać do szafy jakieś przedmioty. - Nie przyszedł do mnie - powiedział. - Ani on, ani Penelopa.

- Na pewno?

- Na pewno.

Black głęboko westchnął. - Dziwne, ponieważ ona napisała, że rozmawiała z tobą przed udaniem się w swoją ostatnią podróż...

W tym momencie ojciec Feniks przestał ustawiać coś w szafie i spojrział byłemu zawiadowcy prosto w oczy. - Black - powiedział bardzo spokojnie - wiem, że jesteś teraz skłonny do dostrzegania wszędzie spisku, ale ja nie mam nic do ukrycia. Ludzie mówią. Niekiedy się zwierzają, to prawda. A jeśli się spowiadają, jedno mają całkowicie zagwarantowane z mojej strony: milczenie.

- Jasne.

- To, co mi powiedzą, pozostaje między nimi a mną - ciągnął ksiądz, nie zważając na reakcję Blacka. - Mogę cię jednak zapewnić, że nic z tego, co mi powiedziała Penelopa, nie mogłoby zainteresować kogokolwiek z wyjątkiem mnie, jej samej i Wiekuistego Ojca.

Black Wulkan rzucił jeszcze okiem na wnętrze kościoła, gdzie widać było kilka osób, które przyszły się pomodlić. Obszerną i mroczną przestrzeń oświetlały setki wotywnych lampek, które zapalili z wdzięczności swoim świętym patronom ci, co podczas powodzi uniknęli zalania.

Były zawiadowca wzruszył ramionami i bez słowa opuścił zakrystię.

Rozdział 7

WIĘZIENIE GUBERNATORA

Nestor bardzo długo pozostał ukryty za drzewami, obserwując budynek gubernatora. Była to stara mała forteca o jasnych ścianach, dwupiętrowa, zbudowana na polanie w cieniu ogromnej palmy. Trawa przed wejściem była zdeptana. Po lewej stronie wąska ścieżka prowadziła do studni. Tu i tam widać było pozostałości murku okalającego teren z koślawą i zardzewiałą bramką.

O ile mu było wiadomo, ten budynek nigdy naprawdę nie należał do gubernatora.

Wnętrze było podzielone na niewielkie cele, wykorzystywane od czasu do czasu przez piratów, którzy upodobali sobie to miejsce. Prawdziwym więzieniem, prawdę mówiąc, była sama wyspa: położona z dala od wszelkich szlaków handlowych. Usunięta z map w połowie XIX wieku, ta niegościnna rafa rzucona pośrodku oceanu została przez wszystkich zapomniana, wyjąwszy nielicznych Podróżników w Wyobraźni, którzy jak Nestor, odkryli jej

istnienie całkiem przypadkowo. Nie miała już nawet imienia, ale to było bez znaczenia. Mogłaby nosić nazwę „Mompracem”, jak wyspa piratów malezyjskich w powieściach Salgariego, albo „Tajemnicza Wyspa”, jak kryjówka kapitana Nemo z opowieści Juliusza Verne'a.

Kiedyś Leonard wierzył, że wyspa leżała na trasie przelotów wszystkich wędrownych ptaków. Krążyły o tym legendy. Wyspa ptaków wędrownych. Istotnie, tysiące gatunków zakładało tu gniazda. Inne zatrzymywały się na odpoczynek i odlatywały. Z północy na południe, ze wschodu na zachód - tu był zawsze ich przystanek. Fascynujące, ale i to było bez znaczenia.

Jedyne, co było ważne w tym miejscu, to to, że nie sposób było z niego uciec. Podróż tylko w jedną stronę, bez możliwości powrotu. Więzienie doskonałe.

Nestor nie uwolnił się jeszcze od niemiłego wrażenia, że jest pod obserwacją, ale postanowił opuścić kryjówkę w krzakach. Podszedł do jedyne go wejścia do fortecy, ciemnego i otwartego, i zawołał: - Penelopa? To ja!

Odpowiedział mu tylko wiatr, który rozkołysał łagodnie wierzchołki palm, i pokrzykiwanie mew.

Zawołał jeszcze parę razy, potem zerknął do środka.

Zobaczył żalony i ponury widok: podarte na strzępy stare tkaniny wschodnie, pozostałości berberyjskich sprzętów rozbite na kawałki, częściowo spalone... Wyglądało jakby ten dom nawiedził jakiś cyklon.

Nestor przeszedł po tym, co pozostało z dziesiątków doszczętnie podartych dywanów.

Obszedł całą fortecę, ceka za ceka.

Ostatnia, do której wszedł, wyglądała jakby niedawno ktoś w niej mieszkał. Miała ściany pobielone wapnem. W rogu leżała rzucona na podłogę zakurzona kokosowa mata, a pośrodku, na plecionym stoliku, znajdowały się dwie czarki ze skorupy kokosa.

Nestor, podniósł wzrok i zobaczył kalendarz wyryty na ścianie.

Dni to były kropki.

Miesiące - kreski.

Lata - małe krzyżyki.

Dwanaście krzyżyków.

Nestor przełknął ślinę! Oddychając z pewnym trudem, zawrócił. Znowu przeszedł przez cele. Pierwszą, drugą... Nagle poczuł, że brak mu powietrza i pomyślał, że postąpił idiotycznie, przybywając na tę przeklętą wyspę.

Pomału dotarł w końcu do wyjścia. Ale kiedy właśnie przekraczał próg, zauważył wyryty na belce nad drzwiami napis, którego wcześniej nie zauważył:

PRZYJDEŃ PO CIEBIE

Z jakiegoś powodu Nestor miał pewność, że odnosi się do niego.

Zatoczył się do tyłu i oparł o ścianę, rozdeptując skorupy jakichś szklanic z dmuchanego szkła.

Potem znowu usłyszał ten dźwięk. To już po raz trzeci odkąd się tu pojawił i teraz Nestor nie miał już wątpliwości: ktoś za nim szedł.

Ale ta myśl, zamiast go przerazić, rozwiała jego wahania. W gruncie rzeczy przecież właśnie po to skierował tutaj Metis.

Podszedł do wyjścia i zaczął nasłuchiwać. Ten ktoś musiał być gdzieś na zewnątrz. Przebiegł wzrokiem po roślinności otaczającej fortecę, próbując wychwycić jakiś podejrzaną szczegół czy ruch, chociaż jego wzrok nie był już taki jak dawniej.

W końcu ogrodnik z Willi Argo porzucił wszelkie środki ostrożności i pokuśtykał za próg, krzycząc co sił w płucach: - Słyszałem cię! Wiem, że tu jesteś!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

- To ja, Ulysses! - krzyknął znowu. - I dobrze wiesz, z jakiego powodu tu jestem!

Wiatr pomiędzy palmami.

Cienkie piski mew.

- Przybyłem w poszukiwaniu Penelopy! - krzyknął

Nestor, kiedy zmęczyło go oczekiwanie. - Czy jest z tobą? Zrobiłeś jej coś?

I znowu cisza.

Nestor zaklął, po czym znów postąpił kilka kroków do przodu.

- Powiedz, jakiej potrzebujesz gwarancji, żeby wyjść z ukrycia? - wykrzyknął, podnosząc ręce. - Spójrz, nie mam broni!

Odrzucił daleko plecak. - I niczego ze sobą nie mam!

Wiedział, że wiele ryzykuje. Wiedział doskonale. Ale równie dobrze wiedział, że z nim nie może sobie pozwolić na gierki.

- Przykro mi z tego powodu, co ci zrobiliśmy! Naprawdę! Chcesz zemsty? Rozumiem, więc wyjdź! Czekam na ciebie!

Tym razem Nestor posunął się o kilka kroków i stanął w słońcu. W słońcu metalicznym i zimnym. Szarym i jednocześnie białym. Pozostał tam nieruchomo, otoczony przez nieprzyjazną przyrodę: fale tego oceanu błota, które rozbijały się o skały, ptaki, które latały między palmami, wiatr niosący piasek, który smagał mu twarz.

Potem nagle... niespodziewany ruch w krzakach.

„No, nareszcie” - pomyślał Nestor. Jego wielki nieprzyjaciel postanowił się pokazać.

Poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Minęło dwanaście lat od ostatniego razu, jak stanęli do pojedynku.

Dwanaście długich lat od tamtego ostatniego spotkania, kiedy Nestor i przyjaciele odstawili go na tę wyspę bez drogi powrotnej. I zatrasnęli Wrota.

Wszystko to pamiętał doskonale. I jednocześnie wiedział, że on był jedyną osobą w świecie, do której mógł się zwrócić, by odnaleźć Penelopę.

Między liśćmi pojawiła się ręka.

- Ile czasu można... - mruknął Nestor przejęty.

Z gęstych krzaków wynurzyła się płynnym ruchem jakaś postać.

Nie dalej niż o dziesięć kroków od starego ogrodnika.

Nestor uniósł brwi: - A ty... coś za jeden? - zapytał, zdumiony.

- Ja? - odpowiedział chudy chłopaczek, który dopiero co zmaterializował się przed Nestorem. - Ja... nazywam się Flint. I, niech mi pan wierzy, nie mam zielonego pojęcia, co ja tu robię.

Rozdział 8

OKAZJA DLA DWÓCH

Schówek przy stacyjce w ogromnym samochodzie z ciemnymi szybami, jak w tych gangsterskich, nagle się otworzył. W środku znajdowały się dokumenty.

Anita, siedząc na miejscu dla pasażera, w mroku garażu, położyła je sobie na kolanach i kolejno przeglądała.

Znalazła od razu kartę wozu i polisę ubezpieczeniową i odłożyła je na miejsce. „Doskonale - powiedziała. - Wygląda, że wszystko jest w porządku”.

Prawda, że limuzyna była trochę za wielka jak na jej potrzeby. Wielka i pretensjonalna, ze skórzanymi siedzeniami, z drzwiczkami intarsjowanymi korzeniem wrzoś-ca i z mnóstwem guzików i guziczków, które umożliwiały

regulowanie wszystkiego: wysokości oparcia, siedzeń, zagłówek.

Dziewczynka przejrzała szybko pozostałe papiery: pocztówki z podróży, reklamówkę z restauracji, zaproszenie na jakąś galę, ilustrowane pisemko na temat fitness, kwity za paliwo i ulotkę jakiejś siłowni dla VIP-ów.

Anita widziała Obliwę Newton na kolosalnych fotografiach rozwieszonych w salonie i nie sprawiało jej zupełnie trudności dopasowanie tego wizerunku do przedmiotów zgromadzonych w schowku w samochodzie. Widziała też jej ubrania w szafie. Była jeszcze siłownia w suterenie, świetnie wyposażona w sprzęt sportowy. I ogromne urządzenie do hydromasażu. Wszystko pozostawione tak, jakby właścicielka domu miała tu w każdej chwili powrócić.

Ani Anita, ani jej ojciec niczego nie dotykali. Ograniczyli się do zajęcia sypialni oraz korzystania z łazienki i kuchni. Zgodnie z sugestią Blacka postanowili na kilka dni pożyczyć sobie ogromną czarną limuzynę.

Na czas konieczny, by pojechać do Londynu, zabrać panią Bloom i przywieźć ją do Kilmore Cove.

- Ogromnie jestem ciekawa twojej miny, mamó, kiedy zobaczysz to miasteczko - mówiła do siebie Anita.

Potem odłożyła wszystkie papiery na miejsce, ale spomiędzy stron ilustrowanego pisemka wypadła biała koperta.

Anita pochyliła się i ją podniosła. Była zaadresowana do Obliwii Newton od firmy transportowej:

Homer & Homer Przeprowadzki z gwarancją jakości Grays Inn Road 9b WC1X8WB, Londyn

Anita zauważyła, że koperta była otwarta.

Przesunęła palcem wskazującym wzdłuż jej krawędzi i wyczuła, że wewnątrz znajdują się co najmniej dwie kartki. Jedna wąska i długa, druga bardziej w formacie zwykłego papieru listowego.

„Nie czyta się...”

Obróciła kopertę w palcach, niezdecydowana, zastanawiając się, gdzie słyszała tę nazwę Homer & Homer. Potem pomyślała, że skoro list był adresowany do Obliwii, najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić, byłoby przekazanie go Blackowi Wulkanowi..

Jasne, że na widok otwartej koperty były zawiadowca z pewnością pomyśli, że Anita list przeczytała. No, to warto by może było...

„To w stylu Jasona” - powiedziała sobie nieco zde gustowana.

Rozejrzała się dokoła. W garażu było ciemno i cicho. Ojciec krzątał się gdzieś po domu.

- Oj, do licha! W gruncie rzeczy chodzi tylko o rzucenie okiem!

Drżącą ręką wyciągnęła z koperty podłużny, wąski druczek i zatkało ją z wrażenia: był, to czek bankowy na pół miliona funtów, podpisany Obliwia Newton.

Kiedy szok minął, wyciągnęła również drugą kartkę i zaczęła czytać:

Szanowna Pani Newton,

z prawdziwą przykrością zwracam Pani czek, którym z taką hojnością zechciała Pani wnieść przedpłatę, by dokonać transakcji F.L. Jak to już Pani wcześniej zakomunikowałem, dokonanie jej nie leży w moich zamiarach.

Gdybym jednak zmienił zamiar, zapewniam Panią, że znajdzie się Pani na czele listy ewentualnych nabywców.

Tymczasem kreślę się z poważaniem

Frank J. Homer

Anita ponownie przeczytała te kilka linijek, odłożyła list na miejsce i zmarszczyła czoło, zamyślona. O jakiej transakcji była mowa?

„F.L. - powtórzyła. - Transakcja F.L.”

Nagle usłyszała jakieś głosy dochodzące spoza garażu. Zamknęła szybko schowek i wyszła z auta.

Silne i niespodziewane słońce zmusiło ją do zmrużenia oczu i na chwilę zupełnie oślepiło.

- Anita?

- To ty, Anita?

Kiedy odzyskała wzrok na tyle, by rozróżnić kształty, rozpoznała braci Nożyców stojących przed furtką.

- Jak się masz?

- Wszystko w porządku?

Dziewczynka przyglądała sobie ręką włosy, wsuwając je za uszy. Poszukała przycisku od furtki wśród pędów bugenwilli, ale po chwili przypomniała sobie, że nie ma prądu - podeszła i otworzyła furtkę kluczem.

- Co wy tu robicie? - zapytała Podpalaczy.

Bracia Nożyce wyglądali na speszonych.

- Słyszeliśmy, że... szykujecie się do drogi.

- Że... wracacie do Londynu.

Anita znowu zmarszczyła czoło. Skąd mogli to wiedzieć? Rozmawiała o tym jedynie z Rickiem, który mógł to powtórzyć tylko Tommasowi. Albo może Blackowi, a potem Black...

- To prawda - potwierdziła, uznając, że nie ma co stwarzać problemów. - Wkrótce wyjeżdżamy.

- Och, to cudownie! - zawołał blondyn.

- Tak, wprost fantastycznie... - dodał kędzierzawy.

Anita zerknęła im za plecy. - Przyszliście sami?

- Chcesz powiedzieć - bez Wojnicza? - zapytał blondyn, najwyraźniej speszony. - No cóż, szef został w miasteczku. A my... zrobiliśmy niezły... spacer.

- Który uspokaja.

Prawdę mówiąc, obaj wyglądali na wykończonych jak po jakichś wyścigach. Ich ubrania były w strzępach, a z butów dosłownie odpadały podeszwy.

- Przechodziliśmy tędy i pomyśleliśmy sobie, a może... Tak, znaczy, może... moglibyście nas zabrać przy okazji.

- Dla nas to bardzo ważne, żeby wrócić do Londynu. Zostawiliśmy samochód na parkingu na lotnisku i... obawiamy się, że jeśli go szybko nie zabierzemy, to będzie nas kosztować tyle, co nowy wóz.

- I jeszcze chcielibyśmy wpaść do siedziby naszego klubu.

- Zobaczyć, co jest grane i zawiesić tymczasem nasze praktyki.

Anita z trudem powstrzymała uśmiech. - A co na to wasz szef? - zapytała najpoważniej, jak tylko mogła.

- Och, on... nie wierzę, żeby przyszedł - odparł blondyn.

- Mało tego, przypuszczalnie nie chce już być naszym szefem - dorzucił kędzierzawy. - On się tu dobrze czuje. Powiada, że zdecydował się tu zostać i pisać.

- Dziwne, nie? Po całym życiu spędzonym na niszczeniu cudzych książek, teraz wygląda na to, że nie pragnie niczego innego jak tylko pióra, kartki papieru i stolika nad morzem.

- Podczas gdy wam, jak sądzę, brakuje powietrza miejskiego... - zażartowała Anita, coraz bardziej ubawiona.

- Wiesz, jak to się mówi - odparł kędzierzawy. - „Wiejskie powietrze jest czyste, ponieważ wieśniacy śpią z zamkniętymi oknami. Podczas gdy miejskie...”.

- Czekał, czekaj... - przerwał mu blondyn. - To z Ezry Pounda?

- Eugene Ionesco! - poprawił go brat, triumfując. - W każdym razie masz rację, Anita.

Brakuje nam miejskiego powietrza. I jak już o tym mowa, brakuje nam też pralni automatycznych, gazet zanieczyszczonych ołowiem, wiecznie zatłoczonego metra, dróg zapchanych samochodami...

- I naszych cygar w klubie przy Frogmal Lane!

- Frognał Lane... - szepnęła Anita, doznając nagle olśnienia. - Ależ tak! Jasne! Oto czego dotyczyła „transakcja F.L.”!

Dwaj Podpalacze wymienili zdumione spojrzenia.

- Obliwia Newton pertraktowała w sprawie nabycia starego domu Moore'ów w Londynie! - ciągnęła dziewczynka. - Ale dlaczego, waszym zdaniem?

- Nie wiem... - odparł blondyn.

- Obliwia... jak? - zapytał kędzierzawy.

Ale Anita rzuciła się już biegiem w stronę schodów prowadzących z dziedzińca do domu, krzyżąc: - Zaczekajcie tutaj pięć minut! Pędzę po ojca i ruszamy! Musicie koniecznie pokazać mi ten klub przy Frognał Lane! Jestem pewna, że to będzie niezwykle ciekawe!

Jak tylko znikła połknięta przez bugenwillę i szklane obrotowe drzwi, kędzierzawy spojrzął na brata i zadowolony stwierdził: - Wygląda na to, że złapaliśmy okazję. A drugi odparł: - Chwała Bogu. Wracamy do domu.

Rozdział 9

MIASTO TYSIĄCA KANAŁÓW

Przybycie do tego miasta jak zawsze wiązało się z wielkimi emocjami.

Upłynęło wiele czasu, odkąd Rick był po raz ostatni w Wenecji, ale zapamiętał ten pobyt doskonale: to właśnie wtedy odważył się po raz pierwszy pocałować Julię.

Tymczasem Tommaso był tam zaledwie kilka dni temu, zanim brawurowo wymknął się Podpalaczom, i prawie nie zauważył różnicy między współczesną Wenecją a tym miastem sprzed wieków. Ale był nie mniej przejęty od swojego angielskiego przyjaciela: przecież właściwie wracał do domu.

Przed wyjazdem obaj chłopcy umówili się na spotkanie przy skrzyżowaniu Owl Clock, skąd pełną drogą udali się do Domu Luster. Kiedy do niego weszli, natknęli się na dużą białą sowę strzegącą starego domostwa Petera Dedalusa. Była raczej zdenerwowana ich pojawieniem się, i to w asyście małej pumy, która nie przestawała jej obwąchiwać z zaciekawieniem.

Potem przeszli przez Wrota Czasu i w końcu znaleźli się w zaułku Amor degli Amici w sercu osiemnastowiecznej Wenecji.

Rozglądając się wkoło, nie zauważyli nic szczególnego. Mechaniczna gondola Petera Dedalusa była przycumowana w pobliżu; pumiątko na sam widok wody w kanale zaczęło piszczeć i prycać.

- Może znalazł się sposób na zgubienie jej! - zażartował Rick, wskakując na pokład gondoli i szukając sterów pod stopami. Łódź poruszała się dzięki pomysłowemu systemowi na pedały, wynalazkowi genialnego zegarmistrza z Kilmore Cove.

Teraz z kolei Tommaso wskoczył do gondoli, a mała puma uparcie towarzyszyła im, biegnąc po łądzie. Kiedy jednak dopłynęli do pierwszego mostu, wspięła się na balustradę i wskoczyła na pokład, wpadając w ramiona chłopca z Wenecji.

- Nie ma rady! - westchnął. - Wygląda na to, że ten worek pełen uznał, że jego życiowym powołaniem jest dręczenie mnie.

Skierowali się przez płataninę kanałów w stronę Campo Santa Marina, gdzie stał dom Alberta i Roselli Callerów. Było to jedyne miejsce, gdzie mieli nadzieję znaleźć jakieś informacje dotyczące Petera Dedalusa. W tajemnym pomieszczeniu tego domu, niegdyś należącego do rodziny Penelopy, Peter pozostawił tajną drukarnię, z której od czasu do czasu korzystał.

- Wiesz ty co? - w pewnej chwili zagadnął przyjaciela Tommaso, kiedy płynęli w milczeniu wzdłuż odnogi kanału Ormian. Ogromne chorągwie w kształcie rombów zwisały z gotyckich balkoników od strony kanału, a poprzez biforia wysokich pałaców widać było kasetony

bogato zdobionych sufitów. - Z wyjątkiem koloru wody, która dzisiaj jest jeszcze bardziej zielona i mętna, Wenecja wcale się tak bardzo nie zmieniła.

Rick uśmiechnął się w milczeniu.

Minęli cały las „brikoli”, czyli wysokich słupów drewnianych wbitych w dno laguny dla ułatwienia łodziom przybijania do brzegu, i wśliznęli się w labirynt zaułków z coraz to mniejszymi wąskimi kanałami, przepływając pod licznymi mostkami. W pewnej chwili owiął ich zapach świeżego chleba i pączków z pobliskiej piekarni i aż ich kusilo, by zboczyć z trasy...

Po paru zakrętach Rick dał znak Tommiemu, by zwolnił. - Jesteśmy na miejscu - powiedział. Ale w głębi wąskiego przejścia, gdzie znajdował się dom Callerów, czekała ich przykra niespodzianka.

- Stój! - krzyknął nagle chłopiec o rudych włosach. - Natychmiast zawracamy! Popedałowali z powrotem, dopóki nie zdołali skryć się za dużą barką wyładowaną towarem.

- Co się dzieje? - zapytał przejęty Tommaso.

Rick nie odpowiedział od razu. Wysiadł z mechanicznej gondoli i szybko ją przycumował. Potem pobiegł nabrzeżem po wąskim chodniku powyżej kanału i wychylił się za róg, by lepiej zobaczyć pałac.

No tak, przed domem Callerów kręciły się jakieś dziwne indywidua o podejrzanym wyglądzie. Nosili długie szare płaszcze, czarne kapelusze i maski z ptasim dziobem.

- Tajne służby doży - burknął Rick, rozpoznając starych nieprzyjaciół.

Tommi dogonił go w jednej chwili z małą pumą uczepioną ramienia i zerknął za róg. Potem się obrócił i spojrzał na przyjaciela wzrokiem pełnym determinacji. - Mogę wmieszać się między nich - powiedział, wskazując swój plecak. - Zabrałem kostium!

Chodziło o maskę i płaszcz, które ukradł Podpalaczom, kiedy kilka dni wcześniej umknął z Arsenалу.

Rick zastanawiał się chwilę nad tym pomysłem, potem pokręcił głową. - Zbyt ryzykowne - stwierdził.

Tommi spojrzał na niego zawiedziony, ale choć niechętnie, musiał się zgodzić z przyjacielem. Postali tak kilka minut, obserwując sytuację, tak aby nikt ich nie zauważył. Potem zobaczyli strażników wynoszących z bramy ogromną czarną maszynę z tłokami oraz zębatymi kołami i wrzucających ją do kanału. Drukarnia Petera została wykryta.

Nie pozostawało im nic innego, jak tylko oddalić się możliwie jak najprędzej.

Przebiegli z powrotem nabrzeżem do gondoli. Obaj byli wściekli i nie wiedzieli, dokąd iść.

Nie chcieli wracać do Kilmore Cove ze złą wiadomością, ale też nie wiedzieli, jak teraz nawiązać kontakt z Peterem. Pedalowali energicznie, zatopieni w ponurych myślach, nie zdając sobie sprawy z dziwnych poruszeń wody tuż za nimi. Tylko mała puma coś zauważyła i sapiała groźnie przechylona za burłę, ryzykując nieraz, że wypadnie do kanału.

- Chyba mam pomysł! - zawołał w pewnej chwili Tommaso. Przypomniał sobie, że w książce Ulyssesa Moore'a dotyczącej Wenecji autor wspominał starego właściciela pewnego sklepiku, niejakiego Zafona, który sprzedawał zeszyty i chyba znał Ulyssesa, Leonarda i pozostałych przyjaciół.

- Umiałbyś do niego trafić? - zapytał Rick.

Tommaso kiwnął głową pewien, że potrafi. - To od strony Arsenalu - wyjaśnił.

Kiedy wysiedli w pobliżu wielkiej stoczni Republiki, udali się na poszukiwanie zaułka, w którym powinien się znajdować sklep Zafona. Ponieważ nie znali dokładnego adresu, błądzili trochę na oślep, zaglądając w każdy kąt. Parę razy się zgubili i odnajdywali na jakimś „campiello”, jednym z tych charakterystycznych placyków weneckich, malutkich i pojawiających się zniemacka, pobudowanych wokół kamiennych studzienek podobnych do kapiteli dużych kolumn.

W tym momencie pumiątko zaczęło prychać przestraszone, spoglądając w stronę studni.

- Co ci jest, worku pcheł? - spytał Tommi, patrząc na kota z przejęciem.
- Musiała zobaczyć coś, co jej się nie spodobało - powiedział Rick, podchodząc do studni, by sprawdzić.

Górna część cembrowiny była kwadratowa, a trzon zdobiły na przemian amfory i lwy. Otwór był nakryty metalową kratą, przez którą było widać tafłę wody jakiś metr poniżej.

Nic nadzwyczajnego, w gruncie rzeczy.

Chłopcy wzruszyli ramionami, przeszli przez placyk i poszli w stronę następnego zaułku.

Pumiątko tymczasem zatoczyło wielki krąg, trzymając się na należytej odległości od studni, i ukazało się z przeciwnej strony.

- Jest! - zawołał nagle Tommaso.

Rozpoznał wąską i mroczną boczną uliczkę oraz zobaczył koślawy szyld:

MIASTO TYSIĄCA KANAŁÓW . SKLEP ZAFONA

Skierowali tam wzrok i nie zauważyli, że ze studni za ich plecami wysunęło się coś w rodzaju długiego i cienkiego peryskopu, który obrócił kilka razy swoje niewidoczne szklane oko, rozejrzał się uważnie po ulicy i w końcu zniknął pod żelazną kratą.

Rozdział 10

DACHY WERONY

- Ruszamy się - powiedział tłumacz do Freda Spiczu-wy, gdy tylko pani Bloom sobie poszła. Śledził jej wyjście przez telekamerę domofonu i jeszcze czas jakiś obserwował mały ekran, na którym było widać sklepy w galerii.

Droga była wolna. •

Lepiej jednak na wszelki wypadek skorzystać z tylnego wyjścia.

- Dokąd idziemy? - zapytał Fred, wolno gramoląc się z miejsca.

- Odwiozę cię do domu - odparł tłumacz. - Teraz, kiedy Bowen się ujawnił, nie ma sensu, żebyś tu nadal tkwił.

- Doskonale! Mam wielką ochotę na ciastko u Chubbera! - zawołał uradowany urzędnik biura meldunkowego w Kilmore Cove. Po czym nagle spochmurniał. - Ale kto wie, ile zaległych papierów wypadnie mi posegregować! Ile czasu nam zabierze powrót?

Tłumacz tylko pokręcił głową. Oczywiście nie znał odpowiedzi.

Nagle poczuł niepokój. Nawet jeśli Eco i inni Podpalacze teoretycznie nie byli już groźni, nie należało chyba zaniechać wszelkich środków ostrożności. Ciągle jeszcze miał niemiłe wrażenie, że jest śledzony i że istnieje ktoś, kto wolałby, żeby zarzucił tłumaczenie dzienników Ulys-sesa Moore'a. Zwłaszcza teraz, kiedy praktycznie było ukończone.

Zaczął spacerować wzdłuż rzędu książek, które zajmowały korytarz. Wybrał jedną, otworzył ją, zamknął i powiedział: - Ile zmarnowanej wyobraźni! Fred przyglądał mu się pytająco.

Tłumacz roześmiał się, potem westchnął. - W każdym razie teraz musimy stąd wyjść.

Będziemy się przemieszczać, używając technik, których teoretycznie stosować nie powinniśmy, skoro jak dotąd nie zostało udowodnione, że wszelkie ich skutki są całkowicie urojone.

Fred Spiczuwa pokręcił głową. - Nie nadażam za tobą.

- A jesteś gotów nadażyć? Fred zamrugnął oczami.

- Wybacz mi - roześmiał się tłumacz. - To była tylko gra słów. Lubię to. Wiesz, to mój zawód. - Potem klasnął w dłoń. - Śmiało! Musimy stąd zniknąć. I kiedy mówię „zniknąć”, rozumiem to dosłownie. Jak na filmie.

- Jak na filmie?

- Właśnie.

- A nie możemy po prostu... wsiąść do windy? - zapytał Fred Śpiczuwa, który poczuł, że ogarnia go jakiś niepokój.

Tłumacz serdecznie się roześmiał po czym podszedł do metalowych wieszaków przy wejściu i sięgnął po kurtkę od deszczu, którą szybko na siebie włożył. Wsunął na nogi trampki, jeden ze sznurowadłami czarnymi, a drugi z białymi, i zarzucił na plecy ciężki plecak. - A teraz spływamy - powiedział w końcu. - Radzę ci włożyć coś na wypadek deszczu.

- Ale świeci słońce.

- Zaufaj mi.

Tłumacz zniknął w pokoju i wyszedł po chwili z drugą kurtką nieprzemakalną. - Włóż to i wchodzimy.

- Chciałeś powiedzieć: schodzimy.

- Nie, nie. Chciałem powiedzieć właśnie wchodzimy.

Tłumacz otworzył drzwi mieszkania i wychylił się, by spojrzeć w dół klatki schodowej. - W porządku - uznał. - Teraz chodź za mną, śmiało. Zaczęli wchodzić po schodach w górę.

- Dokąd idziemy? - zapytał Fred Śpiczuwa, który posuwał się ospale.

- Masz zawroty głowy?

- Nie, raczej nie, ale...

- Doskonale.

Tłumacz zaczął grzebać w plecaku, nie zdejmując go z ramion. Wyjął z niego cienką linkę z dziwnym hakiem na końcu.

Potem, kiedy doszli na ostatni podest, nacisnął dzwonek do mieszkania, wyciągnął pęk kluczy i otworzył drzwi. - Dziadkowie na szczęście wyszli.

Fred Spiczuwa zdumiony wszedł za nim do środka.

Obaj przeszli szybko przez przedpokój i po wewnętrznych schodkach wyszli na niewielki taras z widokiem na dachy miasta. W powietrzu unosił się fantastyczny zapach aromatycznych ziół.

Tłumacz dosyć zgrabnie przeskoczył murek obsadzony rozmarynem, chwycił linkę z dziwną kotwiczką i powiedział: - To o wiele łatwiejsze, niż się zdaje, uwierz mi. Te liny tak naprawdę są magiczne.

Potem płynnym ruchem zarzucił ją na sąsiedni dach po drugiej stronie ulicy.

- Gotowe.

- Co gotowe? - zdumiał się Fred Spiczuwa.

- Popatrz i zrób to, co ja... - powiedział tłumacz, przywiązując sobie linkę do pasa. -

Widzisz te szlufki w kurtce, którą ci dałem? Daję ci słowo, to dziecinna igraszka. Albo raczej przeciwnie - zabawa Dachowych Łotrzyków.

- A kto to taki, ci Dachowi Łotrzykowie?

- To organizacja średniowieczna, która nie istnieje - wyjaśnił tłumacz, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. - Chyba że w dziennikach Ulyssesa Moore'a. Tom piąty. A teraz, z łaski swojej, idziemy: Kilmore Cove na nas czeka!

Rozdział 11

NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

- Flint? - zdumiał się Nestor, zastanawiając się, czy nie śni. - Jeden z kuzynów Flint... z Kilmore Cove?

- Tak, proszę pana. Najstarszy z trójki, ściślej mówiąc. Stary ogrodnik aż się zatoczył do tyłu. - A zechciałbyś

mi wyjaśnić, co u licha, tu robisz?

- Nie wiem, słowo daję. To znaczy... wiem, ale... zapewniam pana, że wolałbym nie wiedzieć!

Mały Flint był blady i przerażony i widać było wyraźnie, że nie umiał się w tym wszystkim połapać.

Nestor wpatrywał się w niego ze zmarszczonym czołem, jakby nie docierało do niego istnienie tej mizernej i drżącej istoty, która się tak nieoczekiwanie przed nim pojawiła.

Pod przenikliwym spojrzeniem starego ogrodnika łobuziak jednym tchem wyznał: - Byłem w pana domu! Doktor Bowen kazał mi wszystko spalić i... zacząłem to robić, ale potem...

Nestor uniósł brwi.

- No, tego... coś nie działało i ja... ja się zląkłem - ciągnął chłopiec, wykręcając sobie nerwowo dłonie. - Potem ... pamiętam, że zaczęło padać, a moi kuzyni uciekli... Te półgłówki... zostawili mnie samego do brudnej roboty, przekłęci zdrajcy! Myślałem wściekły, co im zrobię, kiedy ich dorwę, ale potem... - Mały Flint zawahał się, oczy miał wbite w czubki własnych butów. - W końcu... pomyślałem sobie, że coś jest nie tak w całej tej historii. Pomyślałem o doktorze Bowenie, o minie, jaką miał, kiedy wszedł do domu i czy aby nie zrobił czegoś złego Ju... komuś.

Chłopiec ośmielił się spojrzeć na starego ogrodnika, który wpatrywał się w niego jakby chciał zetrzeć go w proch z powierzchni ziemi. Opuścił więc znowu wzrok i dodał: - No to zawróciłem, ale dom był pusty, wyglądało na to, że wszyscy gdzieś znikli... Byłem jeszcze na górze, kiedy nadjechały pierwsze wozy z miasta. Ogarnęła mnie panika: gdyby mnie tam znaleźli, oskarżyliby mnie o wszystko! Więc ukryłem się i odczekałem... Dopóki nie nadszedł... pan.

Nestor poczuł, jak krew uderza mu ze złości do głowy.

- To znaczy, że... śledziłeś mnie, mały draniu? - ryknął.

- We Wrotach Czasu?

Mały Flint wzruszył ramionami. - Ma pan na myśli te ciemne drzwi całe zadrapane? No, tak... Widziałem, jak zarzuca pan sobie plecak na plecy i potem otwiera tymi jakimiś kluczami te drzwi... Pomyślałem, że to może rodzaj jakiegoś tajemnego przejścia. W końcu całkiem dobry sposób, żeby wymknąć się niepostrzeżenie...

- Pomyślałeś... - Nestor przygryzł usta. Był wtedy tak skupiony na tym, co robi, że zupełnie nie zauważył, że ktoś go śledzi. Wziął głęboki wdech i odezwał się strasznym głosem: - A teraz wiesz, co się stanie?

- Zabije mnie pan? - odpowiedział chłopiec cieniutkim głosem.

- Nie gadaj głupstw, kretyński wścibski smarkaczu! Teraz wrócisz natychmiast z powrotem, tam skąd przyszedłeś. Przejdiesz przez drzwi, którymi tu wszedłeś... i znikniesz!

- Próbowałem! Nie otwierają się!

Nestor wytrzeszczył oczy. - Co to znaczy, że... się nie otwierają? Nie mów mi, że odsunąłeś kamień!

- Kamień?

- TAK, KAMIEŃ! TEN PRZEKŁĘTY KAMIEŃ, KTÓRY TAM WSUNĄŁEM, ŻEBY UNIEMOŻLIWIĆ ZATRZAŚNIĘCIE SIĘ DRZWI!

- Aha - odparł mały Flint.

- NIE MÓW MI TYLKO, ŻE ZAMKNAŁEŚ DRZWI!

- Rzeczywiście... chyba tak!

Nestor zatoczył się bez tchu. - Nie wierzę.

- Ale to nie moja wina! Potknąłem się o niego wychodząc. I potem... no, to już te drzwi za nic nie chciały się z powrotem otworzyć!

Stary spojrział na niego bez słowa, ale mały Flint zrozumiał, że będzie rozsądniej nic już więcej nie mówić. Usiadł więc tylko na piasku i spojrział na ciemną linię horyzontu.

Po chwili milczenia, która wydawała się trwać wiecznie, stary ogrodnik odezwał się szeptem:
- Te drzwi to była nasza jedyna droga powrotna z tego wstrętnego miejsca. Zamykając je, skazałeś nas na pozostanie tu na zawsze.

- Ale...

- Na zawsze - powtórzył krótko Nestor.

Mały Flint wpatrywał się w niego pytająco. Nie mógł wprost pojąć, o czym mówi ten stary kuternoga. - Pan wybaczy, ale przecież można wrócić do miasta na piechotę! - zaproponował. - Jak daleko może być stąd do Kilmore Cove? Jakaś godzinka marszu. Najwyżej dwie!

Na te słowa Nestor nie zdołał się opanować i wybuchnął histerycznym śmiechem. - Och, tak, z pewnością! Możesz mi wierzyć, że ze wszystkich małych drani, jakich w życiu napotkałem, ty jesteś najbardziej zdumiewający!

Po czym stary ogrodnik dźwignął się z trudem na nogi i odszedł, nie czekając, aż chęć stłuczenia smarkacza na kwaśne jabłko weźmie w nim górę.

„Kombinuj, Nestorze, kombinuj - rzekł do siebie. - Musi być jakiś sposób na otwarcie tych drzwi”.

Ale nie - w przeciwnym razie wyspa nie byłaby tak doskonałym więzieniem.

Z pewnym ociąganiem Nestor obrócił się ponownie w stronę małego Flinta, który siedział nadal na ziemi niepokieszony. - Hej, łobuziaku! - zawołał. - Nie widziałeś kogoś albo nie słyszałeś przypadkiem czegoś na tej wyspie, kiedy mnie śledziłeś?

Mały Flint ożywił się w jednej chwili i podbiegł do Nestora. - Z wyjątkiem ptaków... nie, proszę pana. Chyba nie.

- Zupełnie nic, jesteś pewien? Jakiś podejrzany szmer, jakiś cień w krzakach?

Chłopczek zastanowił się, usiłując się możliwie jak najbardziej skupić. W końcu pokręcił głową. - Nie, nikogo nie widziałem. Słowo. Żywej duszy, z wyjątkiem pana.

Nestor podrapał się po bródce i zaczął rozglądać dokoła z coraz to większym niepokojem. Jeżeli na wyspie nie było nikogo poza nim i smarkaczem, to znaczy...

To znaczyło, że on nie żyje?

Albo że odszedł?

Przyjdę po ciebie, zostawił Nestorowi napis nad drzwiami.

Prawie bezwiednie Nestor wszedł do fortu i zaczął przechadzać się po celach, a za nim snuł się mały Flint, który nie miał najmniejszej ochoty zostać sam, zwłaszcza po dziwnych pytaniach, jakie mu zadał stary.

- Proszę pana? Czy to są prawdziwe diamenty? - zapytał nagle chłopak, wytrzeszczając oczy. Właśnie dostrzegł rozrzucone po posadzce pozostałości czegoś, co wyglądało na prawdziwy... skarb.

Nestor spojrzał z ukosa. - Tak.

- Pan chyba żartuje? Co tu robią diam... - Mały Flint nagle urwał. - A to wygląda jak DUBLONY? To prawdziwe dublony?

Stary ogrodnik starał się ze wszystkich sił ignorować okrzyki radości swego denerwującego towarzysza przygody, który zaczął napełniać sobie kieszenie klejnotami, bryłkami złota i kawałkami drogocennych przedmiotów. Skomentował tylko złośliwie: - Tak więc znaleźliśmy oto godny spadek pirata Spencera.

- Co pan mówi? - spytał Flint, ciągle zagarniając wszystko, co tylko mógł.

- Daj spokój - mruknął Nestor, kierując się ku wyjściu.

- Hej! - Dokąd pan idzie?

- Szukać go.

- Kogo?

- Właściciela tych rzeczy, którymi właśnie napchałeś sobie kieszenie.

Niewiele rozumiejąc, mały Flint podreptał za Nestorem, gubiąc po drodze dublony i sznury pereł. - Czy można wiedzieć, gdzie my jesteśmy? Jak daleko od Kilmore Cove?

Nestor się gorzko zaśmiał. Potem przystanął i wskazał tropikalne palmy i ocean. - Chcesz wiedzieć, gdzie jesteśmy? No to ci powiem: w opuszczonej melinie buka-nierów, mniej więcej na drugim krańcu świata względem Kilmore Cove. I dobrych dwieście lat temu.

Na te słowa chłopiec upuścił część swego znaleziska.

- Bukanierów? - zapytał. - Znaczący... piratów? Prawdziwych piratów?

Nestor wsunął sobie dłonie we włosy i przycisnął palcami skronie. - I jeszcze gorzej - wyszeptał, odchodząc z pochyloną głową.

- Stop! Nie może mnie pan tu zostawić! Nie zebrałem jeszcze wszystkich dublonów!

Ale stary ogrodnik już go nie słuchał i ruszył żwawo ścieżką schodzącą na plażę, podczas gdy mały Flint biegł za nim, starając się dotrzymać mu kroku.

- Ale dlaczego pan tu przyszedł?

Nestor nie odpowiedział i nadal szybko maszerował ścieżką.

- Może mi pan powiedzieć, dokąd idziemy? - nalegał bezskutecznie chłopiec. - Proszę pana!

Nestor oparł się o pień palmy, żeby złapać dech. - Posłuchaj, smarkaczu. Są dwie rzeczy, których nienawidzę. Pierwsza to dzieciaki. A druga to dzieciaki, które stawiają za dużo pytań. Czy to jasne?

- Myśli pan, że pański przyjaciel jest tam na dole, na plaży? - wysapał mały Flint, jakby w ogóle nie słyszał tego, co mu przed chwilą Nestor zakomunikował.

- To nie jest mój przyjaciel.

- A jeśli zdołał zbudować tratwę?

Stary ogrodnik ciężko westchnął. - Nie miał narzędzi. Nic do cięcia drewna. Żadnych gwoździ...

- Może je sobie zrobił ze złota! I użył diamentów do cięcia! Jak Robinson Crusoe, ten w książce. Podarowała mi ją Kalipso, ale ja jej nawet nie przeczytałem. - Flint przygryzł usta. - Ale wiem, że opowiada o człowieku pozostawionym na bezludnej wyspie, prawda?

Nestor przytaknął.

Chłopiec rozejrzał się dokoła. - Jesteśmy na tej samej wyspie?

- Powiedzmy, że tak - odpowiedział mu stary ogrodnik, spoglądając na niego ponuro. - Tyle że człowiek, który trafił tutaj, jest o wiele, o wiele gorszy.

Zeszli na plażę, gdzie dostrzegli nagle oznaki działań-

^^ NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE .

ności więźnia: ślady ogniska, stos kamieni i drewna, pudełka i skrzynie z resztą skarbu.

Nie było nawet potrzeby dotykać popiołu, żeby wiedzieć, że był stary. Nestor poruszył go czubkiem buta. - Wyparował stąd wiele miesięcy temu. Może nawet lat.

Potem rozejrzał się wokół, zobaczył resztki chaty i podszedł do niej.

Mały Flint padł na piasek zrozpaczony, brzęcząc jak portmonetka. - Nie mogę uwierzyć, że jestem bardzo bogaty, a nie mogę stąd odejść!

Nad jego głową zaczęły krążyć ptaki... sępy?

Nestor uchylił zasłonę z plecionych liści palmy, która osłaniała wejście do chaty, i schylił głowę, by wejść. Wewnątrz zobaczył wiele dziwnych narzędzi: młotek zrobiony ze sztabki złota, śrubokręt z ostrzem z cennych kamieni, kilka połączonych kijów z ostrym końcem, rodzaj poziomicy i kilka przyrządów z hebanu, wiele powiązanych w pęki piór. „Smarkacz miał rację” - pomyślał z kwaśną miną.

Znalazł kawałki kofy pocięte nożami z kompletu srebrnych sztuców hiszpańskich, potem wybielone i namoczone w wazach z sewrskiej porcelany, a na koniec wyciśnięte, żeby z nich zrobić prymitywny papirus. Na tych kawałkach papirusu, rozwieszonych wokół całej chaty, były nakreślone rysunki z punktami przecięcia, jakimiś wiązaniami, drewnianymi bryłami.

Projekty.

Nestor wziął kilka z nich do ręki i przyglądał się im w słońcu.

Co też on budował? Tratwę?

Znalazł całe metry sznurowej drabiny, zrobionej z po-prutych w paski, a następnie splecionych kawałków jedwabiu i brokatu. Stopnie były z deseczek.

Drabina. Żeby się po niej wspiąć, czy po niej zejść?

Na koniec znalazł dziesiątki rozsypanych na ziemi orzechów kokosowych, pełnych już wyschniętej żywicy i jakiejś dziwnej lepkiej, białawej substancji.

Nestor naciął to narzędziem i powąchał: wosk. A przecież nie widział pszczół na wyspie.

Potem dostrzegł kupkę knotów i przesuwając jakieś maty, znalazł skrzynię z ręcznie zrobionymi świecami. Ten człowiek zrobił sobie zatem też światło. Drabina, wosk, świece... jak można było ich użyć do opuszczenia wyspy?

Oszołomiony wyszedł i oddalił się od tej chaty szalonego wynalazcy, próbując odegnać niepokój.

- Wydostał się stąd - mruknął przerażony i osłupiały. Podeptał nerwowo wióry, sznurki i srebrne bibeloty pozostawione na piasku i spojrzał na morze.

Ocean był ogromny i bezkresny.

Długie fale zalewały plażę. Sto metrów od brzegu widać było rząd skał sterczących z wody i cienkich jak blacha. Tam piekliły się wiry. Przeszkoda praktycznie nie do pokonania bez porządnego okrętu lub przynajmniej solidnej szalupy.

Czy możliwe, żeby on zdołał zbudować taką łódź za pomocą swoich nielicznych narzędzi?

Jak mógł napilować desek na poszycie kadłuba i go zbudować, używając samych kryształów i noży stołowych?

Mały Flint tymczasem liczył swoje dublony, układając je według wagi. W pewnej chwili przestał, jakby tknięty nagłą wątpliwością. Podniósł głowę i zapytał. - Co się stało z piratami?

- Wielu schwytano - odparł Nestor ze wzrokiem błędzącym po falach oceanu. -

Niektórzy zginęli podczas walki. To były czasy, kiedy bez pardonu strzelało się do korsarzy! Ale on był prawdziwym diabłem. I miał wspaniały okręt. Mocny i szybki.

- Okręt? «

- Teby. Tak się nazywał. Teraz już go nie ma - Nestor przygryzł usta. - Zatopiliśmy go dwanaście lat temu.

- Zatopiliście go? A czemu?

- To długa historia. Ale dość powiedzieć, że to jeden z powodów, dla których jego ostatni właściciel mógłby się na mnie gniewać.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, podczas której Nestor przymknął oczy i powrócił do wspomnień ze swych wypadów z towarzyszami przygód na siedem mórz.

Potem mały Flint obrócił się w stronę wyspy i zapytał: - Jest nieczynny?

- O czym mówisz?

- O tym wulkanie, tam. Nieczynny?

Nestor przypomniał sobie, jak szara smuga dymu unosiła się nad kraterem. - Nie - szepnął. - Nie jest wygasły.

Mały Flint roześmiał się ironicznie. - Trzeba mieć żelazne nerwy, żeby mieszkać pod czynnym wulkanem! Wystarczy obudzić się pewnej nocy i...

Nagle oczy Nestora rozbłysły. - Wulkan! Czy możliwe, żeby...

I nie zwlekając ani chwili, pokuśtykał ścieżką pod górę.

Rozdział 12

W OGRODZIE POPIOŁU

Dojechali do Londynu o wpół do dwunastej. Mżawka towarzyszyła ich wjazdowi do stolicy i nie opuściła ich aż do wieczora. Po długim naleganiu Anicie udało się przekonać ojca, żeby

pozwoił jej na kilka godzin swobody, podczas gdy on powrócił do domu i tam czekał na wieści od żony.

Dziewczynka razem z braćmi Nożycami pojechała odebrać ich sportowy samochód z lotniska i po niekończących się targach co do opłaty za parking wreszcie ruszyli w kierunku siedziby Podpalaczy na Frogmal Lane.

Wciśnięta w wąskie tylne siedzenie astona martina, Anita myślała o wielu sprawach naraz. Zabrała ze sobą kopertę znaną w schowku limuzyny Obliwii i wsunęła ją do zeszytu - książeczki Morice'a Moreau, który już kilkakrotnie otwierała, żeby się przekonać, czy ktoś go czyta. Ale ani Wojnicz, ani Julia, ani tym bardziej Ostatnia nie ukazali się na żadnej stronie. Kiedy samochód braci Nożyców zwolnił, Anita rozpoznała wiktoriańską willę, do której raz już kazała się podwieźć; ciemny chodnik, mała czarna furgonka i alejka wjazdowa, trzy schodki prowadzące do bramy polakiero-wanej na szaro.

- I teraz, jak zawsze... - westchnął kędzierzawy - zaczynają się problemy.
- To znaczy? - spytała dziewczynka, nieco przejęta.
- Z zaparkowaniem - wyjaśnił blondyn.

Wjechali w najbliższą ulicę zabudowaną wystawnymi kamienicami z obszernymi ogrodami i pomału oddalali się od siedziby Podpalaczy, jadąc w nieprzerwanym podwójnym strumieniu aut.

- Za każdym razem ta sama historia - burknął kędzierzawy.

W końcu, po dziesięciu minutach, znaleźli jedno ciasne miejsce między dwiema ciemnymi ciężarówkami i po precyzyjnych manewrach co do milimetra udało się im zaparkować. Bracia wyjęli z bagażnika jeden z parasoli Podpalaczy -miotaczy ognia i przekazali go Anicie, zatrzymując drugi dla siebie. Następnie cała trójka powędrowała w milczeniu chodnikiem. Doszedłszy do celu, pchnęli furgonkę, podeszli do drzwi wejściowych i nacisnęli dzwonek. Anita z mieszaniną ciekawości i niechęci spojrzała na tabliczkę obok drzwi: przedstawiała mężczyznę z wielkim cygarem zapalonym przez piorun.

- Nareszcie...
- Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że wróciłem...

Podpalacze dzwoniли gwałtownie i tak długo, aż szaro lakierowane drzwi się otworzyły.

- Panowie sobie życzą? - zapytał poważnym głosem majordomus klubu.

Bracia Nożyce uściskali go entuzjastycznie.

- Pires!
- Jak to cudownie móc cię znów widzieć!

Ale majordomus kątem oka spojrzał na Anitę, uniósł wskazujący palec lewej ręki i upomniał:

- Pozwolę sobie wam przypomnieć, panowie, że wstęp jest zastrzeżony wyłącznie dla mężczyzn.

- Och, nie przejmuj się Pires. Panią jest z nami! Wszystko pod kontrolą.
- Z rozkazu samego Wojnicza - skłamał blondyn. -Chodź, Anito, śmiało, wejdź!

Tak więc majordomus uprzejmie usunął się na bok i dziewczynka weszła do siedziby klubu. Lśniący stary parkiet zaskrzypiał pod jej stopami. Przed nią otwierał się wąski korytarz z pięknym kryształowym żyrandolem i schody prowadzące na wyższe piętro. Pchnąwszy dwuskrzydłowe drzwi po lewej stronie, wchodziło się do sali z elegancką wykładziną w czerwonej szkockiej kratę.

Klub Podpalaczy, jak Klub Podróżników w Wyobraźni, który był tu przedtem, zajmował całe pierwsze piętro willi. Składał się z czterech sal, ze ścianami obitymi dekoracyjnym materiałem, wyposażonych w liczne okrągłe stoliki. Wszędzie stały jednakowe fotele, leżały porzucone książki i nic nie wskazywało na to, by ktoś je ostatnio czytał.

Bracia Nożyce zrobili kilka kroków między stolikami i rozejrzeli się dokoła. - Nikogo nie ma, Pires?

Majordomus odchrząknął: - Prawdę rzekłszy, ktoś jest

- powiedział bardzo cicho, wskazując postać siedzącą tyłem do nich w drugiej sali klubowej - ale...

- Kto taki? - zapytał kędzierzawy, usiłując rozpoznać tę osobę.

- Po kapelusiku sądząc, powiedziałbym, że to kobieta

- zauważył jego brat.

Pires się lekko skłonił. - Istotnie, próbowałem na wszelkie sposoby jej tu nie wpuścić, ale... okazała się silniejsza ode mnie.

- Nie trzymaj nas w niepewności, Pires...

- Mów, o kogo chodzi?

Anita tymczasem studiowała z zaciekawieniem mosiężne tabliczki przedstawiające główne cele stowarzyszenia, jak również portrety i odznaczenia rozwieszane na ścianach: Podpalacz Botcrumble z sekcji „Komplikowanie Prostych Spraw” otrzymał odznakę za spowodowanie, że każdy telefon komórkowy na świecie miał inną ładowarkę. Tuż obok była fotografia Podpalacza Thomasa z sekcji „Utrącanie Nowości”, całego w gipsie, na Segwayu, genialnym pojeździe dwukołowym kierowanym za pomocą ciężaru ciała, który miał zrewolucjonizować transport miejski, z podpisem: Mały, ekologiczny i cichy. Czy to jest pojazd przyszłości? Na stoliku architektów Fujazaki & Andersen z sekcji „Psucie Pejzażu” stała makieta ohydneho budynku z betonu i szkła, który wyrósł niczym triumf brzydoty na cudownej plaży nadmorskiej.

„Istotnie, niezła gromadka szkodników” - pomyślała Anita, przechodząc dalej.

Chwilę potem jednak coś ją zatrzymało. Usłyszała za plecami teatralny i piskliwy okrzyk, pełen niezadowolenia.

- No, nareszcie!

Postać w kapelusiku siedząca w sąsiedniej sali poderwała się z fotela. Jej popielaty kostium o nienagannym kroju leżał na niej, jakby był wycięty z blachy.

Była wysoka, chuda i... jędzowata. Maszerowała ku nim krokiem nazistowskiego generała i nawet się nie zatrzymała, rzucając pytanie: - Gdzie jest Mariusz?

- Pardon? - odezwał się kędzierzawy.

Przeszła go natychmiast wzrokiem bezlitosnym i przenikliwym jak rentgen.

- Boże mój! A co wy macie na sobie? Czy ten klub nie miał być szalenie ekskluzywny?

Ta kobieta według oceny Anity miała na sobie mniej więcej parę tysięcy euro w ubraniu i modnych dodatkach. W jej uszach i na szyi lśniły drogie klejnoty, a torebka była z tych malutkich, ekskluzywnych - niedostępnych w zwykłych sklepach londyńskiego śródmieścia. Ale to, co Anitę najbardziej uderzyło w tej kobiecie, to jej lodowaty i bezczelny styl bycia.

- I ten odór! Ten straszliwy smród cygar, jakim przesiąkliście! - ciągnęła kobieta, przechodząc od kędzierzawego do blondyna. - To doprawdy nie do zniesienia!

Anita zauważyła, że blondyn zacisnął ręce na rączce parasola - miotacza ognia, jakby korciło go, by się nim posłużyć.

- Dopiero co wróciliśmy z akcji - tłumaczył oschle, jakby chciał powiedzieć: „pani najwyraźniej nie wie, kim jestem”.

- Ach tak, kolejna wasza bezsensowna dziecinada...

- Czy zechciałaby nam pani wyjaśnić, czego od nas oczekuje? - zapytał kędzierzawy, gdy ochłonął z pierwszego zaskoczenia.

- Panna - uściśliła kobieta. - Panna Viviana Wojnicz. A powodem, dla którego się tu znalazłam, jest pilna potrzeba porozmawiania z moim bratem, Mariuszem Wojniczem.

Bracia Nożyce wymienili spojrzenia, które były ciekawą mieszaniną zdziwienia i oszołomienia.

- Aha - zdołali jedynie wypowiedzieć.

Anita uśmiechnęła się tylko i na paluszkach, bardzo zwinnie wycofała się z tego towarzystwa, czując że sytuacja nie zapowiada nic dobrego.

Podeszła do wielkiej przeszklonej szafy pełnej książek. Był to masywny mebel, podzielony na trzy działy: „Książki do Likwidacji”, „Książki do Wycofania z Rynku”, „Książki do Zignorowania”. Spróbowała otworzyć szafę, ale była zamknięta na klucz. Tak samo jak „Gablota Osób Niebezpiecznych” tuż obok.

Postanowiła więc zwiedzić dwie dalsze sale: zmarszczyła nos z niesmakiem na widok wypchanych zwierząt zawieszonych na ścianach. Były tam też kolejne tabliczki i odznaki oraz ogromny stół bilardowy z kulami rozrzuconymi na zielonym suknie.

Zaciekawiona podeszła do portretu pary małżeńskiej w owalnej ramie wiszącego na ścianie, ale podpis na nim był tak wyblakły, że nie zdołała odczytać nazwiska.

Dwa wielkie okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Zajmował go w całości duży ogród z geometrycznymi alejkami wysypanymi żwirem i ze starymi posągami ustawionymi pośród klombów. Była tam też duża czynna fontanna oraz stara studnia z kołowrotem nakryta zardzewiałą kratą.

Ale całość sprawiała przygnębiające wrażenie: większość drzew i żywopłot były zwiędłe i uschnięte. Niektóre wyglądały wprost na spalone. Na sąsiadujących z nimi posągach były poprzybijane prymitywne piorunochrony, a całe połacie trawników były wypalone.

Gdziekolwiek widać było pliki czarnych, zwęglonych kartek papieru.

- Nazywamy go Ogrodem Popiołu... - usłyszała za sobą głos.

Anita odwróciła się gwałtownie: to był majordomus Pi-res, który bezszelestnie do niej podszedł.

- Przepraszam, że panienkę przestraszyłem - usprawiedliwił się.

Wyglądał jakby był przeniesiony z innej epoki. No cóż, może tak i było.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego. - Nie, nie, nic się nie stało.

Patrzyli razem w milczeniu na to, co zostało z dużego ogrodu. Od czasu do czasu dobiegał ich piskliwy głos Vi-viany Wojnicz, która z ożywieniem dyskutowała z braćmi Nożycami.

- Odkąd pamiętam, zawsze tak się nazywał. Przestroga losu... - dorzucił jeszcze Pires gorzko. - Pewne jest jednak, że kiedyś tak nie wyglądał.

Anita spojrzała na niego. - To znaczy, kiedy tu byli Podróżnicy w Wyobraźni?

Z kolei to majordomus spojrzał na nią. Jego usta nieznacznie zadrżały, jakby nie był pewien tego, co chce powiedzieć. - A panienka skąd to wie?

Anita musnęła palcem szybę w oknie i zgarnęła trochę kurzu. - Wiem, że kiedyś ten dom należał do rodziny Moore'ów.

- Niech mi panienka wierzy - westchnął Pires z rozmarzoną miną - to były piękne czasy! W tym ogrodzie widziało się pogrążone w dyskusjach najwrażliwsze i najbardziej oryginalne osoby.

- Pan je widział?

- O, tak! Byłem zaledwie chłopaczkiem, kiedy zacząłem posługiwać w domu Moore'ów. W tamtych czasach inaczej podchodziło się do wykształcenia i mój ojciec oddał mnie tu jako niespełna dziesięciolatek, żebym się wyuczył na majordoma.

- I jak tu było za czasów Klubu Podróżników?

- Całkiem inaczej - uśmiechnął się Pires. - I o wiele bardziej elegancko, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ale z drugiej strony, kim ja jestem, żeby to oceniać? Ja tylko podaję herbatę, otwieram i zamykam bramę, a kiedy są na to środki, organizuję sprzątanie.

- A... nie zajmuje się pan przypadkiem także oprowadzaniem gości po ogrodzie? - zapytała Anita z wdzięcznym uśmiechem.

Pires lekko się jej skłonił. - Z największą przyjemnością, panienko. Ale obawiam się, że przydałby się parasol.

- Powinnam pójść po niego do przedpokoju... Ale chyba wolę zmoknąć, niż wpaść w szpony tej harpii w salonie!

- Doskonale.

Pires z Anitą zaczęli przechadzać się po Ogrodzie Popiołu.

- Jak to się stało, że tak niszczał? - zapytała dziewczynka.

- Panowie dokonywali tu rozmaitych eksperymentów - pozwolił sobie na ironię majordomus. - Zazwyczaj z użyciem ognia.

Wskazał mur, na którym leżały zwoje kabli elektrycznych i szpule miedziane. Były też maski i groteski z gipsu, rozbite od licznych eksplozji.

- Nie powinno się na to pozwolić - szepnęła oburzona dziewczynka.

- To posiadłość prywatna i panowie mogą robić, co im się podoba. Przynajmniej dopóki pan Homer im na to pozwala...

Anita natychmiast nastawiła uszu. - Pan Homer? Od tej firmy, co organizuje przeprowadzki, Homer & Homer?

- Tak jest, panienko - odparł Pires, coraz bardziej zdumiony. - To właściciel tego domu, nie tylko członek wspomagający klub. Jego pobłażliwość pozwala panom na podejmowanie rozmaitych działań.

- Ale dlaczego?

- Niech panienka mnie o to nie pyta. Ja jestem tylko zwykłym major domem.

Doszli aż do tryskającej fontanny.

- A co to za człowiek, ten Homer? - zapytała jeszcze Anita, korzystając z faktu, że majordomus był w nastroju do zwierzeń.

- W kowbojskim kapeluszu - odpowiedział Pires, jakby to był szczegół, który wszystko wyjaśnia. - Ma pięciu synów: Ascotta, Brightona, Coughtona, Davemporta, Evertona i córeczkę, Finnaly. Pragnął za wszelką cenę mieć córeczkę. Ale musiał długo czekać.

„Sześcioro dzieci - pomyślała Anita. - Dom w Londynie pozostawiony w rękach Podpalaczy, kiedy mógłby go sprzedać takiej akwizytorce jak Obliwia Newton, gotowej zapłacić fortunę. Z pewnością pan Homer nie miał problemów finansowych”.

Podzieliła się tą uwagą z majordomem, który przytaknął gorliwie i odpowiedział: - O, nie.

Żadnych. Ale tę swobodę finansową zapewnił mu stary Homer, który za niewielkie pieniądze nabył całe wyposażenie klubu.

- Doprawdy?

- To był skandal, niech mi panienka wierzy! Kiedy pan Merkury Malcom Moore opróżnił pierwsze piętro domu ze wszystkiego, co tam się znajdowało, to właśnie firma obu Homerów wypełniła swoje wozy meblami, białymi krukami i rzadkimi przedmiotami.

Anita pokręciła głową. - Szkoda.

- Można tak śmiało powiedzieć. Pan John, mąż jedynej córki generała Merkurego, próbował na wszelkie sposoby coś ocalić: zwrócił się do najlepszych adwokatów w Londynie, proponował odkupienie domu wraz z wyposażeniem za tę samą cenę, ale generał Moore nie chciał o tym słyszeć. Chciał go wykluczyć, odciąć od spraw rodzinnych. Niepojęta sprawa, jeśli nie wie się o jego bólu z powodu utraty córki. I też, jak ktoś utrzymuje, miał złego doradcę w osobie kobiety, starej żmii... a ja powiadam: wojskowa mentalność. Był generałem, a generałowie, jak raz podejmą decyzję, to nie ustąpią. I nic się wtedy nie liczy. - Pires szurał nogami po żwirze.

- I tak wywieźli... wszystko?

- Wszystko - odparł Pires lekko drżącym głosem.

- I co z tym zrobili? Można jeszcze gdzieś zobaczyć przedmioty należące do starego klubu?

Majordomus gorzko się roześmiał. W powietrzu, w lekkiej mżawce, rozbrzmiał znowu piskliwy głos Viviany. - To nieprzyzwoitość! - krzyczała.

Oboje to zignorowali, a majordomus ciągnął: - Jeśli

. _W OGRODZIE POPIOŁU_ . ^

panienka pozwoli na pewną złośliwość, to jestem pewien, że większa część tych rzeczy została sprzedana i legła u podstaw fortuny firmy Homer & Homer. Stary Homer był sprytnym kupcem, podobnie jak Homer młodszy, który przejął po ojcu interes. Ale nowe pokolenie... Wie panienska, różni Andrew, Brighton i całe to towarzystwo... wydają się jak manekiny.

Pires westchnął. - Zresztą czasy dżentelmenów jak Moore'owie minęły, co poradzić? Zawsze miałem nadzieję, że nowe pokolenie młodzieży jak się patrzy powróci, by wykupić dom... ale potem się dowiedziałem, że ostatni z tej rodziny nie miał dzieci i że zmarł niedawno w swoim domu nad morzem. I wtedy zrozumiałem, że mój pomysł był jedyńie złudą, mrzonką starego, nieco romantycznego kamerdynera. Całe życie służyłem u panów, wie panienska? Ale panowie są inni. I taka służba już nie bardzo mi odpowiada.

W spojrzeniu starego Piresa kryła się głęboka melancholia. Anita zdawała się wyczuwać, o co mu chodzi i postanowiła dać mu nadzieję. - Może pańska mrzonka nie jest znowu tak nierealna. Może jest jeszcze jakiś potomek Moore'ów, który pewnego dnia będzie mógł odzyskać dom.

- Tak panienska myśli?

- Tak, naprawdę tak myślę. Zobacz pan, że tak czy inaczej sprawy się ułożą.

- Och! I może mógłbym wtedy odmłodnieć! - zażartował majordomus.

Po czym machinalnie zgarnął pajęczynę z jakiegoś posągu.

- Kocha pan ten dom, prawda? - spytała Anita, ujęta jego oddaniem.

Pires uśmiechnął się. - Tu wyrosłem. Znam go od ponad pięćdziesięciu lat i... nigdy mnie nie zdradził. To ja, jeśli już, jestem jego dłużnikiem: przykro mi widzieć, jak niszczeje. Kiedyś był inny.

- Nie wyobraża pan sobie, ile bym dała, by zobaczyć go takim, jaki był kiedyś... odezwała się dziewczynka.

Pires oparł się o wilgotną studnię, do której tymczasem podeszli. Rozejrzał się dokoła z nieoczekiwanym błyskiem w oku i cichutko powiedział: - Jeśli mi panienska obieca, że nikomu tego nie powie, to coś jej wyznam.

- Obiecuję.

- Nie wszystko z tego, co tu było, wynieśli Homer & Homer. Coś stary Pires ocalił... nazwisko: Viviana Wojnicz

<=v°

miejsce zamieszkania: Londyn znaki szczególne: siostra Mariusza Wojnicza ma słabość do biżuterii i najmodniejszych dodatków. Wysoka i chuda, ma wyostrome rysy, a głos szczególnie piskliwy i męczący.

Rozdział 13

NIEZNANY ZABÓJCA

- Wygląda, że zamknięte... - powiedział Tommaso, przystając przed zniszczonym szyldem sklepu Zafona. Sklepiak nie miał witryny, nie było więc żadnego sposobu, by zerknąć do środka.

Tommi oparł się o drzwi i lekko je pchnął, aż się uchyliły: owiał go natychmiast silny zapach korzeni i czegoś jeszcze, wywołując kaszel. Pumiątko, które przez ciekawość wepchnęło się w szparę w drzwiach, cofnęło się instynktownie, kryjąc się za stopami chłopca z Wenecji.

- Proszę, proszę... - usłyszeli drżący głos z głębi sklepu. - Otwarte...

Rick zerknął na przyjaciela. - Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Spróbujmy...

Nagle usłyszeli cienkie miauknięcie i prychanie, i w jednej chwili grube, pręgowane kocisko śmignęło między nogami chłopców, aż o mało co nie stracili równowagi. Kot pogonił małą pumę przez szerokość uliczki, przy której znajdował się sklep.

- Ach te zwierzaki! - zawołał ten sam głos co przed chwilą. Drzwi się otwały na całą szerokość i można było zobaczyć starego człowieka o pomarszczonej, wysuszonej twarzy i ramionach jak gałęzie wierzby płaczącej. -I ta młodzież!

W półmroku sklepu widać było jakieś graty, jakieś towary i papiery, a wszystko zwalone bezładnie na poniszczony półki. Odór wewnątrz, mieszanina mokrej skóry, kadzidła i gałki muszkatołowej, był prawie nie do zniesienia. W głębi sklepu, za plecami starego, widać było wielkie drewniane kadzie pełne kory przygotowanej do macerowania.

- W czym mogę służyć, szanowni panicze? - zapytał stary kupiec, robiąc ku nim z wysiłkiem kilka kroków. Miał inteligentne i bystre oczka, którym nic nie umykało. - Z jakiej dzielnicy jesteście, że nosicie takie dziwne ubrania?

Rick usunął się na bok, delikatnie wypychając Tommasa, by to on przemówił: - No, dalej. To był twój pomysł, żeby tu przyjść.

- I to był doskonały pomysł! - przytaknął staruszek, udowadniając, że ma świetny słuch.

- Poszukujecie atramentu? Pergaminu? Oryginalnych chińskich zeszytów świetnie podrabianych tu, w Wenecji, w naszych piarniach?

Tommaso pokręcił przecząco głową i nieco zmieszany odpowiedział:

- Nie, dziękujemy. Nie tego, niestety, szukamy. Szukamy naszego przyjaciela.

- A dlaczego przyszliście go szukać u starego Zafona?

- Bo może go pan zna. Nazywa się Peter. Peter Deda-

- Peter Dedalus? - powtórzył stary kupiec, przymykając oczy i prostując na chwilę pochylone plecy. - Nie znam, przykro mi. To nie mój klient.

- To wielki przyjaciel Leonarda - nalegał Tommaso. -A jego musi pan znać: bardzo wysoki mężczyzna z opaską na oku...

- Nie znam nikogo z opaską na oku! - odpowiedział gniewnie Zafon, kręcąc energicznie głową.

- A jeśli powiem panu nazwisko Ulysses Moore... to coś panu mówi?

Stary kupiec na kilka sekund skamieniał, zanim utworzył sobie drogę w stosie towarów bezładnie rozrzuconych po sklepie. - Oj, chłopaczki! Kpiny sobie urządzać z biednego, na wpół głuchego i prawie ślepego starca! -zawołał jakoś dziwnie pośpiesznie, co się chłopcom wydało aż podejrzanym. - Rzucacie mi nazwiska, których nie znam i żartujecie sobie ze mnie!

- Chwileczkę, panie Zafon! - zaprotestował Tommi. -Zapewniam pana, że wcale z pana nie żartujemy!

Ale staruszek był już przy nich i wymachując sękatymi dłońmi, wypychał ich ze sklepu z nieoczekiwaną siłą. -O właśnie! Tak się robi z takimi młodymi hultajami jak wy!

- Czy możemy chociaż zostawić wiadomość? - zapytał Tommaso. - Gdyby pan spotkał Petera, proszę mu powiedzieć, że Penelopa żyje, Ulysses jej poszukuje, a my poszukujemy jego!

- Dalej, grzecznie wychodźcie! - burczał ciągle Zafon, bardzo poruszony. - O, tak! Kochane dzieci, idźcie sobie żartować z kogoś innego.

- Będzie pan pamiętał? Leonard i Ulysses podróżują, a Penelopa żyje! - powtórzył z uporem Tommaso już w progu sklepu.

- Tak, tak, oczywiście! Oczywiście! - przytaknął stary kupiec z udanym brakiem przekonania. - Penelopa, Ulysses i Leonard Minaxo! Bardzo śmieszne dla biednego starca jak ja! Doprawdy, bardzo śmieszne!

Potem, kiedy Tommi i Rick stali już poza sklepem, uchylił gwałtownie drzwi i dorzucił, srogo mrużąc oczy:

- I każcie swojemu zwierzakowi pozostawić w spokoju mojego kociaczka! To mój jedyny towarzysz!

- Ależ panie Zaf...

BUCH!

Drzwi sklepu się zatrzasnęły tuż przed nosem Torama-sa tak nagle, że o mało co mu go nie rozbiły. - Co za maniery! - oburzył się chłopiec, odskakując do tyłu.

Potem spojrzął na Ricka, który dotąd milczał.

- Stary wariat... - powiedział zawiedziony. - Mam nadzieję, że teraz na miejscu tej śmierdzącej rudery stoi piękna pizzeria!

- Nie powiedziałbym, że wariat... - zauważył Rick, poprawiając sobie plecak na ramionach. - Raczej wyglądał na potężnie wystraszonego.

Słyszeli, jak wewnątrz stary Zafon manipuluje zasuwami i zamkami, żeby zamknąć sklep najdokładniej, jak tylko się da.

- Ale co go mogło aż tak wystraszyć? - myślał na głos Tommi.

- Cokolwiek to było, chciał nam dać znać, że zrozumiał - powiedział Rick. - Słyszałeś co powiedział? Powiedział: „Penelopa, Ulysses i Leonard Minaxo! Bardzo śmieszne...”

- I co z tego?

- A to, że przecież ty mu nie podałeś nazwiska Leonarda.

Tommaso z niedowierzaniem spojrzął na zamknięte drzwi sklepiku. - Kłamczuch z tego starucha! - zawołał, kopiąc ze złością w futrynę. - Jasne, że go zna!

- I prawdopodobnie zna też pozostałych - uśmiechnął się Rick. - Wiesz, co? Może to nie był taki zły pomysł, żeby tu przyjść. Sądzę, że Zafon chciał dać nam do zrozumienia, że przekaze wiadomość.

Tommaso pokręcił głową, czując narastające zmęczenie. - Nie wiem, co o tym myśleć.

A kiedy to mówił, zaburczało mu w brzuchu.

- Ooo... Co byś powiedział, żeby tak zamiast kombinować, wrzucić coś na ząb? - odezwał się Rick, który też już zgłodniał.

- Jesteśmy o dwa kroki od placu św. Marka - odpowiedział Tommaso. - Nie wiem, jak działają stragany i straga-niarze w tej Wenecji, ale jeżeli pójdziemy... tędy, bez trudu znajdziemy kogoś, kto nam sprzeda mule czy inne małże.

- Tak?

Tommaso ruszył przodem. - Chodź ze mną, kolego z Kornwalii. Ty mi dałeś spróbować angielskie scones, teraz ja dam ci skosztować ślimaków z czosnkiem i oliwą, ryby w pikantnym sosie, pieczeni z rożna i pulpetów ze sztokfisa!

Dwadzieścia minut później Rick wędrował nabrzeżem Riva degli Schiavoni z kartonowym rożkiem pełnym pysznych ślimaczków, podczas gdy Tommaso obok pogryzał smażoną sardynkę w panierce polaną wyśmienitym sosem z octem i cebulką. Jego mała puma dreptała radośnie tuż za nim, dopraszając się kawałeczków ryby i przeganiając bezpardonowo każdego gołębia, który ośmielił się przysiąść na ulicy.

Przed skorzystaniem z mechanicznej gondoli Petera i powrotem do Kilmore Cove obaj chłopcy postanowili zajrzeć pod jeszcze jeden znany sobie adres wenecki: Dom Cabota, gdzie znajdowały się Wrota Czasu prowadzące do Willi Argo. Kto wie, a nuż jakimś szczęśliwym trafem znajdą tam wskazówkę, która im pomoże trafić na ślad Petera czy Nestora.

Był piękny słoneczny dzień i na nabrzeżach wzdłuż kanałów było bardzo dużo spacerowiczów. Kanały w pobliżu placu św. Marka były pełne najrozmaitszych, mniejszych i większych łodzi, a z wysoka rozlegały się jak zwykle krzyki mew.

Rick skończył jeść swoje ślimaczki i w pełni zadowolony zawołał: - Ale pyszne to jedzonko!

Tommaso również był zachwycony swoimi sardynkami w sosie. Prawdę mówiąc, wcześniej za nimi nie przepadał, ale teraz, po tych wszystkich przejściach, jakoś łagodziły napięcie i tęsknotę za domem. No i nigdy mu tak nie smakowały.

Myśl o domu wywołała silne poczucie winy. Pomyślał, jak bardzo musieli się martwić jego rodzice i podziękował

w myśli panu Bloomowi, że zechciał z nimi porozmawiać przez telefon i trochę ich uspokoić.

Ale przecież wiedział, że po powrocie będzie musiał się nieźle tłumaczyć...

Kilka minut później przeszli przez most i znaleźli się przed Domem Cabota. Z zadowoleniem zauważyli, że brama od strony kanału była tylko przymknięta, więc wystarczyło lekkie pchnięcie, by wejść.

Za bramą było tak, jak to Rick zapamiętał: podwórecz-ko, kolumnada na wysokość dwóch piętér, schody...

- Czy tu już nikt nie mieszka? - zapytał Tommaso, wchodząc po schodach z nieodłączną pumą, która wspinała się pod górę z dużym trudem.

- Chyba nie. Uuuu! Jest tu kto? - zawołał Rick, jak dla zabawy.

Odpowiedziało mu tylko echo.

W kilka sekund doszli do Wrót Czasu, podobnych do wszystkich innych drzwi w tym domu, ale w odróżnieniu od nich...

- Zamknięte - zauważył Tommi. - Przynajmniej wiemy, że Nestor tędy nie przechodził. Rozejrzeli się dokoła w poszukiwaniu czegoś, ale sami dobrze nie wiedzieli, czego właściwie. Nie znajdując niczego istotnego, zeszli po schodach. Pumiątko zapiszczało smutno, jakby chcąc wyrazić żal: „Jak to? I na nic cały mój wysiłek wdrapywania się po schodach?”.

Nagle Rick przystanął.

- Co jest? - spytał go Tommaso.

Ręka rudzielca przesunęła się przed nosem kolegi, wskazując mu podwórce.

Puma parsknęła.

- Hej! - zawołał Tommaso.

Pośrodku podwórka stała drobna postać w długim płaszczu, który ją zakrywał całkowicie.

Miała kasztanowe włosy, skórę na twarzy bladą jak z porcelany i okrągłe okulary w drucianej oprawce.

- Peter! - krzyknął Rick, nie mogąc wprost uwierzyć własnym oczom. - Peter Dedalus! Obaj chłopcy pobiegli mu na spotkanie, podczas gdy pumiątko pozostało nastroszone na schodku. Peter tymczasem wyciągnął zza poły płaszcza prawą rękę, w której trzymał broń: pistolet skałkowy z rękojeścią z masy perłowej.

- Stójcie, proszę! - rozkazał zegarmistrz z Kilmore Cove, cofając się o krok.

Jego dziwnie ochryply głos rozległ się głuchym echem po małym podwórku.

- To ja! Rick Banner z Kilmore Cove, nie poznajesz mnie?

Jednak przecież Peter i Rick nigdy się nie spotkali:

podczas pierwszej podróży dzieci do Wenecji przygoda Ricka zakończyła się potężnym pożarem i wielkim, wielkim zamieszaniami.

- Nie - odparł Peter. - Nie poznaję cię.

- Poczekaj! - zawołał chłopiec o rudych włosach. Zdjął plecak z ramion i otworzył go.

- Nie żartuj - wysylabizował Peter, nie opuszczając pistoletu.

- Ja nie żartuję! Spójrz! - odpowiedział Rick, wyciągając z plecaka zegarek swego ojca. Zegarek z tarczą oznaczoną monogramem PD. - Poznajesz go? To twój! Kupił mi go tato w twoim sklepie!

- Włóż go z powrotem do plecaka i rzuć mi - rozkazał Peter Dedalus chłodno, poruszywszy lekko pistoletem.

- Trzymaj! Mogę ci go podać...

- Nie ruszaj się z miejsca. Tylko rzuć mi plecak - odpowiedział wynalazca. Był nieufny i wyglądał na przestraszonego.

- Jak chcesz... - zgodził się Rick, rzucając plecakiem, który przeleciał przez podwórze i spadł u stóp Petera. - Ale naprawdę... nie masz się czego obawiać: przybyliśmy tu w poszukiwaniu twojej pomocy.

- Pomocy w czym? - zapytał Peter.

Rick szukał najtrafniejszych słów, żeby go przekonać. - Nestor... czyli Ulysses przeszedł przez Wrota Czasu w Willi Argo, żeby się udać na poszukiwanie Penelopy. Nikt z nas nie wie, gdzie się podział i...

W tejże chwili brama wejściowa Domu Cabota gwałtownie się otworzyła.

Na progu ukazała się jakaś ubrana na szaro postać w nasuniętej na oczy masce z ptasim dziobem.

- Nareszcie! - zawołał nieznajomy z wyraźnym zadowoleniem, obnażając przerażająco długi nóż.

Peter Dedalus obrócił się sztywno w stronę Tommiego i Ricka i zawołał: - Uciekajcie! Zmykajcie!

Jego pistolet wystrzelił, wyrzucając chmurę czarnego dymu. Postać w masce błyskawicznie się uchyliła, a następnie rzuciła na Petera. Zdecydowanym ruchem zadała mu nożem cios w szyję i przewróciła go na ziemię...

- NIE! - krzyknął Rick ogarnięty zgrozą.

Tommaso zakrył oczy dłońmi i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Byli świadkami zabójstwa!

Peter Dedalus upadł ciężko na plecy i tak pozostał, sztywny i trupio błądy.

Zabójca w masce schylił się po plecak Ricka, zarzucił go sobie na plecy i posłał chłopcom groźne spojrzenie. - Moje uszanowanie, panowie! - zawołał drwiąco. - Pamiętajcie: nie da się uciec przed sprawiedliwą zemstą!

Rick miał jeszcze usta otwarte i czuł, jak mu miękną nogi. Pokręcił głową, niezdolny do ogarnięcia tego, co tu się wydarzyło.

- Peter! Peter! - powtarzał tylko.

Chwilę potem człowiek w masce zniknął równie szybko, jak się pojawił, pozostawiając chłopców skamieniałych nad pozbawionym ducha ciałem Petera Dedalusa.

Pumiątko, całe nastroszone, przywarło do ziemi, groźnie parskając.

W końcu Rick odzyskał czucie w nogach. Poruszał się sztywno, ze wzrokiem utkwionym w ciało zegarmistrza z Kilmore Cove. Nie mógł w to uwierzyć: jakiś nieznajomy zabił Petera Dedalusa!

- O kurczę... - szepnął przejęty Tommaso. - Co my teraz zrobimy?...

Rick nie wiedział. Już nic nie wiedział. Nagle zapadła noc. Wenecja przeobraziła się w królestwo grozy. Zabawa przeobraziła się w tragedię. Poczul się jak gdyby nieubłagane wciągał go jakiś wir.

Martwy! Peter Dedalus był martwy!

Rick zbliżył się do leżącego na kilka kroków, podczas gdy jego umysł usiłował z wysiłkiem pogodzić się z tym, co miał przed oczami. To było straszne. Straszne i makabryczne.

Chłopiec zamrugał oczami, czuł się kompletnie zagubiony.

Dlaczego jednak Peter nadal ma uniesioną rękę, w której trzyma pistolet?

I dlaczego ta część twarzy, którą uderzył o ziemię, wygląda jak... pęknięta?

Przewycięzając opory, nachylił się i dotknął Petera.

Był zimny.

Sztywny i zimny.

Nagle Peter obrócił głowę, aż Rick krzyknął z przerażenia.

Ochryply głos wynalazcy zapytał: - Czy odszedł ten, który mnie zabił?

- Umarły, a mówi! - zadrżał Tommaso, straszliwie blednąc.
Rick podniósł ręce do ust. - Peter? - zapytał szeptem.
Teraz, kiedy mu się lepiej przyjrzał, zauważył, że wytrzeszczone oczy wynalazcy były jakby... ze szkła! Czy to możliwe?
- Odszedł czy nie? - powtórzył ochryply głos z pewnym zniecierpliwieniem.
- Tak... - szepnął Rick, a serce waliło mu w piersi jak młotem.
Zaczynał rozumieć. Choć to się mogło wydawać nie do wiary, to nie był Peter Dedalus. To była jego mechaniczna kopia.
Rick pokręcił głową zdumiony.
Automat spróbował się poruszyć, ale bez skutku. - Zablokowałem się, do licha! Weź mnie pod ramię, chłopcze! - rozkazał głos Petera Dedalusa przez jakiś nieznany, ukryty głośnik. - I szybko stąd wychodźcie! Czekam na was przy kanale!

nazwisko: Zafón

miejsce zamieszkania: Wenecja w XVIII wieku. znaki szczególne: wśród mnóstwa zmarszczek wrażenie robią jego oczy, inteligentne i bystre. Jest właścicielem sklepiku, w którym sprzedaje zeszyty, atrament i pergamin.

Rozdział 14

KANAŁ MELORIA

- Wiem, że jeszcze nie dokonaliśmy wyczynu naszego życia, ale musimy zejść z tej strony, przyjacielu... - powiedział tłumacz do Freda Spiczuwy, prowadząc go po otwarciu drzwi do jakiejś sutereny.
Skacząc z dachu na dach jak akrobaci, oddalili się od placu Bra w samym centrum Werony, przeszli przed Starym Zamkiem na brzegu Adygi i w końcu zeszli na ziemię. Tę ucieczkę umożliwiły im elastyczne liny tłumacza, które łączyło się na zaczepy i rozpinano jak zabawki dla dzieci. „Liny magiczne”, mówił o nich tłumacz. I wcale nie przesadził.
Fred spojrzał na niego pełen wątpliwości. - Dokąd mnie teraz prowadzisz? - zapytał, gdy wchodzili do ciemnego pomieszczenia.
Tłumacz zamknął za sobą drzwi i zdjął z małej szafki gazową lampę. - Gdybym ci to powiedział, nigdy byś mi nie uwierzył - uciał. - Uważaj na stopnie, są mocno sfatygowane. Wąskimi schodkami pod niskim sklepieniem zeszli parę metrów poniżej poziomu ulicy. Nowe stopnie wkrótce ustąpiły miejsca schodkom starszym i zrazu betonowa murarka zaczęła nabierać cech galerii osiemnastowiecznej. Potem siedemnastowiecznej, barokowej i wreszcie... całkiem średniowiecznej.
- Wilgotno tu - zauważył Fred Spiczuwa, gładząc ręką te potężne fundamenty.
Zamiast odpowiedzi tłumacz uniósł gazową lampę i oświetlił popiersie w niszy.
- Luigi Gottardi - przeczytał Fred. - Nie znam go.
- Doprawdy? - Tłumacz wyciągnął z plecaka wielki żeliwny klucz i otworzył nim solidne drzwi wyglądające jak wejście do więzienia. - Cóż, nie ty jeden. Mało kto pamięta o nim, choć był to człowiek naprawdę nadzwyczajny.
- To mamy coś ze sobą wspólnego, ja z tym typem! - zażartował Fred.
Po zamknięciu za sobą drzwi weszli w korytarz po drugiej stronie. Czuli się, jakby wędrowali po tajemnych przejściach jakiejś fortecy.
Fred kichnął siarczyście.
- Zapnij się - poradził mu tłumacz, podciągając suwak swojej kurtki. - Tu pod ziemią zaczyna się robić zimno.

Istotnie, temperatura się gwałtownie obniżyła, a powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne. Ze sklepienia ze starych cegieł spływały strumyki brudnej wody.

- Ludzie poważni niechętnie wspominają to miejsce - wyjaśnił tłumacz, nie zwalniając kroku. - Musieliby jakoś uporać się z jego zakwalifikowaniem, a to niełatwe.

Weszli w coś, co wyglądało na tunel metra, wysoki na dziesięć metrów, szeroki na dwadzieścia. Tyle że pośrodku, zamiast torów była rzeka, która szumiąc, płynęła wartko przez podziemia.

- Witaj w kanale Meloria! - oznajmił tłumacz, unosząc wysoko gazową lampę. Wsiadli do motorówki, której silnik za drugim razem zaskoczył. Następnie popłynęli środkiem kanału w kierunku przeciwnym do Adygi.

Fred rozglądał się dokoła, na oko spokojny.

- Doprawdy, macie tu w Italii zdumiewające rzeczy - zauważył.

- I nikogo, kto by je znał... - odparł z goryczą tłumacz.

Chwilę płynęli w milczeniu, ale po kwadransie podziemnej podróży Fred nie wytrzymał i zdjęty ciekawością zapytał: - Możesz mi wyjaśnić, dokąd płyniemy? Wydaje mi się jakiś dziwny ten... tunel. Przypomina mi inny, który się znajduje w Kilmore Cove...

- To doprawdy zadziwiające dzieło inżynieryjne - wyjaśnił tłumacz, prowadząc mały ślizgacz - a chciał je stworzyć ten człowiek, którego popiersie widziałeś, Luigi Gottardi, na początku XIV wieku. To jest sekretny kanał długości ponad trzystu kilometrów, który przechodzi pod Padem i Apeninami, łącząc Chioggię z zatoką La Spezia.

- Kanał podziemny między Chioggią a La Spezia? -

.... zdumiał się Fred Spiczuwa. - A co to jest Chioggia i La Spezia?

- Dwa miasta znajdujące się na dwóch przeciwległych brzegach półwyspu Apenińskiego. Leżą nad dwoma różnymi morzami i dzieli je łańcuch niskich gór, zwanych Apeninami.

Fred gwizdnął zdumiony. - Ten kanał to szaleństwo!

- Właśnie. Ale jak mawiał pewien pisarz, którego zdarzyło mi się kiedyś tłumaczyć: "Tam, gdzie kończy się odwaga, często zaczyna się szaleństwo". Ten kanał był częścią niezwykle śmiałego projektu Republiki Genueskiej pragnącej zaskoczyć Wenecjan, atakując ich flotą z wnętrza Ziemi!

- Co za pomysł! I jak to się skończyło?

- No cóż, to nigdy nie zostało zrealizowane... Ale kanał, jak widzisz, ciągle istnieje! I na szczęście dla tego, kto wie, jak się nim posłużyć, nadal nadaje się do nawigacji.

Fred Spiczuwa przetrwał tę informację. - A jak ty go odkryłeś? - w końcu zapytał.

Tłumacz się uśmiechnął. - Przeczytałem o nim.

- Gdzie?

- W starej powieści Enrica Bertoliniego, alias Emilia Salgariego, największego pisarza z Werony, autora powieści przygodowych.

- Salgań... - mruknął Fred. - Już gdzieś to słyszałem!

- Wątpliwe, ponieważ jako autor prawie nigdy nie przekroczył naszych granic. A przecież wymyślił pamiętnych bohaterów, jak Sandokan i Czarny Korsarz! I jeszcze, oprócz masy innych książek, napisał Podróżników Melońi, gdzie opisał szczegółowo ten kanał i pełną przygodę ekspedycji eksploratorów tych wód.

Pogrążeni w mrocznej monotonii kanału płynęli spokojnie, a tłumacz opowiadał treść przeczytanej książki i przytaczał cudowne, zawarte w niej pomysły.

- Ale, wybacz... jeżeli to jest w książce przygodowej... to wszystko to jest zmyśleniem!

- stwierdził Fred, podsumowując to, co usłyszał.

- Tym lepiej dla nas, którzy potrafimy z tego skorzystać! - odparł rozanielony tłumacz. - Z drugiej strony, do tego służą zmyślenia, nie? Do wprowadzania ich w czyn.

- Coś mi się widzi, że to kolejna twoja gra słów...

- Daj spokój, Fred. Trzysta kilometrów to dużo jak na łódź: potrzeba co najmniej czterech godzin, żeby dopłynąć do morza.

Fred Śpiczuwa próbował się uspokoić, nie myśleć już o ucieczce po dachach i pod ziemią ani o tym, co mogło ich czekać, kiedy dopłyną do zatoki La Spezia. Wpatrzył się w beczkowe sklepienie tunelu, który ciągnął się przed nimi najwyraźniej bez końca i zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek znajdą wyjście.

Potem zrobił to, z czego słynał: osunął się i prawie natychmiast zapadł w przyjemny czujny sen.

Rozdział 15 WYJŚCIE

Prawie godzinę zajęło Nestorowi i jego młodemu towarzyszowi wdrapanie się na mały wulkan.

Stroma ścieżka, którą wspinali się aż do krawędzi krateru, była prawie na całej swojej długości porośnięta niezwykle bujną roślinnością, zaś na ostatnim odcinku pokrywał ją płaszcz trawy, ukrywający warstwę podstępnych śliskich kamieni.

Kiedy rozbitkowie czasu dotarli na szczyt wulkanu, mieli przed sobą widok na całą tajemniczą wysepkę. Była ona w kształcie ząbkowanego nieregularnego rombu o boku długości dwóch kilometrów, a otaczało ją potężne pasmo raf. Z jednej strony wyspy widać było resztki dawnej przystani: drewniany pomost i ciąg opuszczonych baraków na plaży. To właśnie pozostało z dawnej kryjówki korsarzy, postrachu mórz.

- Przekleństwo - mruknął Nestor, siadając na krawędzi krateru. Całą uwagę skierował na wnętrze stożka.

Jak większość wysepek tego zapomnianego zakątka świata, także i ta powstała w następstwie zamierchłej erupcji wulkanu. Na warstwę zakrzepłej lawy wiatr naniósł piasek i pyłki z ładu stałego i w ciągu wieków ta kamienna pięść wulkaniczna pokryła się roślinnością.

Komin wulkaniczny otaczający pierścieniem ciemną przepaść przypominał potężną rozwartą paszczę. Ślady względnie niedawnych erupcji były jeszcze dobrze widoczne.

- O rety! - wykrzyknął zafascynowany mały Flint. - To mi dopiero krater!

Ogrodnik przystanął obok niego zapatrzony w dal. Zobaczył rodzaj blizny pośrodku lasu: potężne cięcie zadane roślinności przez głaz wielki jak dom, który z wulkanu stoczył się aż tam.

Nestor odtworzył w myśli dynamikę wybuchu: to musiał być ten głaz, który zamykał wulkan i wyleciał w powietrze jak ogromny korek od szampana, pozostawiając otwartą przepaść w kraterze.

- Hej! - zgromił Nestora mały Flint. - Dokąd to? Niech pan natychmiast stamtąd wyjdzie!

Stary ogrodnik rzeczywiście zaczął się zsuwać do wnętrza krateru, kuśtykając między kamieniami. - Ty się stąd nie ruszaj! - nakazał chłopcu.

- Może pan być pewien, że się nie ruszę.

Z przerażeniem patrzył na tego starego szaleńca, który zmierzał zdecydowanie ku otwartej paszczę w środku krateru, jakieś dwadzieścia metrów poniżej.

- Niech pan zawróci! Błagam! - krzyknął, widząc, że Nestor naprawdę zamierza dotrzeć do przepaści odsłoniętej przez głaz. - Bo ja na pewno nie pójdę panu na pomoc!

Ale Nestor ani myślał go słuchać i sunął naprzód uparty jak muł.

Po kilku minutach dotarł do otworu nad przepaścią. - Spencer tu był - zawołał triumfalnie.

„Co ten dziecięciniały starzec bredzi?” - zapytał siebie mały Flint. Potem, kiedy zobaczył, jak Nestor wyciąga z przepaści pierwsze metry drabinki sznurowej, identycznej z tą znalezioną przez nich na dole na plaży, rozdziawił ze zdziwienia usta.

- O kurczę! - zawołał. - Nie mogę uwierzyć.

I bez namysłu ruszył w ślad za Nestorem w głąb wulkanu.

W kraterze wiał silny wiatr.

Wiatr niezwykle i niezrozumiały, który wiał wewnątrz stożka wulkanicznego o wiele mocniej niż na wyspie.

Musiał to być ten sam wiatr naładowany gazem, który wysadził w powietrze ogromny głąz korkujący wulkan. Wydawało się, że pochodził z wnętrza ziemi: ciepły i stały, unoszący się spiralnie z otworu, z wnętrza krateru.

Jak głęboka mogła być ta przepaść? Dziesięć metrów? Dwadzieścia?

Mały Flint nigdy nie umiał dobrze obliczać odległości. Potknął się o porowate, zaokrąglone kamienie i zranił sobie rękę o jakąś ostrą krawędź, po czym przez cały czas, kiedy schodził do wnętrza wulkanu, modlił się, żeby to nie spowodowało jego nagłego przebudzenia.

Kiedy w końcu doszedł do Nestora, zobaczył, jak pochylony wyciąga dalsze metry drabinki sznurowej.

- Jest pan szalony - powiedział.

Ciągły, ogłuszający podmuch wiatru dźwięczał mu w uszach - czuł się tak, jakby mu ktoś wsadził głowę do gigantycznej suszarki do włosów.

Nestor zwałił na stos obok siebie ze trzydzieści metrów drabinki i nie wyglądało na to, by miał zamiar przestać.

Ale nie była to tylko drabinka: wyciągnął też kilka dziwnych drewnianych ram z rozpiętą siatką ze srebrnych nici.

- A co to takiego? - zapytał chłopiec.

Stary ogrodnik przestał na moment wyciągać sznurową drabinkę. Teraz zsunął się po niej kawałek do środka, ale musiał zrozumieć, że było za głęboko i nigdy nie zdołałby dotrzeć do dna.

Flint otworzył usta. - Do... dokąd?

Z pewnym wysiłkiem Nestor przesunął po kamieniach wokół otworu wulkanu skrzynkę inkrustowaną kością słoniową, złotem i szarymi perłami australijskimi, na której były wyryte litery: BRIGGS.

- Potem zdecydował się zmienić strategię... - wysapał stary, uderzając dłonią o wieko.

Flint podrapał się po głowie, zmieszany. - Nie pojmuję... - powiedział.

Zamiast odpowiedzi Nestor przekazał mu skrzynkę. Była dosyć duża, ale lekka.

- Wynieś ją! - rozkazał. - Potrzebujemy gładkiej powierzchni.

- Gładkiej powierzchni... żeby co?

Stary ogrodnik zabrał też drewniane ramy, które na pierwęzy rzut oka mały Flint wziął za ramy od obrazu. Teraz jednak, przyjrawszy się im uważnie pod światło, pomyślał, że trochę przypominały...

Chłopiec przetarł oczy. - Nie - szepnął. - Niech mi pan nie mówi, że...

- Śmiało, smarkaczu! Wprawdzie jestem już nieco za stary na pewne sprawy, ale jeśli udało się Spencerowi, może się udać i mnie.

Nestor opuścił ramy, a Flint patrzył zaciekawiony.

W rękach starego ogrodnika te drewniane konstrukcje przez moment przypominały mu szkielety prymitywnych skrzydeł.

W skrzyni była reszta srebrnej siatki. Rozdzielili ją między dwie drewniane ramy i po kilku próbach udało się im ją zamontować. Umocowali tkaninę na oczkach i sprawdzali stabilność konstrukcji.

Teraz mały Flint już nie miał wątpliwości: to, co starali się złożyć, to naprawdę była para skrzydeł.

- Proszę pana... - szepnął chłopiec.

Ale Nestor jak zwykle go zignorował. Był nazbyt zajęty sprawdzaniem, czy jedwab i maty, które zamocowali na ramach, były dobrze naciągnięte. Pracował sprawnie przez ponad godzinę, sprawdzając każdy naciąg.

- Niech mi pan nie mówi, że zamierza pan naprawdę... ich użyć - odezwał się mały Flint.

Nestor przypiął sobie pierwsze skrzydło. Chwycił je prawą ręką i spróbował nim poruszyć. - Coś nie działa... - stwierdził, kręcąc głową.

Flint przejechał ręką po czole. - O, całe szczęście.

Nestor oparł skrzydła o ziemię. - To znaczy, że czegoś tu brakuje...

- Przez chwilę myślałem, że zamierza pan rzucić się z wulkanu! - odezwał się tymczasem chłopiec, uspokojony. - Jak ci szaleńcy, którzy rzucają się z gór na parolotni!

- Nie gadaj głupstw! Nie zamierzałem rzucać się do morza.

Flint zamrugał oczami. - Że co?

Odwrócił się, by spojrzeć z przerażeniem na czarną przepaść w środku wulkanu skąd ciągle wznosiły się podmuchy ciepłego powietrza. - Znaczy... chce się pan rzucić do środka? Do wulkanu?

- Właśnie.

- O kurczę... pan jest naprawdę szalony!

Nestor prześwidrował go swoimi przenikliwymi oczami. - Jeszcze niczego nie zrozumiałeś? To tędy Spencer uciekł z wyspy. I od pewnego czasu odnoszę wrażenie, że mi to mówi. To tak, jakby chciał zostawić za sobą serię wskazówek dla mnie. Rzucić mi wyzwanie, bym zrobił to samo.

- No tak, pan jest po prostu stuknięty.

Nestor wzruszył ramionami. - Nie ma sensu, bym ci wyjaśniał, co jest tam, pod spodem. Tym bardziej, że nigdy byś mi nie uwierzył.

- Słusznie - przyznał mały Flint. - Tak jak nie mogę uwierzyć, że mężczyzna w pańskim wieku, z całym szacunkiem, zamierza rzucać się do wulkanu na... dwóch słomianych skrzydłach, bo ma ochotę na śliczny skok do lawy!

Ale Nestor miał całkiem inne zamiary. Wiedział, że w dole znajdzie coś całkiem innego niż lawę. Pod Tajemniczą Wyspą, jak pod wszystkimi innymi Miejskami z Wyobraźni, było tylko jedno: szczelina oddzielająca je od rzeczywistości, a Nestor zawsze o niej myślał. Jason i inni, a przed nimi Penelopa, zdołali ją zbadać, przybywając do serca tej otchłani: do Labiryntu Cienia.

Połączenia ze wszystkimi Miejskami z Wyobraźni.

Prawdopodobnie tą właśnie drogą Spencerowi udało się uciec.

- Jak ci dwaj, co to sobie zbudowali skrzydła z wosku, które pod pięknym słońcem się rozpuściły! - biadolił tymczasem mały Flint. - No i właśnie, pana czeka taki sam marny koniec jak każdego głupka!

Nestor skamieniał. „Skrzydła z wosku...”

- Ależ tak! Jasne! - zawołał. - Oto czego Spencer użył dla wzmocnienia materiału!

Wosku i ptasich piór! Jak Dedal i Ikar! Jak mogłem o tym wcześniej nie pomyśleć?

Flint padł na kolana na ziemię całkiem załamany. -Dlaczego ja nigdy nie trzymam języka za zębami...? - Potem spojrzął na Nestora, żwawo zmierzającego w stronę plaży i wydał jęk. -

Ale jeśli pan myśli, że mu pomogę się zamordować, to nie!

Stary ogrodnik tymczasem schodził coraz niżej.

- Po moim trupie! - zawołał do niego mały Flint.

Potem zatrzymał przez dłuższą chwilę spojrzenie

na bezkresnym szarym oceanie, który go otaczał.

Wyspa więzienie...

Skalista dziura z palmami, której nie było na mapach od nie wiadomo jak dawna.

Skalista rafa, z której nie było wyjścia, ponieważ jedyne drzwi, przez które tu się przybywało, nigdy się nie otwierały.

- Może spróbować je przedziurawić - powiedział do siebie chłopiec.

Ale sam w to nie wierzył.

Starego tymczasem pochłoniął las, tak że zniknął z pola widzenia.

- Hej, nie! Zaczekaj! - zawołał mały Flint, zrywając się nagle na nogi i szybko zbiegając ścieżką. - Co pan robi? Zostawia mnie pan samego? Proszę zaczekać!

Mewy niestrudzenie krążyły nad kraterem: potężną czarną żrenicą, która spoglądała groźnie ze środka wyspy zagubionej na krańcach świata.

Rozdział 16

WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI

- To doprawdy bardzo wielka szkoda, że taki stary ród jak Moore'ów wygasł w taki sposób... - odezwał się Pires, kiedy schodzili do piwnic budynku po wąskich krętych schodach. - Śmierć Annabelli była wielką tragedią. Sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót, gdyby ona żyła dłużej. Ale nie ma sensu teraz nad tym płakać.

Anita leciutko się uśmiechnęła.

Opowiedziała Piresowi, jak poznała Covenantów z Willi Argo, o entuzjazmie Julii i Jasona i powieściach Ulys-sesa Moore'a, które zdołano dostarczyć kilku wydawcom niedługo przed jego śmiercią.

Pires zapowiedział, że poszuka ich w różnych księgarniach.

Otwierał i zamykał ciągi coraz to solidniejszych i groźniejszych drzwi, prowadząc dziewczynkę przez istny labirynt korytarzy, który sięgał chyba okresu nalotów na Londyn podczas drugiej wojny światowej.

Przechodząc przez jeden z całkiem ciemnych pokoi, Anita się zastanawiała, czy to aby rozsądne tak dać się prowadzić w podziemia. I czy aby nie zawiódł jej instynkt, kiedy obdarzyła majordoma pełnym zaufaniem.

Słyszała odległy szmer spływającej wody i podnosząc wzrok, uświadomiła sobie, że znajduje się dokładnie pod studnią ogrodową.

- Dom generała - wyjaśnił Pires - zawsze ma przynajmniej jedno wyjście bezpieczeństwa. Za chwilę do niego dojdziemy, jeszcze troszkę cierpliwości, panienko...

Z wielkiego pęku kluczy Pires wyciągnął jeden, otworzył pancerne drzwi i po omacku wyszukał kontakt, by włączyć światło. Po czym usunął się na bok, robiąc przejście dla Anity. Dziewczynka weszła do niewielkiej ośmiobocznej sali przypominającej kaplicę. Osypujący się fresk na sklepieniu wyobrażał lazurowe niebo usiane gwiazdami. Gwiazdy i planety były też wymalowane na ścianach. To musiała być sala zgromadzeń jakiegoś zakonu albo zakonu rycerskiego, jedna z tych sekretnych komnat, jakich dziś jeszcze wiele się znajduje w podziemiach starych miast. Fragmenty dawnych czasów coraz to trudniejszych do zrozumienia.

- Moja mała przystań na emeryturę... - wyznał Pires, uśmiechając się gorzko.

Zgromadził tu masę rzeczy: bardziej i mniej eleganckie ubrania, butle z winem, rower, buty i pudełka od prezentów. Wszystko, co niewątpliwie trafiłoby na śmietnik, gdyby on tego starannie nie przechował.

- Proszę jednak uważać! - ostrzegł Anitę, stąpając umyślnie głośno. - Tu w środku posadzka jest żelazna i od czasu do czasu wibruje.

Anita zmarszczyła czoło. Komnatka była doprawdy ciasna. Jej osiem ścian rozdzielały kamienne żebra, które krzyżowały się na środku sufitu, tworząc rysunek jednakowych ostrołuków, jak w małej gotyckiej kaplicy. Na każdym boku było umieszczone kamienne siedzisko z oparciem wykutym w murze. A na każdym siedzisku był krótki napis pokryty kurzem i przez czas zatarty. Anita odczytała je - były to nazwy ciał niebieskich. Majordomus zaczął przesuwając jakieś pudła, dopóki nie wyciągnął dwóch ukrytych pod innymi.

- A oto wszystko, co udało mi się ocalić... - powiedział.

Wyciągnął z nich jakiś drewniany samochódzik, jakieś puzzle, kryształową kulę, z dziesięć dziwacznych amuletów i album ze starymi fotografiami, którego karty Anita zaczęła przewracać drżącymi rękami. Wszystkie zdjęcia zrobiono tu: w tym domu, w salach na pierwszym piętrze i w ogrodzie. Rozpoznała od razu dziadka Ulyssesa Moore'a: na jednej fotografii był sam, na drugiej z panią, która chyba była jego żoną, a na trzeciej towarzyszył jakiejś bardzo starej kobiecie o wielkich wypukłych oczach, które ją upodabniały do salamandry.

Dalsze fotografie ukazywały dżentelmenów w panamach i lnianych garniturach, damy w wielkich kapeluszach, sportowców z początku XX wieku w śmiesznych trykotach w paski pozujących obok balonu. Były też zdjęcia pilotów i samochodów z owych czasów. Anita oglądała to pobieżnie, obiecując sobie obejrzeć je spokojniej kiedy indziej, jeśli Pires się na to zgodzi. Pierwsze karty albumu zawierały wizerunki najstarsze i już nieco wyblakłe. Anita skorzystała z podpisów i odkryła kilka znanych postaci z ubiegłych wieków: sir Arthur Conan Doyle, twórca postaci Sherlocka Holmesa, przy stole bilardowym w klubie Podróżników w Wyobraźni, H.G. Wells, pisarz powieści fantastycznonaukowych, w towarzystwie dwóch braci Wright, wynalazców pierwszego aeroplanu z silnikiem. A na fotografii z 1903 roku - pisarz Jules Verne przy stole w ogrodzie w towarzystwie kompozytora Giacomo Pucciniego.

- To ci dopiero... - szepnęła rozemocjonowana dziewczynka, przesuwając dłonią po kartach albumu.

- I to zaledwie część dawnego archiwum klubowego... - westchnął Pires. - Proszę spojrzeć, może to też paniąkę zainteresuje.

^ _ WSPOMNIENIA Z PRZESZŁOŚCI .

W drugim pudełku były dalsze zdjęcia i kilka książek.

- Kiedy wyniesiono wszystkie pudła ze starej biblioteki - wyjaśnił majordomus - jedno przegapili. A ja im o tym nie powiedziałem.

I zaczął Anicie podsuwać kolejno tomy o najdziwniejszych tytułach:

Życie domowe i warunki ekonomiczne dwuczubych kormoranów Howarda Lewisa Mendalla, Autobiografia pewnej torby do golfa C. Arthura Pearsona,

Jak być szczęśliwym nawet po ślubie wielebnego Edwarda J. Hardy'ego

Co powiedzieć, kiedy się mówi do samego siebie Sha Helm-stettera.*

W pewnej chwili Anita gwałtownie odchyliła się do tyłu.

Pires wyciągnął z pudła książeczkę z ilustracjami z początku XX wieku. Z jakiegoś powodu dziewczynkę uderzył widok ilustracji na okładce: mężczyzna w czarnym stroju trzymający pistolet w dłoni.

* Te tytuły odnoszą się do książek istniejących. Kto chce się dowiedzieć czegoś więcej o tych i o innych podobnych publikacjach, a zna język włoski, patrz: Russel Ash i Brian Lake, I libri piu assurdi del mondo.

Książka nosiła tytuł Przygody kapitana Spencera. Ogród Popiołu i oznaczona była na grzbiecie numerem jedenastym.

Autorką powieści była niejaka Circe De Briggs, a wszystko wydało się Anicie dziwnie znajome.

Otworzyła starą książeczkę i szybko przejrzała ilustracje. I utwierdziła się w przekonaniu, że się nie pomyliła: każda z nich była podpisana charakterystycznym podwójnym „M” Morice’a Moreau.

- Podoba się paniencie ta książeczka? - zapytał ją Pires z uśmiechem. - Ciekawe, że nazywa się tak, jak nasz ogród, nieprawdaż? To był powód, dla którego postanowiłem ją zachować.

- Czy są inne z tej samej serii?

- Zaraz sprawdzę - odparł majordomus. - Ale wydaje mi się, że nie.

- Ciekawe, o czym to jest - szepnęła Anita, kartkując pośpiesznie książeczkę.

Na odwrocie natknęła się na kilka linijek poezji:

Na skrzydłach z atramentu i smolnych okrętach, z portu do portu snów, wędrowcy zdumienia, przyjaciele morza lub czasu, miast niego znaleźli Wrota, co wiodą do przerażenia.

„Raczej makabryczne” - pomyślała Anita.

Obróciła się. Poczowała przeciągi od ścian dokoła. Potem metalowa posadzka ośmiobocznej piwnicy zaczęła pomału wibrować.

- Myślę, że to z powodu przejazdu jakiegoś cięższego konwoju... - wyjaśnił Pires stojący obok.

Ale z bliżej niewyjaśnionego powodu Anita mu nie uwierzyła.

nazwisko: Pires miejsce zamieszkania: Londyn

znaki szczególne: nienaganny majordomus Klubu Podpalaczy, niegdyś Klubu Podróżników w Wyobraźni. Zna wiele sekretów domu na Frognał Lane i wydaje się pochodzić z innej epoki.

Rozdział 17

BATYSKAF PAJĄK

- Zmywamy się! - zawołał Rick na podwórku Domu Ca-bota.

Zarzucił sobie na plecy „ciało” Petera Dedalusa i dał znak Tommasowi, by szedł za nim.

Ale chłopiec z Wenecji był jeszcze w szoku i patrzył na przyjaciela oraz jego makabryczny ładunek z wyrazem przerażenia. - Dokąd idziemy? I co ty zrobisz z tym tu na plecach?

- Jest nieprawdziwy! Przyjrzyj się!

Rick potrząsnął automatem, żeby Tommaso zrozumiał, że to tylko kukła.

I wybiegli, a w ślad za nimi mała puma.

Za bramą, w pełnym świetle słonecznym Tommaso przyjrzał się uważniej kukle Petera Dedalusa i zrozumiał, że była zrobiona z drewnianego szkieletu, stawy miała metalowe, twarz z porcelany i szkła, a cała była wypchana. „Szaleństwo...” - pomyślał chłopiec ogarnięty podziwem dla takiego geniuszu.

- Ale co teraz powinniśmy zrobić? - zastanawiał się Rick, rozglądając się niespokojnie wokoło.

Było kilku przechodniów, jakiś wędrowny sprzedawca, łódzie na kanale i...

- Tam! - wskazał Tommaso z przejęciem.

Między przycumowanymi gondolami wynurzał się czarny i lśniący kadłub podobny do skorupy żółwia. Ktoś otworzył luk wejściowy i teraz, wymachując rękami, dawał im znaki. Peter Dedalus. Ten prawdziwy.

- Na czym on się, u licha, wynurzył? - mruknął Rick z niedowierzaniem, wyprzedzając przyjaciela na pomoście.

Było to coś doprawdy absurdalnego: szalone skrzyżowanie miniaturowej łodzi podwodnej i batyskafu. Metalowe nity były powbijane do poszycia z litego drewna pokrytego lśniąca farbą smołową. Wszystko miało kształt podłużnej małży z ośmioma metalowymi, zginającymi się odnóżami i z dziobem z przezroczystego szkła tuż pod linią wody.

Za bramą, w pełnym świetle słonecznym Tommaso przyjrzał się uważniej kukle Petera Dedalusa i zrozumiał, że była zrobiona z drewnianego szkieletu, stawy miała metalowe, twarz z porcelany i szkła, a cała była wypchana. „Szaleństwo...” - pomyślał chłopiec ogarnięty podziwem dla takiego geniuszu.

- Ale co teraz powinniśmy zrobić? - zastanawiał się Rick, rozglądając się niespokojnie wokół.

Było kilku przechodniów, jakiś wędrowny sprzedawca, łódzie na kanale i...

- Tam! - wskazał Tommaso z przejęciem.

Między przycumowanymi gondolami wynurzał się czarny i lśniący kadłub podobny do skorupy żółwia. Ktoś otworzył luk wejściowy i teraz, wymachując rękami, dawał im znaki. Peter Dedalus. Ten prawdziwy.

- Na czym on się, u licha, wynurzył? - mruknął Rick z niedowierzaniem, wyprzedzając przyjaciela na pomoście.

Było to coś doprawdy absurdalnego: szalone skrzyżowanie miniaturowej łodzi podwodnej i batyskafu. Metalowe nity były powbijane do poszycia z litego drewna pokrytego lśniąca farbą smołową. Wszystko miało kształt podłużnej małży z ośmioma metalowymi, zginającymi się odnóżami i z dziobem z przezroczystego szkła tuż pod linią wody.

- Ruszamy! Szybko, zanim mnie rozpoznają! - ponaglał Peter.

- Peter! - powitał go Rick przejęty. - Ja...

- Potem będziemy się sobie przedstawiać! - uciał wynalazca. - Podaj mi mnie!

Rzucili na pokład kukłę, po czym Peter wyciągnął rękę, żeby pomóc Rickowi wejść.

Bach\ - zadudnił pokład, gdy chłopiec postawił na nim nogę.

Rick wślizgnął się w luk wejściowy i wskazując stojącego nieruchomo na pomoście Tommasa, powiedział do Petera: - On też musi wsiąść!

Wynalazca przez chwilę oceniał wymiary swego podwodnego pojazdu, zanim się zgodził. -

W porządku! - zawołał, wyciągając do Tommiego rękę. - Ale będzie nam ciasno!

Bach\

Już na pokładzie Tommaso obejrzał się w stronę brzegu. - Zaczekajcie! - zawołał.

- O co ci chodzi, chłopcze? - zniecierpliwiał się Peter.

- Moja puma! Została na brzegu!

Przerażone pumiątko biegło nerwowo w przód i w tył na brzegu przystani, nie mając odwagi wskoczyć na pływający pojazd.

- Wchodź! - Ręka Petera zdecydowanym ruchem wepchnęła głowę Tommiego do środka łodzi. - Za późno: zapomnijcie o niej! - I powiedziawszy to, pociągnął gwałtownie za wąż. Po dwukrotnym obrocie klucza wynalazca rozkazał chłopcom siedzieć nieruchomo i wślizgnął się między nich, robiąc sobie miejsce w tej ciasnocie. - Trzymajcie się metalowych uchwytów! - zawołał, siadając na małej sofce obitej dekoracyjną tkaniną i ustawionej na dziobie. Chwycił za kilka dźwigni, które przyciągnął gwałtownie do siebie i jednocześnie wykonał kilka obrotów zębatym kołem nad głową.

Kiedy batyskaf się zanurzał, chłopcy obserwowali, jak wody laguny unoszą się przed szklanym dziobem, a świat zewnętrzny zabarwia się na szmaragdowozielono. Tommi podniósł oczy na ruchome cienie na powierzchni. - Worek pcheł... - szepnęła z czułością.

- Jakie uchwyty? - zapytał tymczasem Rick, rozglądając się wokół z pytającą miną.

Peter odwrócił się ze swego miejsca. Potem pokręcił głową. - Macie rację - powiedział. - Nie ma uchwytów, zapomniałem je przykręcić. Nie przewidziałem pasażerów! Trzymajcie się... czego bądź\

Potem z powrotem skupił się na sterach. Przestał kręcić kołem i nacisnął dźwignię po lewej stronie. Batyskaf jak pajak poruszył odnóżem po tej stronie, wzbijając kłęby błota i zakołysał się na głębokim dnie laguny. Następnie Peter powtórzył operację z odnóżem prawym i pojazd ruszył.

Rick i Tommaso skorzystali z tego, żeby się rozejrzeć po kabinie. Pojazd był doprawdy małej: kadłub z metalu i drewna, z dziobem szklanym, zaledwie mieścił ich trzech. Porcelanowy wentylator kilka centymetrów od twarzy Tommasa nawiewał świeże powietrze przez boję unoszącą się na powierzchni.

Batyskaf pajak sunął po dnie, kołysząc się na długich metalowych łapach, umiejętnie prowadzony przez swego konstruktora, gdy tymczasem pałace Wenecji ukazywały się im drżące poprzez powierzchnię wody.

- O rety! - westchnął Rick.

- Niesamowite! - wyszeptał Tommaso urzeczonej.

- Hej, Peter! - odezwał się pytająco rudzielec, wychylając się do przodu. - Ale dokąd płynie...?

- Proszę o ciszę! - odpowiedział wynalazca, który nie mógł prowadzić i jednocześnie rozmawiać.

Rick zrozumiał, że nie należy go rozpraszać i przykleknął, wsuwając się głębiej do przodu, by lepiej przez dziób widzieć otoczenie.

W pewnej chwili Peter wykonał gwałtowny manewr i batyskaf wsunął się w rodzaj rowu na dnie kanału. Posuwali się wolno tym wąskim przejściem pośród podziemnego lasu z solidnych pali wbitych w grząskie dno laguny.

Żeby się posuwać do przodu, batyskaf pajak złożył swoje długie metalowe odnoża i zaczął ich używać jak raków, sunąc po drewnie pokrytym smołą - uszczelnionym i utwardzonym niczym kamień.

Rick i Tommi rozglądali się dokoła z otwartymi ustami. - Ach, więc tak jest zbudowana... Wenecja!

- Tak - potwierdził Peter, siedząc na swojej złocistej sofce haftowanej w kwiaty. - Mnóstwo wysp na palach...

Potem pokombinował coś ze sterami i uruchomił kopnącą lampę naftową. - A teraz psttt! - rozkazał i zapadł w pełne skupienia milczenie.

W pewnej chwili, kiedy przepływali pod jakimś pałacem, do ich uszu dobiegła ożywiona dyskusja i brzęk kieliszków. Potem zapadła cisza.

Wentylator przestał nadmuchiwać powietrze i Rick poczuł, jak brakuje mu tchu. W batyskafie słyszeli jedynie odgłos metalowych odnóży i czuli mdlący odór nafty.

Potem podwodny pasaż zaczął się wznosić i batyskaf wynurzył się nagle w nader ciasnym pomieszczeniu, na którego dnie stało trochę wody. Z góry wpadał tu wąski strumień światła. Byli pod jedną z miejskich studni.

Peter zatrzymał swój batyskaf i przeciągnął się na sofce.

- Na co czekasz? Otwieraj! - zawołał do Tommasa, wskazując mu drzwiczki. - Brak powietrza tutaj!

Chłopiec nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Obrócił dwukrotnie kołem od luku i otworzył ciężką pokrywę. W podziemiu rozbrzmiał metaliczny odgłos.

- Ciszej! Czy chcesz, żeby cię usłyszeli aż w Ravennie?

Owiał ich przyjemny powiew świeżego powietrza.

- Wychodźcie chłopaki! Wychodzimy wszyscy!

Rick i Tommi brnęli w wodzie po kostki. Peter zarzucił sobie kukłę na plecy i poszedł ku drzwiczkom w bocznej ścianie. Weszli po krętych schodach prowadzących do małej izby zawałonej narzędziami i licho wie czym.

To było nowe tajne laboratorium Petera Dedalusa.

Wynalazca rozłożył kukłę na ogromnym stole i zaczął ją nerwowo rozbierać. - Prawie mi ją zniszczono! - użalił się, sprawdzając pobieżnie uszkodzenia. - Ale przynajmniej teraz, jeśli Bóg pozwoli, myślą, że nie żyję!

Tommaso podszedł do okna i rozpoznał zarys ogromnej absydy gotyckiej. Był niemal pewien, gdzie się znajdują: na nabrzeżu Bressana, na tyłach bazyliki San Zanipolo.

Rick poszukał krzesła, klapnął na nie i rzucił niespokojnie okiem na wiszący przed nim na ścianie szkielec.

- Kim był mężczyzna, który cię zaatakował w Casa Ca-bota? - zapytał po chwili Petera, gdy wynalazca przestał na chwilę majstrować przy kukle.

- Tajna gwardia. Mam ich teraz stale na karku - odparł Peter ponuro.

- A dlaczego?

- Nie wiem tak na pewno. Najpierw myślałem, że chcieli moich wynalazków. Potem zacząłem podejrzewać, że interesuje ich... coś całkiem innego. Miejsce, z którego przybyłem i sposób, w jaki przybyłem: innymi słowy Kilmore Cove i Wrota Czasu. Po utracie posady zegarmistrza w Palazzo Ducale... po wizycie Obliwii... na dłuższy czas miałem spokój. Ale potem nagle przybył ten przeklęty okręt.

- Jaki okręt?

- Dajmy temu spokój - uciął Peter. - Powiedzcie raczej, co wy tu robicie? Stary Zafon mi mówił, że szukaliście mnie u niego w sklepie i wspomniął coś o Leonardzie, Ulyssesie i Penelopie. Można wiedzieć, co się dzieje?

Kiedy Rick zdawał mu krótkie sprawozdanie z ostatnich wydarzeń, wynalazca wziął srebrny czajnik napełnił go wodą i postawił na prymitywnej kuchence gazowej, pod którą zapalił płomyk. Potem zaczął grzebać w jakichś blaszanych pudełkach, otwierając je i zamykając, póki nie znalazł herbaty.

- Bardzo interesujące - zauważył pod koniec opowieści Ricka. - Ale teraz siądźmy na chwilę i naładujmy baterie, co wy na to?

Wypili herbatę pachnącą korzeniami i zjedli herbatniki z rodzynekami.

- Co o tym myślisz? - zapytał Rick między jednym herbatnikiem a drugim, niecierpliwie pragnąc poznać punkt widzenia zegarmistrza.

- Że sytuacja jest poważniejsza, niż się obawiałem - odparł zamyślony Peter.

- Może powinieneś wrócić do Kilmore Cove - ciągnął Rick. - Mógłbyś skonstruować inny mały balon i polecieć do Labiryntu szukać wiadomości o Penelopie..., a może i o Nestorze.

- Tak, Labirynt pod szczeliną... - szepnął wynalazca. - Wyjaśniłby wiele spraw. Prądy powietrzne na przykład mogłyby pochodzić ze szczeliny. I może to dlatego można podróżować wodą, a nie tylko przez Wrota... Doprawdy bardzo ciekawe...

Peter mruzczał coś do siebie, jakby chłopców w ogóle nie było. Może z przyzwyczajenia do samotności.

- To wszystko powinniśmy zaobserwować podczas naszych podróży... - ciągnął wynalazca. - Cała zagadka kryje się w okrętach. Okręty i woda. Okręty, woda i żagle okrętowe. Nie zapominajmy o żaglach. Ponieważ to one chwytają wiatr.

Przerwał na moment ten monolog tylko po to, by spytać: - W Labiryncie był wiatr, prawda? Rick potwierdził.

- Naturalnie, że był wiatr. Zawsze podnosi się wiatr, kiedy się rzeczy rozdzielają - potwierdził Peter, głęboko wzdychając.

Tommi rozejrzał się dokoła nieco skrępowany. Przyszło mu do głowy, że zegarmistrz z tymi swoimi dziwnymi wynalazkami nie ma wszystkich klepek na miejscu.

Wymienił z Rickiem zatroskane spojrzenie, ale żaden z nich nie ośmielił się przerwać

Peterowi, który ciągnął niewzruszenie: - Powiadamy woda... Więc wszystkie Miejsca z

Wyobraźni, gdzie znajdują się Wrota Czasu, wiążą się również z wodą. Zgoda? W Krainie

Puntu to jest Nil, na Atlantydzie jest aż za dużo wody... W Ogrodzie Księdza Jana... powinna być rzeka na wyżynie. W Eldorado jest jezioro..., a tu, w Wenecji... ba, w Wenecji, wiadomo... W każdym razie właśnie dlatego nazywa się je Portami Snów, inaczej Metis nie mogłaby do nich dopłynąć. Zatem... woda jest niezbędna. Woda wypełnia szczelinę... Tak, tak, to musi być właśnie tak... ale ciągle pozostaje pytanie: co to jest Miejsce z Wyobraźni? Jak się je tworzy?

Peter zrobił przerwę, a Tommi skorzystał z niej, by się włączyć: - Opisując je? - zapytał.

- Właśnie - odpowiedział wynalazca poważnie. - Miejsce z Wyobraźni tworzy się za pomocą słów. Logos. Na początku było Słowo. Tak... Słowa tworzą miejsca. Poruszają wyobraźnię. Gdzie to ja miałem Biblię?

Peter podniósł się raptownie i zaczął grzebać pod stosem sprężyn i mechanizmów, aż wyciągnął egzemplarz Biblii greckiej Andrea Torresaniego, wydanej w Wenecji w 1541 roku, dla której oszalałby każdy kolekcjoner starodruków. Przewrócił parę kartek i odłożył ją na dawne miejsce, nie przeczytawszy ani linijki.

Potem ze stosu różnych rzeczy wziął młotek i zaczął chodzić tam i z powrotem po izbie, wymachując nim przed sobą. - Jasne, jasne, jasne... Bóg stworzył świat słowami. A zatem człowiek, który jest uczyniony na jego obraz i podobieństwo, może w ten sam sposób stworzyć inne światy, choć o wiele mniejsze. Małeńkie ograniczone miejsca.

W pracowni powietrze zrobiło się ciężkie. Rick i Tommaso wpatrywali się w młotek w rękach wynalazcy z pewną obawą.

- Ale to, naturalnie, tylko głupstwa! - zaśmiał się Peter. - Spekulacje! Sofizmaty! Strata czasu! Teologie! Dla nas kompletnie nieprzydatne!

Odrzucił młotek, który spadł na stos rupieci z wielkim hałasem.

- My przecież jesteśmy ludźmi racjonalnymi. Prostymi i praktycznymi! Chcemy mechanizmów, które działają! Dokładnych wskazówek! Nas nie interesują spekulacje na temat czasu!

- Hmm, tak - mruknął Rick, niezbyt przekonany.

- A zatem? - zapytał Tommaso, który zaczynał się niecierpliwić.

- Zatem... musimy się ruszyć! Już wam mówiłem o okręcie?

Chłopcy potwierdzili. - Coś wspomniałeś...

- Bardzo dobrze. Także dlatego, że to było trzy miesiące temu, nie dalej. Uprzedziłem natychmiast Leonarda i...

- Uprzedziłeś Leonarda? - zapytał speszony Rick.

- Jasne! Ale teraz koniec z gadaniną, idziemy!

- Dokąd?

- Oni myślą, że mnie zabili... teraz więc pogrzebią w twoim plecaku, zobaczą, że nie pochodzi stąd i znowu pójdą do Domu Cabota w poszukiwaniu Wrót Czasu. Od miesiący depczą mi po piętach w nadziei, że ich tam zaprowadzę, albo do zaułka Amor degli Amici... Ale ja jestem bardziej przebiegły! O wiele bardziej przebiegły! I przygotowałem... to! Spod wielkiego stołu Peter wyciągnął coś w rodzaju pudełka na buty z tykającymi trybami. Oczy zaślniły mu szaleństwem.

- Szukają Wrót, tak? No, to my pozwolimy im je znaleźć. Znajdą je... i spotka ich przy tym niezła niespodzianka!

Rozdział 18

OKRĘT WIDMO

- Do licha... - szepnęła do siebie Julia Covenant, podnosząc dłoń ze stronicy książeczki Morice'a Moreau. - Ta jest naprawdę piękna.

Przebiegła szybko pokoje Willi Argo w poszukiwaniu brata.

Znalazła go na parterze, w dawnym żółtym saloniku, jak się właśnie przymierzał do przesunięcia małego tapczanu. Pokój, jak cała reszta domu, był wywrócony do góry nogami. Dywan leżał zwinięty w kącie, dwa ogromne obrazy stały oparte o ścianę, stół z fotelem były gdzieś upchnięte, a na stole leżała maska indiańska.

- Masz chwilkę dla mnie? - zapytała.

Jason parsknął, pomasażował sobie obolały krzyż i wskazał jej jadalnię z której dochodził dźwięczny koncert wysuwanych i zamykanych szuflad wraz z pobrzękiem talerzy i sztućców... - O to musisz zapytać szefa, tam obok.

Julia podeszła do brata i szepnęła mu na ucho: - Przed chwilą rozmawiałam z Anitą.

Twarz Jasona się rozjaśniła, a policzki gwałtownie zaróżowiły. - I co u niej? - zapytał ze źle skrywaną obojętnością.

- Zdarzyło się coś zdumiewającego!

I Julia opowiedziała Jasonowi o Piresie, o piwnicy pod budynkiem na Frogmal Lane i o znalezieniu książeczki przygodowej ilustrowanej przez Morice'a Moreau.

- Jaki, powiadasz, nosi tytuł?

- To jedenasta z serii Przygód kapitana Spencera niejakiej Circe De Briggs.

Jason pokręcił głową. - Nigdy nie słyszałem.

Książki przygodowe i w ogóle tego rodzaju lekturę pochłaniał w olbrzymich ilościach.

- Sprawdziłaś w bibliotece? - zapytał siostrę.

- Jeszcze nie. Chciałam wiedzieć, co o tym myślisz.

- Myślę, że to ciekawe, ale nie wiem, jak mogłoby nam pomóc w odnalezieniu

Nestora...

- JAAASON! - przywołał go do porządku głos matki z jadalni. - SKOŃCZYŁEŚ Z TYM TAPCZANEM? BO TU SĄ TALERZE, KTÓRE NA CIEBIE CZEKAJĄ!

- Czas minął - westchnął chłopiec, chwytając za tapczanik jak za drewno na rozpalkę. - Muszę wracać do ciężkiej pracy.

- Cierpliwości - uśmiechnęła się Julia. - Co do mnie, pracuję dziś tylko oczami!

Wbiegła szybko po schodach, skręciła w lewo przed wielkim lustrem w złożonych ramach i weszła do biblioteki Willi Argo. Spojrzała na drzewo genealogiczne wymalowane na suficie ze wszystkimi swoimi rozgałęzieniami i podpisane imionami, potem skupiła się na półkach i licznych tabliczkach określających zawartość poszczególnych działów.

Książki były ułożone tematycznie, Julia zatem podeszła do działu „Opowiadania, Powieści” i poszukała czegoś, co ma związek z przygodą.

Kiedy przeglądała pobieżnie tytuły, przypomniały się jej kapitańska marynarka i czapka ukryte na poddaszu i zaczęła sobie wyobrażać kapitana Spencera w takim stroju. Z jakiegoś niejasnego powodu w jej wyobraźni Spencer i Ulysses Moore złączyli się w jedną postać.

Potem pomyślała o nazwisku pisarki, usiłując wyłowić jakieś wiadomości ze swojej rozproszonej wiedzy szkolnej... Circe... Czy nie tak się nazywała kobieta, która rzuciła urok na Odyseusza podczas jego podróży powrotnej do Itaki? Czarodziejka Kirke...

I kapitan Spencer.

Podążając tropem tego zdumiewającego łańcucha skojarzeń, Julia przesunęła się z jednej strony biblioteki na drugą, żeby sprawdzić książki opowiadające o okrętach i morzu.

„Może to jest postać istniejąca naprawdę...” - powiedziała do siebie niezbyt przekonana.

Otworzyła dwa zakurzone tomiska, przejrzała w nich indeksy i odstawiła na miejsce. Z parteru tymczasem dobiegł ją głos brata, który buntował się przeciwko dźwiganiu na plecach starego nowojorskiego zegara z wahadłem stojącego w jadalni.

Julia roześmiała się ubawiona, ale chwilę później jej wzrok padł na szcegół, którego wcześniej nie zauważyła. Kilka centymetrów od jej nosa, na półce, tuż obok oprawionej

solidnie wielkiej księgi, był świeży ślad startego kurzu: znak, że ktoś niedawno zaglądał do tego tomu.

Wyciągnęła rękę i wyjęła go z miejsca. Długi tytuł w czterech liniach brzmiał:
ŻYWOTY I CUDOWNE WYPRAWY, A TAKŻE LEGENDARNE SKARBY PIRATÓW,
BUKANIERÓWI KORSARZY SIEDMIU MÓRZ

A niżej, drobniejszym drukiem:

Najnowsze wydanie, od kanu do najnowocześniejszych okrętów motorowych.

Artykuły dawne, ilustracje i mapy nawigacyjne, Londyn 1881

„Poza Nestorem nie było nikogo, kto mógłby się interesować podobną lekturą” - pomyślała Julia. I zaraz potem natrafiła na karteczkę wsuniętą między stronicę, na której swoją niezwykle staranną kaligrafią Ulysses Moore napisał słowo: sprawdzić.

Ta karteczka była założona na stronie z ilustracją brygantyny podpisaną: Mary Celeste. Okręt widmo.

Julia zatoneła w lekturze artykułu, który dotyczył tego okrętu. Historia była z rodzaju tych, które jej brat uwielbiał: okręt zwodowany w 1861 roku, jedenaście lat później został odnaleziony na pełnym morzu przy wyspach Azorskich bez żywej duszy na pokładzie. Nie było śladu kapitana Beniamina Briggsa, jego żony, dwuletniej córeczki Zofii Matyldy Briggs ani też siedmiu członków załogi.

Bńggs? Co za dziwny zbieg okoliczności! To samo nazwisko co autorki książki znalezionej przez Anitę na Fro-gnal Lane. Julia się zastanawiała, czy istniał jakiś związek między tymi dwiema sprawami.

W miarę czytania tajemnica narastała: Mary Celeste była 282-tonową brygantyną o długości 31 metrów. Kiedy ją znaleziono, stała pod żaglami na pełnym morzu z pokładem całkowicie zalany i ładownią wypełnioną wodą do połowy. Kompas był rozbity, żagle częściowo podarte, a szalupy ratunkowej nie było. Wszystkie papiery i mapy znikły, a w ładowni brakowało dziewięciu baryłek alkoholu. Okręt został następnie odholowany do Gibraltaru i zasekwestrowany przez Anglików.

- Nikt z członków załogi - przeczytała na głos - nie został później odnaleziony i nigdy się nie wyjaśniło, co się zdarzyło. Liczni pisarze * próbowali rozwiązać zagadkę Mary Celeste: czy był to nieszczęśliwy wypadek, ucieczka czy napad piratów}

Julia zamknęła książkę i spróbowała zrozumieć powód, dla którego Nestor był zainteresowany historią brygan-tyny widma, akurat kiedy planował wyruszyć na poszukiwanie Penelopy. Jakiś powód musiał przecież być i dziewczynka była teraz pewna, że jej odkrycie i odkrycie Anity skierowało ich na właściwy trop, by odnaleźć starego ogrodnika i jego żonę.

- Jason! - zawołała bardzo podniecona.

* Między innymi Arthur Conan Doyle w powieści J. Habakuk Jephson's Statement.

Ale jej brat był jeszcze zajęty przesuwaniem potężnego zegara w jadalni.

Kiedy zadzwonił telefon, Black Wulkan siedział przy stole w swoim biurze z zamiarem studiowania rysunków i notatek na temat budowy Wrót Czasu: zaczął nad tym pracować zachęcony fotografiami, jakie z Domu Bazgro-łów dostarczył Tommaso i rewelacjami Jasona uzyskanymi w Agarthi.

Chwilę mu to zajęło, zanim się ocknął ze skupienia. Oderwał się od rysunków i teorii na temat drzewa z korzeniami na wietrze oraz rzadko występującego metalu

- uniunii i odebrał telefon.

Dzwoniła Julia.

Black wysłuchał cierpliwie tego, co miała do powiedzenia, a potem tylko rzekł: - Nie mogę w to uwierzyć.

- W co właściwie nie możesz uwierzyć? - zapytała Julia.
- Są pewne sprawy, o których wy jeszcze nie wiecie
- szepnął Black zmęczonym głosem - związane z tym, dlaczego postanowiliśmy zamknąć Wrota. Do licha, nie mogę uwierzyć, że Nestor... Nie, to doprawdy nie miałoby sensu!

Julia nie rozumiała, o co tu chodzi.

- W tej sprawie musimy wyłożyć kawę na ławę, dzieciaki - uciał Black. - Spotkamy się u mnie dziś wieczorem, kiedy wrócą Rick i Tommaso.

- Zgoda - odpowiedziała Julia z pewnym niepokojem.

Kiedy skończyli rozmowę, Black zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju. - Czy to, możliwe? - zastanawiał się na głos. - Czy to możliwe, żeby ten stary wariat wrócił na Tajemniczą Wyspę? Albo jeszcze gorzej - na bagna, żeby wtykać nos w sprawy tych bandytów?

Czy możliwe, żeby wrócił do... Spencera?

Black zacisnął pięści. Nestor był zawsze zafascynowany opowieściami o tym łajdaku i w pewien sposób sam w końcu stał się też jego ofiarą.

Rozdział 19

NA SKRZYDŁACH PRZYGODY

- A czy to jest... pewne? - wydukał mały Flint.

Stojący obok Nestor spojrzał na niego.

Załatwili mnóstwo spraw. Poszli do lasu, zwiedzili starą zrujnowaną kapliczkę i mały cmentarz, potem wrócili na plażę, popracowali ze dwie godziny i w końcu, o zachodzie słońca, wdrapali się z powrotem na krater wulkanu.

Wszystko już było gotowe. Nestor stał tuż nad paszczą przepaści, z której kołując, wydobywał się spod ziemi ciepły wiatr. Przypiął sobie parę skrzydeł z drewna, jedwabiu, wosku i mewich piór.

- Posłuchaj - odezwał się stary ogrodnik - jest wielce prawdopodobne, że mój pomysł okaże się szaleństwem. I że te skrzydła się rozpadną.

- Zgadzam się z panem - przytaknął mały Flint, rzucając okiem na zapasową parę skrzydeł leżącą u jego stóp, którą przygotowali właśnie na taką ewentualność.

- Jest też wielce prawdopodobne, że jak będę tam w środku, wiatr roztrzaska mnie o skały.

- Może tak być.

- Dobrze: w każdym razie, jeśli ktoś po ciebie przyjdzie, będziesz mógł mu to opowiedzieć. Jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze... to ja po ciebie przyjdę. I odprowadzę cię do domu. Obiecuję.

Na sam dźwięk słowa „dom” twarz chłopca rozjaśnił błogi uśmiech. Kilmore Cove! I pomyśleć, że zawsze nienawidził tego miasta i jego mieszkańców.

- Zgoda?

Mały Flint nie odpowiedział. Spoglądał z przerażeniem na starego, który przechylił się niebezpiecznie do przodu za krawędź przepaści. Wyobraził sobie, że w każdej chwili cienka kamienna krawędź, na której stali, pęknie jak skórka chleba i obaj zleczą do misy z zastygłą lawą.

Nestor rozłożył skrzydła. Pióra sklezione woskiem zadrzały, kilka odpadło.

- Proszę pana! - powstrzymał go mały Flint. - Czy mogę o coś zapytać?

Nestor złożył z powrotem skrzydła i parsknął gniewnie. - Co znowu?

- To ostatnie pytanie, przysięgam! Ale całkiem osobiste, uprzedzam.

- Wyrzuć to z siebie.

- To dotyczy... Julii.

Nestor poprawił sobie plecak, żeby mu nie zawadzała o skrzydła i zapytał: - Julii?

- Tak, Julii... Covenant.

- Dobrze wiem, jakiej Julii. Ale co chcesz wiedzieć?

- Zastanawiam się, czy... - Flint potarł sobie nerwowo ucho. - Znaczy tego, czy przypadkiem... słyszał pan kiedyś, żeby o mnie coś mówiła?

Nestor zamrużył szybko, zaskoczony. I wybuchnął śmiechem. To był pierwszy szczerzy śmiech od bardzo dawna. - Szaleństwo! To o tym myślisz? O Julii?

- A co w tym dziwnego? - zaperzył się całkiem na serio mały Flint.

- Och, nic, pewnie nic - wykrztusił przez śmiech stary ogrodnik coraz szczerzej ubawiony. - Zważywszy, że jesteś na wyspie zagubionej pośród oceanu tylko w towarzystwie starego wariata, który ma zamiar rzucić się do wnętrza czynnego wulkanu na drewnianych skrzydłach... Na twoim miejscu w takiej sytuacji z pewnością pomyślałbym o czymś innym, w rodzaju, czy ja wiem... choćby jak przeżyć!

Nestor złożył z powrotem skrzydła i parsknął gniewnie. - Co znowu?

- To ostatnie pytanie, przysięgam! Ale całkiem osobiste, uprzedzam.

- Wyrzuc to z siebie.

- To dotyczy... Julii.

Nestor poprawił sobie plecak, żeby mu nie zawadzała o skrzydła i zapytał: - Julii?

- Tak, Julii... Covenant.

- Dobrze wiem, jakiej Julii. Ale co chcesz wiedzieć?

- Zastanawiam się, czy... - Flint potarł sobie nerwowo ucho. - Znaczy tego, czy przypadkiem... słyszał pan kiedyś, żeby o mnie coś mówiła?

Nestor zamrużył szybko, zaskoczony. I wybuchnął śmiechem. To był pierwszy szczerzy śmiech od bardzo dawna. - Szaleństwo! To o tym myślisz? O Julii?

- A co w tym dziwnego? - zaperzył się całkiem na serio mały Flint.

- Och, nic, pewnie nic - wykrztusił przez śmiech stary ogrodnik coraz szczerzej ubawiony. - Zważywszy, że jesteś na wyspie zagubionej pośród oceanu tylko w towarzystwie starego wariata, który ma zamiar rzucić się do wnętrza czynnego wulkanu na drewnianych skrzydłach... Na twoim miejscu w takiej sytuacji z pewnością pomyślałbym o czymś innym, w rodzaju, czy ja wiem... choćby jak przeżyć!

Co powiedziawszy, Nestor uniósł ramiona i dosyć sztywno zrobił ostatnie trzy kroki dzielące go od przepaści.

Odwrócił się w ostatniej chwili po to tylko, by rzec: -Trzymaj się, smarkaczu. Zobaczymy się, słowo.

I rzucił się w dół.

Mały Flint widział, jak unosił się nad otchłanią wewnątrz krateru podtrzymywany przez prądy powietrzne płynące od dołu. Ale już w następnej chwili stary i jego skrzydła znikły w ciemności.

Chłopiec przywarł brzuchem do ziemi, podpełznął do samej krawędzi przepaści i próbował dojrzeć coś w nieprzeniknionej ciemności, która się rozpościerała pod nim. Ale nie widział niczego, a ciepły wiatr dmący z głębi ziemi zmuszał go do zamykania oczu.

Tak więc odczołgał się do tyłu, wstał i wrócił na poprzednie miejsce.

Spojrzał na zapasowe skrzydła leżące na ziemi. Potem podniósł wzrok ponad krawędź wulkanu i spojrzał na błękitne niebo.

Pomyślał, że mógłby wrócić do fortecy, odpocząć i czekać, aż się zjawi ktoś, kto go uwolni.

Mógł policzyć monety i ułożyć je według wartości. Mógł iść poczytać nazwiska ludzi

pochowanych na cmentarzyku w lesie. Mógł puszczać złotymi dublonami kaczki na wodę.

Albo rzucać mewom szmaragdy. Mógł robić mnóstwo rzeczy.

„A jeśli nikt nie przyjdzie?”

To było trudne do wyobrażenia dla kogoś takiego jak Flint, bo... bał się pozostać tu całkiem sam. Zbliżała się noc i ta wyspa wydawała się straszliwie groźna. Zrujnowana forteca, cementarz, porzucona kotwica na plaży, te napisy na murze...

Mały Flint nie lubił być sam. To był główny powód, dla którego spędzał stale czas w towarzystwie swoich kuzynów. Już lepiej z nimi niż samemu.

Kiedy był sam, mały Flint nie wiedział nigdy, czym się zająć. Nie potrafił myśleć w samotności. Odmieniał się, kiedy był w towarzystwie.

Pomyślał o Julii. Pomyślał o kilku słowach na karteczce, jaką jej zostawił na parapecie okiennym, i na które nigdy mu nie odpowiedziała. A może, na które mu jeszcze nie odpowiedziała. Pewnie, że byłoby cudownie przebywać z Julią zamiast z kuzynami.

Opuścił wzrok w ciemną przepaść. Wpatrywał się w nią uparcie.

„Nawet o tym nie myśl...” - powiedział do siebie.

Kilka zgłodniałych mew krążyło po niebie nad jego głową, a jemu nagle zaburczało w brzuchu.

- Tak - odezwał się na głos. - Ale co ja będę jadł na tej wyspie?

Nie potrafił polować, nie potrafił łowić ryb, nie umiał rozpoznać żadnej rośliny jadalnej. I mocno wątpił, czy znalazłby tu mrożonki do odgrzania w mikrofalach.

Myśl o samotności i głód zaważnęły nagle jego wyobraźnię.

- Do licha! - zaklął, zataczając się na ciepłym wietrze, który wiał mu od stóp. Nerwowo przypiął sobie zapasowe skrzydła i cały drżący podszedł do krawędzi przepaści, usiłując nie zwracać uwagi na ostrzegawcze bicie serca, które tłukło się mu w piersi jak oszalałe. - Proszę pana! Niech pan poczeka! - krzyknął. - POCZEKA!

Zrobił pół kroczku. Potem drugie pół.

Rozłożył skrzydła i...

- O mamoo! Mamoo! OOOO MAMOOO...!

I dał nura w ciemność.

Na początku wiatr go podtrzymał, unosząc w górę. Potem coraz szybciej, pod ciężarem własnego ciała, spadał w rozwartą paszczę wulkanu. Ogarnęła go ciemność. Ciemność i gorąco.

Mały Flint zamknął oczy i trzymał skrzydła rozłożone jak spadochron. Wydawało mu się, że prąd powietrza może je rozerwać w każdej chwili; wiało tak mocno, że nie mógł nawet zamknąć ust i trzęsły mu się policzki.

Jednak utrzymywał się jakoś w jednej pozycji. Spadał powoli, zakreślając niewielkie spirale. Czuł pustkę, potężną pustkę, nacierającą gwałtownie, najpierw pod sobą, potem dokoła siebie. To z niej wydobywał się wiatr. Ubranie uwierało go w żebra. Skrzydła gubiły jedno pióro za drugim.

- Mamoo, o mamoo, mamuniu... - powtarzał bez przerwy mały Flint, zakreślając kolejną spiralę.

I jeszcze jedną.

I jeszcze...

Nagle wiatr ustał. To było jak rozdarcie płótna. Nagle zapadła cisza.

Szlochając ze strachu, mały Flint złożył gwałtownie skrzydła i zaczął spadać.

Wrzasnął zdesperowany, kiedy tak leciał w nicość pod sobą, a przez głowę przelatywały mu obrazy najmiłszych chwil jego życia.

Nie było ich wiele.

- Ten' stary głuupiec! - krzyknął, wściekły na cały świat i na wszystkich.

Po chwili nagle jakby przestał spadać...

BUCH!

...wiatr nagle odżył. Flint wywinął kozła w ciemności, ale jakoś zdołał się odwrócić i rozłożyć swoje prymitywne skrzydła. Wstąpiła w niego otucha!

Unosił się przez kilka sekund, zawieszony w bańce ciepłego powietrza.

A po chwili zaczął opadać.

I wybuchnął dzikim - desperackim i nerwowym - śmiechem.

- Stary głupiec! - powtarzał ze śmiechem. Ale tym razem w jego głosie brzmiała nuta podziwu. Ten stary głupiec miał po stokroć rację!

Wiatr cichł i wzmagał się na przemian przynajmniej jeszcze z dziesięć razy, nieustannie go zaskakując. Ale z upływem czasu opadanie stawało się coraz mniej przykre. W pewnej chwili jednak Flint czubkiem skrzydła uderzył o wystającą skałę i skrzydło się rozdarło: wachlarz piór poszybował gdzieś w ciemność, a jedwab zaczął trzepotać niczym żagiel brygantyny podczas burzy.

Potem z kolei mały Flint odniósł wrażenie, że widzi jakieś światła: świece czy pochodnie w oddali, przesuwane się dokoła niego. Wyobraził sobie gdzieś daleko procesję, w której ludzie posuwali się wąską ścieżką. Ten obraz utrzymywał się zaledwie kilka sekund, potem światła znikły.

Raz jeden podczas lotu zobaczył jakąś twarz. Była cała pozłacana, o białych wytrzeszczonych oczach, a mignęła mu - albo mu się tak tylko zdawało - o jakieś dziesięć centymetrów przed nosem.

I w końcu jego spadanie w pustkę się zakończyło: po ostatnim podmuchu wiatru nagle uderzył o dno. Gwałtowne zetknięcie się ze stałym gruntem pod nogami było tak nieoczekiwane, że stracił całkiem równowagę. Potoczył się po skałach i kiedy się tak turlał, skrzydła rozpadły mu się ze szczeniem. Poobijał się okrutnie i czuł ból w całym ciele. Na koniec znieruchomiał, wpatrując się w górę. W tę ciemną noc, z której spadł.

Co najmniej dziesięć minut zajęło mu otrząśnięcie się z szoku i powstanie na nogi. Odpiął z siebie tę resztkę, która pozostała ze skrzydeł i wyteżył wzrok, usiłując dostrzec jakieś szczegóły w szarej ciemności. Stopniowo z mroku wyłaniały się jakieś szarawe kształty: masa gigantycznych kamieni podobnych do dolmenów, srebrzysta wstęga rzeki, potężna sylwetka jakiejś cyklopicznej zwałistej budowli. Był to pejzaż z koszmaru, na widok którego aż chciałoby się krzyczeć ze strachu. Ale euforia i adrenalina po skoku działały i Flint ani się zbyt nie przestraszył, ani nie roześmiał.

Wkrótce wydało mu się, że dostrzega coś w rodzaju tobołka porzuconego na kamieniach.

Podszedł, żeby sprawdzić, co to takiego i zobaczył, że wszędzie wokół leżą rozrzucone kawałki drewna jak części rozbitej zabawki. Strzępy materiału...

Serce mu zamarło, gdy rozpoznał ciało starego ogrodnika z Willi Argo.

- Hej! Proszę pana! - zawołał, ale Nestor nawet nie drgnął.

Rzucił się do niego, wspinając się po głazach. Wielkie kamienie osuwały się jeden za drugim z głuchym łomotem.

- Proszę pana? - zawołał raz jeszcze.

Stary ogrodnik jednak mu nie odpowiedział. Miał zamknięte oczy i na wpół otwarte usta.

Ramiona opuszczone wzdłuż ciała. Z otwartego plecaka wypadły małe modele łodzi i z dziesięć czarnych notesów.

- No, nie! Proszę pana! Nie może mnie pan tak zostawić! - zawołał zrozpaczony chłopiec.

Przytknął mu dłoń do czoła, potem poszukał pulsu na ręce, żeby wyczuć uderzenia serca.

- Niech mi pan nie mówi, że pan umarł! Niech mi pan tego nie robi!

Gdzie, u licha, znajduje się serce?

Zahaczył rękami o jakiś przedmiot z metalu. Podniósł go, zbliżył do oczu: był to klucz z główką w kształcie aligatora. Klucz podobny do tego, który spowodował zalanie Kilmore Cove.

Mały Flint odrzucił go od siebie ze wstrętem, jakby się bał czymś zarazić.

Potem poczuł, że napływają mu łzy do oczu i że nie może ich powstrzymać. Ogarnęła go rozpacz. Opadł na ciało starego ogrodnika i zaczął szlochać bez opamiętania.

nazwisko: mały Flint

miejsce zamieszkania: Kilmore Cove znaki szczególne: kędzierzawy i drobny, włóczy się stale ze swoimi dwoma kuzynami, z którymi tworzą bandę łobuzów, fanfaronów i tępaków.

Rozdział 20

STARE PODEJRZENIA i NOWE ODKRYCIA

O wpół do ósmej wieczorem, po tym straszliwie długim dniu, Jason Covenant był zupełnie wykończony. Wstał od stołu z obolałym krzyżem i oznajmił, że idzie do łóżka spać. Bolał go krzyż, nie czuł wprost rąk i ramion. Uszy paliły go od nieustannych poleceń, wyrzutów, napomnień i życiowych mądrości matki: odpowiedzialność, szczerść, zaufanie...

To było całkiem tak, jakby pani Covenant postanowiła w ciągu jednego popołudnia nadrobić czas jakichś straconych godzin wychowawczych. Jakby nagle spostrzegła, że jej syn w przeddzień czternastu lat był kimś w rodzaju młodocianego łobuza. Co, szczerze mówiąc, nie było znowu takie dalekie od prawdy...

Jednakże instynkt samozachowawczy nakazał Jasonowi przyjmować wszystko w milczeniu. Przełknął karę bez protestu, godząc się z tym, że tymczasem to Julia szperała w bibliotece, fantazjowała z Blackiem, snując jakieś dziwaczne teorie na temat okrętu widma i bukanierów... No, że to ona śledziła najważniejsze wydarzenia.

Nawet jeśli fakt, że on sam będzie ostatnim, który się o czymś dowie, zaczynał go trochę złościć.

- Dobranoc - pożegnał się krótko, wychodząc z jadalni.

- Świeca! - przypomniała mu matka. Ach, prawda! Ciągle jeszcze nie było prądu.

Jason rzucił znaczące spojrzenie na siostrę, która pozostała przy stole, gawędząc swobodnie z rodzicami. Doszedłszy do schodów, westchnął ciężko: portrety przodków Moore'ów leżały w większości na ziemi i całe schody, niegdyś tak eleganckie, wyglądały teraz na zaniedbane i opuszczone.

Wbiegł po dwa stopnie naraz, wszedł do sypialni i zmajstrował małą mistyfikację: wypchał swoją piżamę dwiema poduszkami, nakrył ją kołdrą, a następnie... wyszedł z powrotem na korytarz i najciszej jak tylko potrafił udał się w stronę biblioteki. Podniósł dźwignię ukrytą w jednej z szaf bibliotecznych i uchylił drzwiczki prowadzące do jednego z licznych sekretnych przejść. Zszedł nim na parter. Niezauważony przeszedł swobodnie przez salon i werandę, gdzie znajdowała się popękana figura rybaczkki, i wyszedł do parku.

Zatrzymał się przy furtce do Willi Argo i zaczął na siostrę. Nad zatoką, po drugiej stronie urwiska, miasteczko tonęło w całkowitej ciemności.

Julia dołączyła do brata po kwadransie, pogwizdując radośnie.

- Jesteś gotów? - spytała.

Jason kiwnął głową.

Poszli pieszo na dół drogą wzdłuż wybrzeża; zabierając rowery, narobiliby za dużo hałasu.

- Znowu mówili o powrocie do Londynu? - zapytał Jason przybity taką perspektywą.

- Nie - odparła Julia.

- Niebezpieczeństwo zażegnane?

- Raczej tylko odroczone.

Po dwudziestu minutach doszli do stacji w Kilmore Cove, idąc na skróty przez widmowe alejki Turtle Parku. Kiedy weszli do pokoju na pierwszym piętrze, Black krzątał się po kuchni, a po całym domu rozchodził się smakowity zapach potrawy w sosie paprykowym.

Usiedli wygodnie, podczas gdy były zawiadowca kończył swój posiłek. Jason chętnie przyłączył się do niego i nałożył sobie obfity porcję. Potrawka była doprawdy świetna.

- A gdzie pozostali? - zapytała po chwili Julia.

Black wyjaśnił, że Rick i Tommaso nie wrócili jeszcze

z Wenecji i że go to zaczyna trochę niepokoić. Jak również, że martwi się całą sprawą z Wrotami Czasu w Willi Argo, zwłaszcza po odkryciach Anity i Julii.

- Przez telefon wspomniałeś o pewnych sprawach, o których powinniśmy wiedzieć... - przypomniała mu Julia.

- Prawda - odparł Black. - Powiedziałem, że utwierdziłem się w pewnym podejrzeniu. Podejrzeniu, które mi od pewnego czasu nie daje spokoju.

- Jakim podejrzeniu? - zapytał Jason, połykając ostatni kęs mięsa.

- Że ktoś w jakiś sposób pchnął Nestora w tę podróż.

- Ktoś kto... chciał się z nim spotkać? - dopytywała się Julia, usiłując odgadnąć, o co tu chodzi.

- Albo kto miał z nim na pieńku... - dorzucił jej brat.

Black uderzył dłonią w stół. - No właśnie.

Jason zmarszczył czoło. - A kto ma na pieńku z Nestorem?

- Z nami, ściśle mówiąc - uściślił Black.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Jason, odchylając się gwałtownie razem z krzesłem. -

Wiedziałem, że wy, grupa Wielkich Wakacji narozrabialiście! Byłem tego pewien! Tylko że jesteście zbyt dumni, żeby się nam do tego przyznać. Może tak nie jest?

- Duma nic do tego nie ma - odparł Black, krzywiąc się. Po czym nabrał głęboko powietrza i zaczął opowiadać. - Kiedy postanowiliśmy zamknąć Wrota, zdarzyło się coś... bardzo poważnego. Tata Ricka zginął na morzu, częściowo z naszej winy i naszych upartych poszukiwań Pierwszego Klucza, ale nie tylko. Ryzykowaliśmy zalaniem połowy miasta. A część skalnego urwiska się zawaliła...

- Urwisko... się zawaliło?

- Tak. Wiecie, że przejście prowadzące do Metis jest częściowo zatarasowane i od pewnego miejsca trzeba się przeciskać przez takie wąskie gardło... No właśnie, a kiedyś schodziło się tamtędy swobodnie, bez żadnego szczególnego wysiłku.

- Zechcesz nam w końcu powiedzieć, co się wydarzyło? - zniecierpliwiła się Julia.

Black przygryzł usta. - Widzicie, przysięgaliśmy, że nikomu o tym nie powiemy, ale... sądzę, że nadszedł czas, żebyście się o tym dowiedzieli...

Ale w tej właśnie chwili ktoś zastukał do drzwi tak niespodziewanie, że wszyscy troje podskoczyli na swoich krzesłach.

- Czekamy na kogoś? - spytał zaskoczony Jason.

Black pokręcił przecząco głową i zmarszczył brwi. -

Nic o tym nie wiem.

Następnie wstał, podszedł do drzwi i zerknął przez judasza.

Po chwili otworzył drzwi, ogromnie zdumiony. - Feniks? Co ty tu robisz?

- Mogę wejść? - zapytał proboszcz Kilmore Cove.

Ojciec Feniks zgodził się chętnie na filiżankę gorącej herbaty i przysiadł się do nich. Zadał kilka typowo grzecznościowych pytań rodzeństwu Covenant i dopiero po dłuższej chwili pogaduszek o niczym, wyjaśnił prawdziwy powód swego przybycia.

- Dzisiaj po twoim odejściu - zaczął, zwracając się do Blacka - odwiedziłem panią Bowen. Budzi się po trochu i wkrótce będziemy musieli poinformować ją o tym, co się stało.

- Lepiej późno niż wcale - odezwał się nieco złośliwie Black.

Ojciec Feniks chrząknął, upominając go, żeby się powstrzymał od komentarzy i dodał: - A kiedy krążyłem po gabinecie doktora, zbierając jego notatki, żeby je ukryć, jak mi doradziłeś, dokonałem ciekawego odkrycia.

Bliźniaki aż się trzęsły z niecierpliwości, nade wszystko nie mogąc się doczekać, kiedy Black podejmie swoją opowieść przerwana wejściem księdza akurat w najciekawszym momencie.

- Może to i nie jest takie ważne, ale.... - Feniks zatrzymał się chwilę, wskazując z uśmiechem na Julię i Jasona. - Co oni wiedzą o powodzi, z powodu której postanowiliście zamknąć Wrota?

- Właśnie o tym rozmawiamy - odparł Black.

- Bardzo dobrze.

Proboszcz Kilmore Cove wyciągnął z kieszeni kartkę papieru gęsto pokrytą notatkami. Cyfry i litery składały się na nieczytelny szyfr.

- Przypuszczam, że znacie już ten szczególny sposób notowania... - uśmiechnął się.

- Ulysses Moore - odpowiedział Jason, rozpoznając natychmiast kaligrafię tajemnych dzienników właściciela Willi Argo.

- A cóż to są za papierzyska? - zapytał z ciekawością Black Wulkan.

- Listy i notatki, jakie znalazłem w domu Bowena.

Jason i Julia wytrzeszczyli oczy.

- A co zawierają? - spytał jeszcze były zawiadowca.

- Na przykład - wyjaśnił ojciec Feniks - jeden z najpilniej strzeżonych sekretów rodzinnych Moore'ów. - Na te słowa wszystkim aż dreszcz przebiegł po skórze.

Rozdział 21

W POSZUKIWANIU CZARODZIEJKI KIRKE

W salonach Klubu Podpalaczy siostra Malariusza Wojnicza napastowała z furją braci Nożyców. Zegar na ścianie wskazywał, że się zbliża pora kolacji, a za oknem niebo nad Londynem z szarego stawało się całkiem czarne. W końcu rozwścieczona Viviana zdecydowała się skierować do wyjścia.

- Pani parasolka, madame! - przypomniał jej uprzejmie w progu Pires i podał parasolkę.

Wyrwała mu ją gniewnie z rąk i wymierzyła w dwóch Podpalaczy jakby to był pistolet, cedząc przez zęby złowieszczo: - Nie myślcie sobie, że się tak łatwo mnie pozbędziecie! Ja tu jeszcze wrócę!

Następnie obróciła się na pięcie i wymaszerowała żołnierskim krokiem.

Bracia Nożyce opadli wycieńczeni na fotele.

- Pires, proszę cię! - odezwał się błagalnym tonem kędzierzawy.

- Podaj coś gorącego! - dokończył blondyn.

- Coś gorącego i coś mocniejszego!

Anita tymczasem poprosiła o telefon, by zadzwonić do taty i uprzedzić go, że nie wróci na kolację.

- Czy coś się stało? - zaniepokoił się pan Bloom.

- Nie, mam tylko zamiar wybrać się na kebab z Nożycami. Czy poszedłbyś z nami?

Dziewczynka doskonale wiedziała, jak bardzo jej ojciec nie znosił kebabów... Powiedział, że przyjedzie po nią po kolacji i razem pojedą na lotnisko po mamę.

Odłożyła słuchawkę i zapytała rozwalonych na fotelach Podpalaczy, czy mogliby jej pomóc.

- A czego potrzebujesz, kochana?

Anita wskazała katalog książek zakazanych w głębi sali. - Żebyście mi otworzyli tę szafę - powiedziała po prostu.

Pires miał zapasowe klucze. Odsunął delikatnie braci Nożyców i otworzył szafę.

Anita zaczęła szybko przeglądać karty katalogowe, umieszczone poniżej, a ujęte w metalową kłamrę. Wielce zawiedziona nie znalazła śladu Circe de Briggs między

„Książkami do Likwidacji” ani „Książkami do Zignorowania”. Znalazła ją natomiast w dziale „Książek do Wycofania z Rynku”.

Ale w katalogu zaznaczono jedynie, że Przygody kapitana Spencera składały się z dwunastu tomów wydanych między rokiem 1907 a 1911. I nie było ani słowa o autorce.

Jej tajemnicza postać z każdą minutą stawała się coraz bardziej intrygująca.

Anita skończyła przeglądać katalog i zapytała, czy mogłaby sprawdzić spis członków Klubu Podróżników w Wyobraźni. Jednak, jak się obawiała, wszystko, co dotyczyło starych bywalców Frognał Lane, już dawno zostało wyrzucone.

Pozostała tylko „Gablota Osób Niebezpiecznych” albo...

- A czy nie istnieje gdzieś rodzaj spisu autorów poddanych surowej krytyce? - rzuciła Anita.

Podpalacze spojrzeli po sobie z wyrazem powątpiewania.

- Może w „Cenzurze i Wolności” - zasugerował blondyn.

- Albo może w Encyklopedii wykluczonych... - dorzucił kędzierzawy.

Po czym spojrzeli na dziewczynkę. - Ale tak dokładnie... to czego szukasz?

Anita wyjaśniła.

Zamyślili się. Zawołali Piresa i naradzili się z nim.

- To by trzeba wejść do biura szefa - powiedział cicho majordomus.

Anita zaczęła cierpliwie, aż Pires wróci. Czekając, przeglądała pobieżnie książkę pani De Briggs, przerzucając kartki na chybił trafił i czytając fragmenty. Wydało się jej, że jest to bardziej horror niż powieść przygodowa. Niektóre opisy były naprawdę bardzo przejmujące, aż mógł rozboleć żołądek. Do tego stopnia, że nie mogła ich dalej czytać. Ta książka napawała przerażeniem.

Pomyślała ze zgrozą o tragicznym końcu ilustratora, Morice'a Moreau, powieszono na chwilę przedtem, zanim jego pracownię pochłonął ogień i zadała sobie pytanie, jaki mógł być związek między tą serią niepokojących opowieści a Klubem Podróżników w Wyobraźni.

Ale nie zdążyła sobie jeszcze na nie sensownie odpowiedzieć, kiedy wrócił Pires z dwoma opasłymi tomami, jednym oprawionym na czerwono, drugim - na niebiesko.

- Ten jest z rysownikami... - powiedział majordomus, wskazując tom w oprawie czerwonej. - I znalazłem go w szufladzie pod literą „R”. A ten drugi zawiera spis pisarzy i znalazłem go w szufladzie pod literą „A”.

„A”?

- „A” jak „Autorzy” - wyjaśnił majordomus - albo „Aspiranci”. - Położył następnie oba tomy na najbliższym okrągłym stoliku i cofnął się kilka kroków. - Mam nadzieję, że się panience przydadzą...

Anita uśmiechnęła się. - Ja też mam taką nadzieję - odparła, nie wiedząc zupełnie, co może w nich znaleźć.

Pires przytaknął gorliwie. Po czym, by nie stać z założonymi rękami, zaproponował uprzejmie: - Czy nie zechciałaby panienka napić się herbaty z rabarbaru?

Anita zajrzała najpierw do księgi rysowników. Jej karta tytułowa brzmiała:

Wykaz rozumowany informacji bibliograficznych, a także ciekawostek dotyczących twórczości z wyobraźni podjętej z własnej woli albo na zlecenie rzekomych rysowników, ilustratorów, dyrektorów artystycznych, wizualizatorów i malarzy ubiegłego stulecia. Staraniem Ognistego Klubu Podpalaczy, nakładem własnym. Zakaz sprzedaży i reprodukcji.

Bez większego trudu dziewczynka znalazła skróconą biografię Morice'a Moreau, która brzmiała następująco:

Morice Moreau (Tuluza, 1863-Wenecja, 1948)

Francuski malarz wizjoner i ilustrator swoją „sztuką” przyczynił się do jeszcze większego sprymityzowania ponad pięćdziesięciu książek opisujących podróże i przygody.

Okropne tablice z ilustracjami do Podróży Guliwera, fatalne ilustracje do powieści Juliusza Verne'a, na dodatek przepłacone przez wydawcę.

Współpracował z mniej znanymi autorami wszelakiego pokroju, zamiast podjąć zaszczytną karierę urzędnika magistratu.

Członek Klubu Podróżników w Wyobraźni od 1901 do 1925 roku.

Jego produkcja malarska jest blaha, z wyjątkiem niepokojącego cyklu fresków we własnym domu w Wenecji, zwanym (nie przypadkiem) Domem Bazgrołów.

Zmarł w nędzy, biedny i osamotniony, wśród tysiąca oskarżeń. Jak w jakimś filmie.

Czytając te kilka zdań, Anita czuła, jak narasta w niej oburzenie. Zamknęła gniewnie czerwone tomisko i otworzyła to niebieskie: karta tytułowa była prawie taka sama jak w poprzednim, tyle że tym razem ofiarami byli poeci i pisarze.

Pod literą „M” znalazła luźną karteczkę z notatką zapisaną ręką samego Wojnicza:

Ulysses Moore (171911947-2002?)

Nieszczęsny wnuk Merkurego Malcoma Moore'a, chwalebny założyciel Klubu Podpalaczy. Po przenosinach do rodzinnego domu w Kornwalii, razem z ojcem Johnem Joyce'em prowadził życie w sielskim odosobnieniu.

Brak o nim wiadomości aż do 2002 roku, daty rozpoczęcia publikacji serii dziwacznymi powieści pod jego nazwiskiem. Wpisać kolejne tytuły powieści. Zebrać bardziej szczegółowe informacje. Czy zakupić książki? Skalkulować wprawdzie wydatek: chwilowo wydania nie wyglądają na szczególnie tanie.

Pod hasłem „De Briggs”, Anita znalazła najciekawszą notatkę ze wszystkich:

Circe De Briggs (1870-1970)

Porywająca francuska autorka książek z gatunku horroru. Brakuje informacji na temat jej rodziny, co do której można się tylko domyślać, że cieszy się najlepszą reputacją. Jako dziewczyna dorastała w niezdrowym przekonaniu, że umie pisać, co zaowocowało cyklem dwunastu tomików ilustrowanych przez Morice'a Moreau (patrz notka) zawierających opis krwawych przygód kapitana Spencera - pirata, mordercy i awanturnika wziętego z fantazji, obdarowanego co najmniej dwoma dziwacznymi talentami: jeden to nieśmiertelność, którą jakoby zapewniała mu kolekcja małych czaszek, a drugi, to zdolność swobodnego przemieszczania się między Miejscami z Wyobraźni dzięki posiadaniu okrętu o czarnych żaglach.

Señą uznana przez krytyków, delikatnie mówiąc, za problematyczną odniosła wielki i niezrozumiały sukces wśród czytelników. Pani De Briggs została wpisana do Klubu Podróżników w Wyobraźni, któremu ofiarowała pierwsze wydanie swoich prac literackich w latach 1902-1919. Następnie z hukiem wykluczona z klubu.

O dalszych latach brak informacji: przypuszcza się, że autorka zmarła, być może w Prowansji, jako osoba stuletnia, w samotności, zapomniana też przez czytelników, którzy tak ją chwalili.

Anita przeczytała ponownie tę fiszkę, żeby mieć pewność, że się nie pomyliła: jak się zdaje, Circe De Briggs opisywała przygody w Miejscach z Wyobraźni dokładnie tak samo jak Ulysses Moore!

Jej dwanaście powieści należało do biblioteki klubowej, ale po przeprowadzce i zamknięciu klubu w latach siedemdziesiątych tylko jedna ocalała. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy urywają się ślady pisarki...

- Czy wszystko w porządku, panienko? - Głos major-domusa, jak zwykle uroczysty, wydawał się pochodzić z jakiegoś świata oddalonego o lata świetlne.

Anita przytaknęła, ciągle oszołomiona. - Czy mogę pana o coś zapytać, Pires? Czy myśli pan, że... Gdybym spróbowała zadzwonić do pana Homera, zechciałby mi powiedzieć, czy ma jeszcze jakieś egzemplarze tych starych książek?

- Może pani spróbować. Mam gdzieś jego numer telefonu, jeśli o to chodzi. Powinien być w sekretarzystce.

Majordomus podszedł do czegoś w rodzaju sekretarzy-ka z opuszczanym blatem i zaczął szperać w jego licznych małych szufladkach.

- Ciągle myślę o tym ukrytym pokoju, tam na dole, w piwnicy... - szepnęła dziewczynka.

- To panienkę zaciekało? - spytał Pires, nie przestając szukać numeru.

- To było... dziwne - ciągnęła Anita, nagle ożywiona. - Przeciągi, wibrująca posadzka...

Było tak, jakby... lada moment... miało się coś wydarzyć.

- Albo jakby coś się wydarzyło w przeszłości, panienko?

Anita oparła się o oparcie krzesła i wpatrzyła w ilustrację przedstawiającą kapitana Spencera na okładce książki Circe De Briggs.

- No właśnie, Pires - powiedziała. - Dokładnie takie miałam wrażenie...

nazwisko: Circe De Briggs

miejsce zamieszkania: Francja znaki szczególne: jest autorką dwunastu tomików Przygód kapitana Spencera, wydanych w latach 1907-1911 z ilustracjami Morice'a Moreau. W latach 1902-1919 należała do Klubu Podróżników w Wyobraźni.

Rozdział 22

WIDOWISKO PIROTECHNICZNE

- Śmiało, zostawiamy wszystko i znikamy - zarządził Peter Dedalus i wybiegł z pracowni, niosąc swoją skrzyneczkę z mechanizmem zegarowym.

Po chwili wahania Tommi i Rick pośpieszyli za nim.

- A nie obawiasz się, że... oni mogą wejść w posiadanie twoich wynalazków? - zapytał z przejęciem Tommaso.

- Wcale - odparł Peter, schodząc po stopniach. - Choćby dlatego, że nie zamierzam pozostawić po sobie śladu...

Doszli znowu do studni i wsiedli do małego batyskafu.

- Jaki plan przewidujesz? - zapytał Rick.

Wynalazca włączył rozrusznik i upomniał: - Trzymajcie się pasów

- Przecież nie ma pasów! - przypomniał mu rudzielec. - Ale ja cię pytałem... jaki masz plan?

Peter Dedalus rzucił mu spojrzenie sponad esów-flore-sów na oparciu sofki. - Najpierw rozprawimy się ze złymi ludźmi, a potem wrócimy do Kilmore Cove.

- Tak, ale... - Rick się zawahał. - Przybyliśmy tu we dwóch, a teraz jest nas trzech.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli, ale... tym się nie przejmuj - rzucił mu pośpiesznie

Peter. - Po tym, co mi opowiedzieliście, wszystko stało się o wiele klarowniejsze. O wiele! Ośmieliłbym się powiedzieć, że stało się jasne jak słońce!

Pociągnął za dźwignię i batyskaf pajak ruszył.

- Piła - powiedział Peter, chwytając i pociągając dźwignię, której dotąd nie ruszał. Z dwóch tylnych odnóży batyskafu wysunęły się długie zębate blachy.

- Plan - odezwał się znowu Peter. Ponieważ zaś nic się nie działo, odwrócił się ku chłopcom i powtórzył z irytacją: - To mój plan!

Tommi zauważył, że tuż obok niego w wąskiej przestrzeni, którą zajmowali, leży stos kartek wypełnionych notatkami i dziwnymi gryzmołami. Wziął z nich kilka na chybił trafił i podał Peterowi.

Wynalazca przejrzał je nerwowo i szczęśliwie natrafił na to, co akurat było mu potrzebne.

Następnie skierował batyskaf do korytarza wykutego pod fundamentami budynku,

zatrzymując go przed rzędem pali zaznaczonych na czerwono. Zaczął je kolejno podcinać za pomocą piły umocowanej na tylnych odnóżach swego pajaka. Trwało to kilka krótkich minut.

Na koniec mruknął: - A teraz błyskawicznie uciekamy. Mamy niecałe osiemdziesiąt sekund, żeby stąd zniknąć, zanim budynek runie. - Rzucił jeszcze okiem na projekty. - Według moich obliczeń... powinno wystarczyć.

Rick i Tommaso przełknęli ślinę.

Peter wycofał zręcznie batyskaf i tyłem poprowadził go w stronę kanału. Za ledwie się tam znaleźli, posłyszeli za sobą jakby ciężkie stęknienie. Chwilę potem rozległ się ogłuszający huk i pojazd został niemal wywrócony potężną falą.

Ogromna masa błota zmaciła wodę w kanale i chmura pyłu podniosła się ku powierzchni. Ale z wyjątkiem kilku wgnieceń, batyskaf doskonale wytrzymał uderzenie.

- Bywa, że domy w Wenecji się zawalają - mruknął złośliwie Peter, chwytając znów za stery.

- A dzisiaj runą z dwa...

Odczekali, pozostając w ukryciu pod wodą, kilka metrów od Domu Cabota.

Tommaso obserwował przez peryskop chodniki tu i tam, wypatrując podejrzanych typów z tajnej gwardii.

Peter Dedalus nie chciał podejmować akcji, zanim się pojawią.

Genialny wynalazca z Kilmore Cove otworzył swój mechanizm zegarowy i pokazał Rickowi, jak działa. Chłopiec tylko udawał, że wszystko dokładnie rozumie. Najogólniej mówiąc: wszystkie te ściśle przylegające do siebie zegary i porcelanowe dźwigienki służyły do wywołania serii wybuchów prochu rozsypanego wcześniej na kilku piętrach Domu Cabota.

- To się nazywa technika eksplozji impulsywnej - wyjaśnił Peter. - Eksplozje są opracowane w taki sposób, żeby następowały jedna po drugiej, powodując, że budynek zapada się stopniowo, piętro za piętrzem.

- A co się stanie z tymi z tajnej gwardii? - zaniepokoił się Rick. - Ich też zasypie?

Peter przemyślał i to: pierwsze trzy eksplozje mają charakter raczej spektakularny, są obliczone na efekt i w zupełności wystarczą, żeby tych z tajnej gwardii wystraszyć i zmusić do wyjścia.

A jak wyjdą, to... „Żegnajcie Wrota Czasu w Domu Cabota”.

Podczas gdy czekali na rozpoczęcie tego widowiska pirotechnicznego, Rick wciąż się zastanawiał, czy plan Petera jest naprawdę dobry. Chłopiec nie był przekonany, że zniszczenie Wrót Czasu to taka prosta sprawa. Poza tym żywił ukrytą nadzieję, że jakoś uda mu się odzyskać swój plecak, a z nim i zegarek od taty.

Popołudnie przechodziło w wieczór, z zachodem słońca barwiącym niebo na krwistoczerwono, i wtedy, jak to Peter przewidział, zjawili się ci z tajnej gwardii.

- Są - oznajmił Tommaso, przekazując peryskop Peterowi.

Pojawili się znikąd jak cienie i kolejno wchodzili do domu. Co najmniej dziewięć osób.

Prawdopodobnie ci sami ludzie, którzy tego ranka zniszczyli tajną drukarnię w mieszkaniu Callera.

Peter odczekał, aż wszyscy weszli do środka, po czym otworzył tykające pudełko. - No, to... zaczynamy bal - oznajmił uradowany.

Rick zapytał go po raz ostatni, czy jest pewien tego, co robi.

- Nie widzę innego sposobu - odpowiedział wynalazca. - Jeśli odnajdą Wrota, będą mieli dowód w ręku. A jak zdobędą dowód, to złączą przeszukiwać całe miasto, metr po metr. - Nacisnął dźwigienki detonacyjne i w chwilę potem rozległ się huk eksplozji, która wstrząsnęła malutkim batyskafem.

Na wieczornym niebie nad Domem Cabota rozbłysła girlanda sztucznych ogni, które migocząc, spadały na wodę.

- Jeden wybiegł! - krzyknął Peter.

- Worek pcheł! - zawołał tymczasem rozpaczliwie Tommaso.

Pumiątko, wystraszone hałasem, śmignęło z bramy, żeby po sekundzie wrócić do środka budynku. Nie ruszyło się z miejsca, gdzie je Tommi zostawił, i czekało na niego.

- Muszę ją zabrać! - zawołał chłopiec przy drugim wybuchu.
- Za późno! - odparł Peter. - Ucieknij, jak tamci!
- Na pewno nie ucieknij! Jest wystraszona!

Tommaso opuścił gwałtownie peryskop i podszedł do wjazdu. - Wynurzaj batyskaf - powiedział stanowczo.

- Spokojnie, chłopcze! - powstrzymał go wynalazca nieco zdenerwowany.

Ale chłopiec chwycił za pokrętło wjazdu i zagroził, że go otworzy i zaleje wodą całe wnętrze. - Wynurzaj, powiedziałem!

- Ależ Tommi... - spróbował wtrącić się Rick.
- Nie mogę jej tutaj zostawić, to tylko mały, bezbronny kociak!
- Peter... - wyjąkał rudzielec, coraz bardziej zbity z tropu.
- Och, do diabła! - krzyknął wynalazca, chwytając za stery. - Na twoje ryzyko!

Dwadzieścia sekund później Tommaso wbiegł przez bramę do Domu Cabota, wołając: - Worek pcheł!

Zderzył się z co najmniej dwiema postaciami ubranymi na szaro, ale się nie zatrzymał. Biegał po domu, wszędzie szukając gorączkowo pumy.

Trzeci wybuch, silniejszy od poprzednich, zatrzęsł całym domem.

- Worek pcheł! Gdzie u licha się podziałas?

Pomimo ogłuszającego huku sztucznych ogni, pośpiesznych kroków i krzyku mężczyzn z tajnej gwardii, Tommasowi jakoś udało się usłyszeć odległe miauczenie. Albo przynajmniej tak mu się zdawało. Zaczął iść tropem tego słabego nawoływania bardziej na wycucie niż na słuch i na koniec ujrzał kociątko: drżało, wciśnięte w ciemny kącik jednej z komnat.

- Worek pcheł! Chodź tu, to ja!

Przerażone oczy kociaka rozbłysły nagle niewiarygodną radością i mała puma rzuciła się w otwarte ramiona chłopca, tuląc się do niego i liżąc mu twarz swoim szorstkim języczkiem.

- Jestem! Jestem! Wróciłem po ciebie! Nie porzuciłem cię! - przemawiał Tommaso, wybuchając śmiechem przy każdym liżnięciu zwierzątko.

Ale, gdy właśnie opuszczał pokój, zatrzęsała mu się ziemia pod stopami. Chwilę potem dach Domu Cabota rozpadł się na tysiące kawałków. A chłopiec wraz z pumą znalazł się pod lawiną gruzu i masą pyłu...

Rozdział 23

POSTAĆ W BŁĘKICIE

- A gdybym cię tak z siebie zepchnął ?

Głos wypowiadający te słowa był cichy jak szept i przez chwilę mały Flint sądził, że mu się przyśniło. Ale kiedy podniósł zapłakaną twarz, zobaczył, że stary ogrodnik otworzył oczy i wpatruje się w niego.

- Pan... - osłupiał chłopiec. - Pan... żyje?
- Raczej tak - odpowiedział Nestor, ciężko wzdychając.
- Ale już niedługo, jeśli nadal będziesz mnie tak gniótł. Mały Flint poderwał się błyskawicznie, otarł łzy wierzchem dłoni i hałaśliwie pociągnął nosem. - Nie wyobraża pan sobie, jak się cieszę!
- Spokojnie, łobuziaku! I podaj mi rękę, to się podniosę!

Nestor dźwignął się z wielkim trudem i zaczął porządkować zawartość swego plecaka. Zebrał rozsypane dokoła dzienniki, klucze i modele łódek, potem wygarnął Flintowi, że na niego nie czekał. Chociaż w głębi duszy był z tego rad.

Parę minut później rozglądali się wokół, wyteżając wzrok, żeby rozróżnić w mroku więcej szczegółów.

W końcu stwierdzili, że się znajdują w wąskiej i głębokiej dolinie przeciętej szumiącą wodą jakiejś rzeki, płynącej między stromymi, porośniętymi murawą brzegami.

- A zatem jesteśmy w Labiryncie - szepnął Nestor, otrzepując raz jeszcze ubranie i macając siniaki, jakich się nabawił podczas gwałtownego „ładowania”. Bolały go okrutnie ramiona, a przy każdym wdechu coś skrobało go w piersiach i drażniło gardło.

- Skoro pan tak mówi - zgodził się mały Flint, który nie miał bladego pojęcia, co stary ogrodnik ma na myśli, ale też nie mógł się doczekać, kiedy stąd sobie pójdą. -I co teraz?

- Musimy tam się dostać - wyjaśnił Nestor.

- Bardzo dobrze - zgodził się chłopak. Po skoku w głąb wulkanu na drewnianych skrzydłach czuł, że jest zdolny pokonać każdą przeszkodę. - Tylko coś będzie nam potrzebne, by przejść rzekę w bród...

- Musimy znaleźć łodzie na brzegu. A potem, jeśli dobrze pamiętam, czeka nas jeszcze rodzaj łamigłówki do odgadnięcia... - Nestor potarł skronie, usiłując sobie przypomnieć zagadkę, która strzegła wejścia do Labiryntu. Może ją zapisał w którymś ze swoich zeszytów. A może i nie - nic nie szkodzi: był dobry w zagadkach.

Wkrótce potem dwie postacie maszerowały rażnym krokiem spowite w złociste światło.

Pierwsza z nich wyraźnie utykała. Miała płytki oddech, ale nie zamierzała zwolnić tempa.

Druga szła mniej pewnie, rozglądając się wokół z mieszaniną lęku i podziwu.

Nestor i mały Flint przekroczyli lodowatą rzekę, otworzyli drzwi kluczami starego ogrodnika i znaleźli się w najdziwniejszym wnętrzu, jakie chłopiec kiedykolwiek oglądał: przed sobą mieli jarzący się światłami i ciągnący bez końca korytarz, który przecinały inne korytarze, i ciąg pokoi.

Jedne były całkiem puste, w innych znajdowały się łuki wraz z kolumnami nie podtrzymującymi żadnego sufitu, jeszcze inne wypełniały złożone żółwie, z których unosił się delikatny złoty pył. Dokądkolwiek szli, dał silny wiatr: nieustający oddech, którym tchnął, jak się zdaje, sam Labirynt.

- Czy mamy pojęcie, dokąd wędrujemy? - zapytał w pewnej chwili mały Flint.

- Tak - odparł Nestor.

- Znaczy?

- Tędy.

Chłopiec zmełł w ustach jakieś przekleństwo i szedł dalej ze spuszczoną głową korytarzem, który zdawał się nie mieć końca.

Niedługo potem nastąpiło ich pierwsze spotkanie z „miejscowym”.

Był to jegomość bardzo małego wzrostu, cały ubrany na błękitno.

- Pan wybaczy! - Nestor skłonił się i pokuśtykał mu na spotkanie.

Tamten przystanął.

Na stopach nosił śmieszne papucie z zaokrąglonymi czubkami, a na jego twarzy widniał uprzejmy uśmiech, pełen życzliwości.

- W czym mogę pomóc? - zapytał grzecznie.

Po czym przyjrzał się im bacznie od stóp do głów. - Czy już kiedyś spotkaliśmy się na jakimś kongresie? Może Hrabstw Magicznych przeciwko Małemu Ludowi? Czy Zagubionych Miast z Tysiąca i jednej nocy? Albo... należycie może do Komisji dla Ocalenia Zatopionych Wysp? Mały Flint ograniczył się do odwzajemnienia uśmiechu. Potem odwrócił się z pytaniem do Nestora: - O co mu chodzi?

Ogrodnik z Willi Argo zrobił wymowny gest wyrażający bezradność i wyjaśnił nieznanemu: - W gruncie rzeczy jesteśmy tu po raz pierwszy i... obawiam się, że zablądziłyśmy. Czy zechciałby pan łaskawie udzielić nam kilku wskazówek? Szukamy Zgromadzenia Narodów z Wyobraźni, żeby... spytać o pewną zaginioną osobę...

- Osobę zaginioną, powiada pan?

- Właśnie.

- No to w Zgromadzeniu na pewno niczego nie znajdziecie! - Osobnik w błękitnie uśmiechnął się życzliwie. - Tam teraz odbywa się arcynudne posiedzenie dla określenia rzeczywistych granic Hrabstwa z Wyobraźni Yoknapatawpha*. Obradują już od wielu godzin, a ja się wymknąłem... W waszej sprawie właściwe jest Biuro Osób Zaginionych - ciągnął człowieczek. Wyciągnął z kieszeni szpulkę z błękitnymi nićmi, rzucił ją na ziemię, obserwował przez kilka sekund i podniósł z powrotem. Następnie wskazał pobliski korytarz i wyjaśnił: - To w tę stronę. Pierwszy w lewo, potem prosto... potem pierwszy, drugi... trzeci w prawo, za Biurem Zaginionych Zwierząt i Pogubionych Przedmiotów. I tuż przed Biurem Przepadłych Miejsc. Nie pomylicie się!
- Nestor pochylił głowę na znak podziękowania i błękitny człowieczek ruszył w swoją stronę.
- A nie mówiłem? - zwrócił się stary ogrodnik do małego Flinta. - Tędy.

* Hrabstwo z Wyobraźni wymyślone przez Williama Faulknera i wykorzystane przez niego jako tło wielu jego powieści.

Rozdział 24 ZAGADKOWA NOTATKA

W pokoju nad kasą nieczynnej stacji kolejowej w Kilmo-re Cove trzy pary oczu były utkwione w księdza Feniksa trzymającego tajemniczą karteczkę.

- Kiedy zobaczyłem tę piwnicę - mówił ksiądz - zdałem sobie sprawę, że doktor Bowen miał obsesję na punkcie waszych podróży i Wrót Czasu. I zgromadził na własną rękę mnóstwo drobnych dowodów i szczegółów.
- Siedzimy jak na rozżarzonych węglach, Feniks! -ponaglił go Black. - Dostyc tego kręcenia: co tam jest napisane?
- No dobrze, jak chcecie - zgodził się z pewnym ociąganiem proboszcz.
- To też są tylko notatki, ale... odnoszą się do pewnego przedmiotu należącego do ojca Ulyssesa.
- Johna Joyce'a Moore'a? - zapytali jednocześnie Julia i Jason.
- Właśnie. A wcześniej do kobiety, która wychowała Nestora.
- Do kobiety, która... co zrobiła? - zapytał osłupiały Black.
- To długa historia - wyjaśnił ksiądz Feniks, łapiąc oddech. - Musicie wiedzieć, że tata Ulyssesa, artysta i marzyciel, był całkiem niezdolny do życia w samotności. Nie potrafił gotować, nie miał też zielonego pojęcia o prowadzeniu domu. Spędzał czas w klubowej czytelni Podróżników w Wyobraźni. I kiedy Annabella, jego żona, umarła, wydając na świat synka, znalazł się nagle sam, obarczony obowiązkiem opieki nad dzieckiem. I jeśli dla zwykłego mężczyzny wychowywanie dziecka to trudna sprawa, to dla kogoś takiego jak J.J. było to szczególnie trudne: musiał nauczyć się wszystkiego i to szybko. Tym bardziej, że w tym czasie podjął za pośrednictwem adwokatów wojnę z generałem. Mercury Malcom Moore wolałby spalić dorobek rodzinny, niż przekazać go zięciowi! W końcu J.J. otrzymał Willę Argo, ale stracił dom londyński wraz z całym wyposażeniem.
- To już wiemy - uciął Black. - Przejdź do rzeczy! Kim była ta kobieta?
- Nazywała się Elisabeth Kapler. Bardzo młoda, piękna, inteligentna i obdarzona pewną charyzmą. Emigrantka z Niemiec, skąd przybyła do Anglii zaraz po zakończeniu wojny 8 maja 1945 roku. Sierota wojenna, niezamężna, w Anglii szukała pracy. A ojciec Ulyssesa ze swej strony poszukiwał kobiety, która by mu pomogła przy synku. Skończyło się na tym, że Elisabeth zgodziła się na nianię. Przeniosła się do Willi Moore'a w Londynie, a potem do Willi Argo i zamieszkała w domku specjalnie dla niej zbudowanym, potem nazywanym domkiem ogrodnika.
- Black Wulkan pokręcił głową. - Do licha... - mruknął.

- Teraz ją sobie przypominam. Przystojna, wysoka kobieta, energiczna... Ależ tak, oczywiście! Tego lata, kiedy poznaliśmy Ulyssesa, była w Willi Argo... i przygotowała nam wspaniały podwieczorek. Od dziecka zawsze myślałem, że to jego matka, ale jasne, że tak nie mogło być.

- Tak... - dodał Jason. - Jego matka już nie żyła.

- A ile lat mieliście wtedy? - spytała Julia, która uwielbiała historie rodzinne.

- Dziesięć, może jedenaście... - rzucił w zamyśleniu były zawiadowca.

- To dosyć dziwne, że pamiętasz panią Kapler, Black...

- powiedział ojciec Feniks. - Ponieważ ona była nianią Ulyssesa tylko przez kilka lat.

Głównie w okresie londyńskim. Kiedy Ulysses podrośł, bardzo prędko opuściła Willę Argo, ale utrzymywała stałą korespondencję z J.J. Ich przyjaźń urwała się, dopiero kiedy J.J. postanowił wyjechać do Wenecji. I tu dochodzimy do najważniejszego...

- Nie powie ksiądz chyba, że... - szepnęła Julia. - Że i ona tam pojechała!

- Nie... jasne, że nie! - zapewnił natychmiast ojciec Feniks, chociaż on też wcale nie był tego całkiem pewien. - Jak mi się zdaje, Elisabeth pozostała w Londynie, ale zanim J.J. wyjechał, zdołała przekazać mu prezent. I o tym prezencie jest mowa w notatkach, jakie znalazłem. Przeczytam wam dosłownie to, co zapisał Nestor : tajemnica pozytywki jest nadal dobrze strzeżona.

- Pozytywki? Jakiej znowu pozytywki?

Ojciec Feniks zerknął na kartkę. - Ośmiokątnej pozytywki.

- Chwileczkę! - wykrzyknął nagle Jason. - Ja wiem, jakiej! Akurat dzisiaj prznosiłem ją na kredens w jadalni!

Black wydawał się zawiedziony. - I ta stara historia z jakąś pozytywką podarowaną przez niańkę Nestora jego ojcu jest aż tak ważna, że przybiegasz tu do nas w środku nocy, żeby nam o tym opowiedzieć?

- Tak! - odpowiedział gorączkowo ojciec Feniks. - Bo to nie stara historia jest ważna, lecz miejsce w którym znalazłem tę notatkę Nestora. Wiesz dobrze, jaki Bowen był drobiazgowy i systematyczny, nie?

- No tak, wiem, i co z tego?

- To, że notatka o pozytywce znajdowała się w gablotce w dziale poświęconym kapitanowi Spencerowi.

Rozdział 25

HALO! CZY PAN FRANK HOMER?

- Halo! - Frank Homer odebrał telefon. Potem nakrył dłonią mikrofon w słuchawce i krzyknął za siebie: - MOŻECIE SIĘ UCISZYĆ?

W jadalni wszyscy natychmiast ucichli: Ascott, Brighton, Coughton, Davemport, Everton i mała Finnaly, a pan Homer mógł podjąć rozmowę.

- Halo, tak, przepraszam... pani mówiła...?

Słuchał przez chwilę, potakując i kręcąc głową na przemian. Nie. Nie miał okazji słyszeć o panie Blo-om. Tak, oczywiście - wiedział o wyprowadzce z Willi Moore'ów przy Frogmal Lane. Podróżnicy w Wyobraźni? Wielkie oryginały, dziwacy, nieprzewidywalni, z górą nieprzydatnych do niczego śmieci, które zapchały na całe lata magazyn. Ba, nigdy nie zostały dokładnie sklasyfikowane i poukładane, a... duża część tego zbioru została już sprzedana: ostatecznie minęło z górą trzydzieści lat.

- Mogłaby pani powtórzyć, z łaski swojej? - powiedział Frank Homer, przyciskając ramieniem słuchawkę do prawego ucha. Poszukał jakiegoś długopisu w szufladce, spróbował bezskutecznie coś zapisać i przerwał na chwilę rozmowę: - Przepraszam na moment...

Odłożył słuchawkę na stolik, wrócił do jadalni i krzyknął do swoich pięciu synów: - Kto mi podebrał długopisy od telefonu? Ile razy mam wam powtarzać, że to ważne, żeby tam był chociaż jeden, który pisze!

Davenport podsunał mu pośpiesznie czarny pisak.

Lepsze to niż nic.

Pan Homer wyrwał mu go z ręki i powrócił do telefonu.

- Więc mówiliśmy... Circe De Briggs... seria jedenastu książeczek... Dobrze, w najbliższym czasie pójde sprawdzic w magazynie. Zapiszę sobie pani numer telefonu... 3... 9... Doskonale, panno Bloom. Tak, jasne, dziękuję... i wzajemnie.

Kiedy zakończył rozmowę, podrapał się w zamyśleniu po głowie.

„Dziwne” - rzekł do siebie.

W pokoju obok znowu zapanował harmider.

- Chodź dokończyć kolację! - zawołała go żona. - Wszystko stygnie!

Pan Homer wrócił na swoje miejsce u szczytu stołu. W jadalni panował zwykły zgiełk.

- Kto to był, kochanie?

- Klient - uśmiechnął się, nie udzielając bliższych wyjaśnień.

Później, jeszcze tego samego wieczoru, Frank Homer wyszedł do ogrodu. Rzucił piłkę wielkiemu psu, który zamienił tę część posiadłości w swoje prywatne królestwo, a sam skierował się wolno w stronę magazynów. Był to szereg hangarów lotniczych, które jego ojczym, stary Homer, nabył za parę funtów pod koniec wojny.

Pogwizdując i rzucając psu piłkę raz za razem, doszedł do najodleglejszego hangaru, numer 6.

Tam zgromadzono wszystko, co wywieziono przed laty z domu Moore'a przy Frogmal Lane.

Wszedł do środka i poszukał kontaktu, który zapalał długi szereg neonówek.

Halę przegradzały cztery rzędy metalowych regałów sięgających sufitu, wypełnionych różnymi rzeczami. Tysiące przedmiotów wszelkiego rodzaju: książki, maski, rzeźby...

Było tu jeszcze bardzo dużo rzeczy do sklasyfikowania i sprzedania.

Faktem jest, że - z wyjątkiem bardzo korzystnych ofert - za każdym razem, kiedy klient składał mu zamówienie, Homer starał się nie sprzedać mu staroci po Moore'ach. Z jakiegoś powodu traktował je po trosze jak własne.

Żeby nie tracić zbyt wiele czasu na krążenie wśród półek, zasiadł do biurka. Sprawdził spis i natychmiast natrafił na książki, o które go pytano. Panna Bloom, jak się zdaje, była dobrze zorientowana.

Circe De Bings, zdekompletowana seria jedenastu tytułów. Brak numeru jedenastego.

- Seria sprzedana - mruknął Frank Homer, wskazując palcem literę „S” zaznaczoną na czerwono w końcu linijki. - Sprzedana? A komu?

Sprawdził szybko w księdze zleceń spedycyjnych. Nie musiał długo szukać: książki nabył pewien włoski kolekcjoner.

- Glauco Bogliolo... z księgarni antykwariatu Pod Złotym Słońcem... - przeczytał na głos pan Homer. Żadna z tych nazw jednak nic mu nie mówiła.

Po czym wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Te książki sprzedali za sumę doprawdy szalenie wygórowaną! To się nazywa „złoty interes”!

Frank Homer zamknął rejestr. Był głęboko poruszony.

Co takiego niezwykłego było w tych książkach?

I kim była ta Anita Bloom, która dzwoniła z Klubu Podpalaczy?

Zamknął pomału za sobą drzwi od magazynu, pogłaskał swego ogromnego psa i wrócił do domu. Z odgłosów dobiegających z salonu wywnioskował, że przynajmniej dwaj z jego synów zaczęli rozgrywać mecz na swojej PlayStation. Starszy musiał już wyjść z przyjaciółmi, jedyny, który odrabiał lekcje, poszedł na górę do swego pokoju, a najmłodsza

Finnały gawędziła z mamą.

„Jestem prawdziwym szczęściarzem” - pomyślał sobie Frank Homer.

Potem usłyszał, jak żona coś do niego woła.

- Jak to nie zamknąłem dobrze drzwi? - odkrzyknął Homer.

Istotnie, nie zamknął ich dobrze.

Rozległ się straszliwy łomot i potężne psisko wpadło do domu, po czym szczęśliwe zaczęło szaleć, biegnąc po schodach tam i z powrotem.

nazwisko: Frank J. Homer

miejsce zamieszkania: Londyn znaki szczególne: szef firmy przewozowej Homer & Homer, jest faktycznym właścicielem domu na Frognał Lane i członkiem wspierającym klubu. Ojciec pięciu synów i córki, nigdy nie wychodzi z domu bez swego kowbojskiego kapelusza.

Rozdział 26

SPOTKANIE O ZMROKU

Kółko wioślarzy Velocior 1883 z miejscowości La Spezia zachowało jeszcze trochę dawnego klimatu spotkań weteranów piractwa.

Kiedy tłumacz z Fredem Spiczuwą do niego dotarli, słońce od strony Portu Wenus i Pięciu Ziem chyliło się już ku zachodowi. Na widok morza i pięknej zatoczki Fred się rozczulił.

Tłumacz natomiast czuł wielkie zmęczenie. Po z górą czterogodzinnym prowadzeniu motorówki w półmroku podziemnego kanału, biegnącego pod Apeninami, cieszył się chwilą wytchnienia na ławeczce przy plaży.

„Nieprawdopodobne miejsce” - pomyślał Fred Spiczuwa.

I takie podobne do jego miasteczka.

Przespacerował się aż do starego drewnianego żaglowca szkolnego i spojrzął na małe łodzie pod dachem hangaru. Wydawało się, że w każdej chwili powinny tu przybyć tysiące żeglarzy i tysiące eksploratorów gotowych wypuścić się znów przed siebie na pełne morze, gdzie oczy poniosą, zdając się na los szczęścia.

Fred i tłumacz czekali na kogoś, kto też wkrótce się zjawił.

Był to wysoki i mocno zbudowany mężczyzna o niebywale łagodnym wyrazie twarzy.

Przedstawił się najpierw Fredowi, a następnie przywitał z tłumaczem, klepiąc go

przyjacielsko po plecach. - Glauco Bogliolo - uśmiechnął się. - Kolekcjoner białych kruków.

Miał ze sobą pudło pełne książek.

Fred parsknął. Znowu książki! Ledwie rzucił na nie okiem. Wyglądały na starawe ilustrowane powieściadła.

- Kosztowały cię majątek, wiesz o tym? - zwrócił się kolekcjoner do tłumacza.

Ten wzruszył niebale ramionami. - Mam nadzieję, że są tego warte - odpowiedział.

Pogawędzili obaj półgłosem o tym i o owym, po czym się pożegnali. Kolekcjoner książek miał na utrzymaniu i pod swoją opieką młodą kuzynkę, co bardzo go martwiło. Twierdził, że nie należy do osób umiających obchodzić się z młodzieżą.

Kiedy w końcu odszedł, tłumacz ziewnął głośno. - Teraz możemy iść.

- Dokąd? - spytał zmartwiony Fred.

Tłumacz wskazał żagłówkę w pobliżu. - Cierpisz na chorobę morską?

Fred uśmiechnął się nieco dotknięty. - Pamiętaj, że rozmawiasz z synem marynarza! Ale chyba nie zamierzasz płynąć do Kilmore Cove... żagłówką?

- Och, nie. Nic z tych rzeczy. Popłyniemy do samolotu.

- Łodzią?

- Wiem, że ci się to wydaje dziwne, ale pas startowy Genui, najbliższy stąd, jest jak molo w porcie. Szybciej dopłyniemy tam morzem, niż dojechalibyśmy autostradą - wyjaśnił tłumacz, chwytając pod pachę pudło z książkami. i
- Pomóc ci? - ofiarował się Fred.
- Nie, dziękuję. Chyba że chciałbyś poczytać sobie połowę, a ja - drugą.
- Zależy. Co to za książki?
- Książeczki z przygodami, jak sądzę.
- Jak to „sądzisz”? To nie wiesz?
- Nie, dokładnie nie wiem. Ale natrudziłem się niemało, żeby je zdobyć, zanim ich w końcu poszukałem w miejscu najbardziej oczywistym. Wiem tylko, że istnieje związek między tymi książkami i dziennikami Ulyssesa Moore'a. I coś mi mówi, że znajdziemy tu jakąś wskazówkę potrzebną do zrozumienia tej części historii, która nam jeszcze umyka.
- To znaczy, jak sądzę, pokaznej części - rzekł Fred Spiczuwa.
- Wiesz dobrze, Fred, że to nie jest tak - zaśmiał się tłumacz, kierując kroki do żaglówki. - Jedyna część, której nam naprawdę brakuje, to jak się ostatecznie rozprawić z tymi złymi, kiedy już wszyscy zostaną wykryci?

Rozdział 27

POD STOSEM PAPIERYSK

Po wejściu w pierwszy korytarz w lewo i trzeci w prawo oraz po przejściu co najmniej trzech kilometrów, omijając po drodze wielkie gmachy Urzędów Zwierząt i Przedmiotów Zaginionych, Nestor i mały Flint doszli do eleganckiego secesyjnego portalu, znajdującego się pośrodku korytarza, na którym widniał napis:

BIURO OSÓB ZAGINIONYCH

Przy wejściu tłoczyły się najdziwniejsze osoby, jakie tylko można sobie wyobrazić: jedne miały na sobie zbroje, inne siedziały w siodle na małych kucykach, jeszcze inne poruszały się, posługując się tylko jedną ogromną bosą stopą.

Weszli do dużej sali z bardzo wysokim sufitem, całej wyłożonej mozaiką z kostek ułożonych w spirale zdające się wirować. Były tam drewniane stoliki na elegancko żłobionych nóżkach, na nich równie eleganckie lampy z ciemnozielonymi abażurami, a przy stolikach setki osób zajętych wypełnianiem sterty papierowych formularzy.

Za stolikami było kilka okienek podobnych do tych na zwykłej poczcie, w których siedzieli urzędnicy o złocistej skórze. Nie wiedząc dobrze, co ma robić, Nestor podszedł do pierwszego wolnego okienka.

Kobieta w okienku, nie spojrzawszy nawet na niego, wyciągnęła dłoń: - Formularz?

- Poszukuję... pewnej osoby...
- Wypełnił pan formularz?

Nestor odwrócił się w stronę stolików zawalonych papierami.

- Nie, ale...
- Jeśli szuka pan mężczyzny: formularz B. Jeśli szuka pan kobiety: formularz C. Jeśli szuka pan osoby, która nie jest ani mężczyzną, ani kobietą: formularz D. Jeśli szuka pan czegoś jeszcze bardziej skomplikowanego: formularz E, ale musi go pan potem złożyć w okienku tam w głębi, Zaginięcia Wyjątkowe.

- Szukam pewnej kobiety.
- Formularz C.
- Nazywa się Penelopa Moore.

W końcu kobieta w okienku podniosła wzrok. - Nie mogę dla pana nic zrobić, jeżeli pan nie przyniesie mi najpierw for-mu-la-rza.

- To moja żona.

- To w dwunastej linii, po pytaniach ogólnych, wpisuje pan: bliska krewna.

Nestor oparł się o ladę. - A nie można jej po prostu poszukać? Penelopa Moore. Albo lepiej: Penelopa Sauri. To było jej nazwisko panięskie.

- Wpisze pan podwójne nazwisko w czwartej linii paragrafu F formularza...

- Niech pani posłucha... - powstrzymał ją Nestor, który zaczynał tracić cierpliwość. - Czy nie może pani po prostu poszukać tego nazwiska bez tego, żebym ja...

- Gotowe - odezwał się w tym momencie mały Flint, który wynurzył się zza pleców Nestora z wypełnionym formularzem. - Zająłem się tym.

Urzędniczka wzięła formularz i zaczęła go automatycznie przeglądać.

Nestor spojrział zakłopotany na małego Flinta. - Zapomniałem okularów - usprawiedliwił się.

- Domyśliłem się - uśmiechnął się do niego chłopiec.

Chwilę potem krzesło z urzędniczką odskoczyło nagle daleko od okienka, sunąc po szynach biegnących przez całą podłogę. Skierowało się ku ścianie w głębi biura, która uchyliła się akurat na tyle, by je pomieścić.

Posłyszeli okropnie piskliwy i ostry dźwięk.

Dziesięć minut później kobieta powróciła do okienka lekko rozczochrana.

Wręczyła Nestorowi papier pokryty stemplami i pieczęciami i powiedziała: - Brak jakiegokolwiek zgłoszenia zaginięcia osoby o nazwisku Penelopa Sauri czy Penelopa Moore.

- Jasne, że brak! - wybuchnął Nestor. - To ja tu przyszedłem je zgłosić!

- W takim razie musi pan wypełnić formularz...

- NO NIE! NIECH MNIE PANI TERAZ POSŁUCHA! - wybuchnął wściekły ogrodnik z Willi Argo. - Ostatni raz, kiedy widziano moją żonę, była tu, na jed-

s

nym z tych waszych durnych ZGROMADZEŃ!

- W takim razie musi pan sprawdzić w Rejestrach Obecności. Formularz...

Tym razem kobiecie przerwał ten sam przerażający pisk, co przed chwilą.

- Można wiedzieć, co to za przeraźliwe piski? - zapytał mały Flint, zatykając sobie uszy.

- Biuro Imigracyjne - odpowiedziała niewzruszona urzędniczka. - Pierwsze drzwi po prawej. Właśnie otrzymali sygnał o jakimś nielegalnym.

- Nielegalnym? - zapytał Nestor. - W jakim sensie nielegalnym?

Kobieta parsknęła zdenerwowana, zerkając poza nich, żeby sprawdzić, czy są jeszcze inni klienci. - Mieszkaniec Miejsca z Wyobraźni, który próbuje się dostać nielegalnie do świata realnego.

Nestor spojrział w kierunku Biura Imigracyjnego. - Naprawdę? I istnieje ich spis?

- Blokujecie kolejkę - odparła urzędniczka lodowatym głosem.

Biuro Imigracyjne było wytapetowane mapami. Za każdym razem, kiedy rozlegał się ów przejmująco piskliwy dźwięk, jakiś urzędnik, wyposażony w kolorową pineskę, przebiegał wzdłuż ściany i umieszczał pineskę na właściwym miejscu na odpowiedniej mapie. Potem wracał szybko na swoje miejsce i zaczynał wystukiwać informacje na czymś w rodzaju starego telegrafu. Wszystko to napawało jakimś niepokojem i kojarzyło się z policją, co rozgniewało małego Flinta.

Nestor ustawił się przed jednym z okienek i tam zapytał o Penelopę. Po krótkim poszukiwaniu urzędnik zaczął wspólnie z nim czytać fiszkę częściowo wypełnioną.

- O tutaj. Imigracja nieregularna. Penelopa Sauri...

Na dźwięk słowa „nieregularna” Nestor poczuł skurecz żołądka.

- Hmm... to zdecydowanie stara fiszka - ocenił urzędnik, obracając kartkę w dłoni. - Minęło z górą trzydzieści lat...

- Ale co jest na tej kartce? - przerwał mu Nestor z pewną niecierpliwością.

- Och, takie tam zwykłe sprawy... Penelopa Sauri... wyjechała z Karnawalecji... Przebywająca w Geograficznym Systemie Rzeczywistym we Włoszech, w roku Rzeczywistego Systemu Czasowego 1751... imigrowała do Kilmore Cove, Zjednoczone Królestwo, 1976. I potem... o, tutaj... to jakieś dziwne.

Nestor oparł się na ladzie. - Co jest dziwne?

- Powiedziałbym, że wszystko - mruknął urzędnik. - Fiszka została zablokowana przez Czarny Szyfr.

- A co to takiego Czarny Szyfr?

- Hmm..., ja tu jestem od niedawna... ale z tego, co wiem, wprowadza się go, kiedy miejsce realne zaczyna się przekształcać w Miejsce z Wyobraźni... To oznacza, że... wszystko pozostaje w zawieszaniu, dopóki nie zostanie podjęta decyzja.

- A kto musi podjąć taką decyzję?

- Nie wiem! - odparł urzędnik. - Ale jak pan sam może zobaczyć, jest tu pieczęć „Czarny Szyfr” z biura Topografii z Wyobraźni z datą 1997.

Nestor z trudem mógł w to uwierzyć. - To znaczy, że Kilmore Cove... przestaje być rzeczywiste?

- Właśnie tak. Co zresztą uprościłoby kwestię nielegalnej imigracji pani Penelopy Moore do rzeczywistości. Mało tego, tu mi wprost sygnalizują sprawę, mającą na celu przyspieszenie przekształcenia Kilmore Cove z miejsca realnego w Miejsce z Wyobraźni.

- Sprawę...? A kto wniósł tę sprawę?

- Ba, o to musiałby pan popytać w biurze Topografii z Wyobraźni, oczywiście.

- Oczywiście - burknął Nestor i zaczął drapać się intensywnie po głowie. - A gdzie się znajd...

- Chwileczkę! - przerwał mu gwałtownie urzędnik. - Jest tu taki punkt... wydaje się, że tę sprawę wniosła sama pani Penelopa Moore.

Nestor oparł się obiema rękami o ladę. - Oto po co tutaj zeszła... - wyszeptał. - A czy na tej fiszce jest może napisane, czy pani Penelopa... czy potem wróciła do rzeczywistości?

- Nie, nigdy nie wróciła.

Tysiące myśli zaczęło kłębić się Nestorowi w głowie.

- I nic więcej już nie ma? Żadnej wskazówki, dokąd mogłaby się udać, albo że... zrobiła coś jeszcze?

Urzędnik sprawdził uważnie fiszkę i na koniec pokręcił przecząco głową. - Nie. Nic tu nie ma.

I znowu rozległ się ten przeraźliwy pisk sygnalizujący złapanie następnego nielegalnego i znowu jeden z urzędników pobiegł przypiąć pineskę na jednej z map wiszących na ścianie.

- A Spencer jest? - zapytał nagle stary ogrodnik. - Czy mógłby pan sprawdzić jeszcze to nazwisko, z łaski swojej? Kapitan Spencer?

Kiedy urzędnik zniknął, żeby zajrzeć do swego archiwum, Nestor zauważył, że mały Flint wpatruje się w niego ogromnie strapiony. - Czy zechciałby pan mi to wszystko wyjaśnić?

Kraje z Wyobraźni, rzeczywistość, nielegalni, Czarny Szyfr... Ja nic z tego nie pojmuję!

- Zaczekaj chwilkę... - odpowiedział mu Nestor. - Wszystko ci wyjaśnię.

Urzędnik wrócił z pudłem pełnym fiszek. - Po licha! - zawołał. - Ten kapitan Spencer mało że jest nielegalny, to jeszcze wygląda na prawdziwego pirata! Zrobił ponad tysiąc kursów między Miejskami z Wyobraźni a miejscami rzeczywistymi.

- Zechciałby pan sprawdzić ostatni kurs? - poprosił Nestor, czując jak coraz mocniej wali mu serce.

- Sięga czasu sprzed ponad dwunastu lat.

- Bardzo dobrze - wyszeptał ogrodnik, zadowolony. - Doprawdy, bardzo dobrze.

Następnie podziękował urzędnikowi, spytał, jak dojść do biura Topografii z Wyobraźni, zabrał dokument do okazania tam, z numerem dotyczącym sprawy Penelo-py, i wreszcie skierował się do wyjścia.

Mały Flint został parę kroków z tyłu, po czym nagle zawrócił i podbiegł do okienka, od którego właśnie odeszli.

- Przepraszam... - powiedział grzecznie. - Czy mogę spytać, jak to działa? Jak poznajecie nazwiska tych nielegalnych?

- O, to bardzo proste - wyjaśnił urzędnik. - Mamy swoich agentów rozmieszczonych w różnych miejscach na granicy.

Mały Flint skinął głową. - Tak, rozumiem - powiedział. Ale to jeszcze nie zaspokoilo jego ciekawości. -A czy można poznać nazwisko osoby, która wypełniła lizskę pani Moore?

- Tak, oczywiście. Zaraz sprawdzę... - urzędnik zerknął na kartkę. - Nazwisko zgłaszającego... mruknął. -Tu nie ma... O, tu jest: Stella Evans.

Mały Flint aż podskoczył.

- Stella Evans? - powtórzył cicho. - Jak moja... wychowawczynie?

Rozdział 28

WYCHOWAWCZYNI STELLA

Mariusz Wojnicz odłożył właśnie swój ołówek, zamknął zeszyt i uśmiechnął się do starszej pani. - Proszę mi teraz powiedzieć to, co ma mi pani do powiedzenia - zachęcił ją, gdy tak siedzieli przy świetle świec. W głosie szefa Podpalaczy nie było śladu zdenerwowania czy zmęczenia. Najwyraźniej pociągał go magnetyczny urok pogodnej i spokojnej pani Stelli. Starsza pani uśmiechnęła się, a na jej twarzy pojawiła się uroczą sieć drobnych zmarszczek. - Nie, panie Wojnicz, doprawdy. Nie mam panu nic do powiedzenia.

- Jest pani tego pewna?

Oboje siedzieli w saloniku na pierwszym piętrze domu starej nauczycielki, najstarszej mieszkanki Kilmore Cove.

Po tym, jak jedyny w miasteczku hotel został zniszczony przez ostatnią powódź, pani Stella zaoferowała u siebie gościnę kilku uciekinierom. Wojnicz zajął najwyższe piętro, skąd mógł cieszyć oko wspaniałym widokiem na zatokę i dachy Kilmore Cove. I większość dnia spędzał przy otwartym oknie z głową pochyloną nad kartkami zeszytu, pisząc swoją powieść.

Godziny mijały mu z zawrotną szybkością i czas od śniadania do kolacji wydawał się tak krótki jak jeden oddech. Tego wieczoru, jak codziennie, Wojnicz sączył wspaniałą herbatę z rabarbaru i odbywał miłą pogawędkę ze starszą panią.

Już kilka razy uderzyła go jej jasność umysłu i dowcip. Ujmowała go też serdeczność, z jaką go podejmowała. Dlatego właśnie te wieczorne chwile relaksu i pogadu-szek uważał za szczególnie miłe.

- W gruncie rzeczy coś bym może i miała... - dodała po chwili milczenia pani Stella. - Dziś wieczorem, kiedy przygotowywałam kolację...

- A propos! - przerwał jej Wojnicz. - Zapomniałem podziękować za wspaniałą zupę! Była doprawdy wyśmienita!

- Nazbyt pan uprzejmy... - uchyliła się od komplementu pani Stella. - Chciałabym panu powiedzieć, że całkiem przypadkiem zdarzyło mi się przeczytać kilka kartek pańskiego romansu...

- Och, to tylko notatki, bez szczególnych pretensji literackich...

- Pan wybaczy, panie Wojnicz, ale nie mogę się z panem zgodzić. Twierdzę, że pisze pan bardzo dobrze!

- Tak pani sądzi?

- Bezwzględnie!

- Och, wie pani... ale takie słowa w pani ustach...

- No, bez przesady! Ja jestem tylko zwykłą starą nauczycielką podstawówki w zagubionym miasteczku w Kornwalii. Na co komu się zda moja ocena? Do tego na temat historii miłosnej! Ja w całym swoim życiu kochałam tylko jednego człowieka, który został moim mężem. - Pani Stella wskazała na kilka wypchanych zwierząt stojących wokół nich: aligator, dzięcioł, jeżozwierz, koń, kot, lew, małpa... Inne, niektóre dosyć makabryczne, stały w niszach wzdłuż schodów. Mąż pani Stelli był znakomitym preparatorem i konserwatorem wypchanych zwierząt. - Więc chciałabym podzielić się z panem pewną uwagą - dodała starsza pani.

- Cały zamieniam się w słuch - powiedział Wojnicz.

- Na jednej ze stron, którą przeczytałam, napisał pan zdanie, które mnie szczególnie uderzyło... O gęsi.

- To, gdzie piszę o naszym przekonaniu, że gęś jest głupim stworzeniem z powodu głupstw, jakie wypisaliśmy za pomocą jej piór? - przypomniał Wojnicz.

- Tak. Uważam to za niezwykle trafne. I chciałabym przekazać panu pewną myśl, szczególnie drogą mojemu mężowi. On utrzymywał, że za każdym razem, kiedy zwierzęta na nas patrzą, zdają sobie sprawę z tego, że ludzie są do nich podobni, ale... że coś utraciliśmy. Widzą w nas zwierzęta, które się rumieniają, śmieją, płaczą, są nieszczęśliwe. I nie pojmują, dlaczego. Z tego powodu się nas obawiają.

Wojnicz uniósł filiżankę. - Znakomite spostrzeżenie. Pozwolę sobie je zanotować.

- Właśnie. I to wszystko, panie Wojnicz - uśmiechnęła się pani Stella. - A teraz, jeśli pan pozwoli, udam się do łóżka.

Mariusz Wojnicz poderwał się z krzesła i lekko skłonił. Towarzyszył spojrzeniem starszej pani, która z delikatnym szelestem sukni oddalała się ze świecą w rękę, po czym zamyślony usiadł z powrotem.

- Nedorzeczne zwierzęta - wymruczał na głos. - Oto kim jesteśmy.

Wychowawczyni weszła po schodach prowadzących do sypialni. Postawiła świecę na komódce, po czym otworzyła okna i zasunęła zasłony.

Wcześniej zerknęła w okno sypialni matki miejscowej bibliotekarki, po drugiej stronie ulicy. Zauważyła, że pokój tonął w ciemnościach i pomyślała sobie, że stara kobieta śpi. „Jutro - rzekła do siebie - pójde ją odwiedzić i zaniosę jej coś do jedzenia”.

Usiadła na brzegu łóżka, uniosła kołdrę pachnącą świeżością i jak co wieczór przed snem, postawiła sobie pytanie: - Co pięknego dzisiaj widziałas? - Widziała dziecinny uśmiech w spojrzeniu tego dojrzałego pana piszącego swoją powieść z taką pasją. - Tak - powiedziała do siebie - to całkiem wystarcza, żeby usnąć pogodnie.

Pochyliła się, żeby zdjąć skarpetki.

„Może upiec szarlotkę dla mamy Kalipso - pomyślała. - Trochę dla niej i trochę dla pana Wojnicza”.

Pierwsza skarpetka spadła na podłogę.

- Kto wie, na jak długo ten pan się tu zatrzyma... - zamyśliła się stara nauczycielka.

Sprawy jej przyjemność ciche odgłosy życia w domu. I to, że kogoś można spotkać w saloniku.

Zdjęła drugą skarpetkę.

Rzuciła pobieżnie okiem na leżącą na komódce gazetę z pięknie zaprojektowanym tytułem w stylu wiktoriańskim. To była całkiem świeża prasa, która dopiero co przyszła, i jeszcze nie miała czasu jej przejrzeć.

- Jutro... jutro... - powiedziała do siebie, kładąc się i wsuwając pod kołdrę nogi o drobnych, zadbanych stopach.

nazwisko: Stella Evans

miejsce zamieszkania: Kilmore Cove znaki szczególne: jest najstarszą mieszkanką Kilmore Cove i od lat uczy w jedynej szkole w miasteczku. Zawsze opanowana i uśmiechnięta, mimo swego wieku obdarzona wielką jasnością umysłu i poczuciem humoru.

Rozdział 29

TAJEMNICA POZYTYWKI

- No cóż, zrobiło się późno - odezwał się Black Wulkan, gdy tylko ojciec Feniks wyszedł.
- Nawet nie próbuj nas wyrzucić! - wybuchła Julia, sadowiąc się jeszcze głębiej na krześle i zakładając ręce.
- Teraz musisz nam powiedzieć, co was łączy z tym Spencerem! I masz dokończyć to coś bardzo ważnego, co przerwałeś, gdy przyszedł ojciec Feniks.
- To nie słyszeliście, co powiedział? - zdziwił się były zawiadowca. - Nie jesteście ciekawi tajemnicy pozytywki, która czeka na was w domu?
- Dopiero jak nam skończysz swoją opowieść - odpowiedział zdecydowanie Jason.
- Zgoda - westchnął ciężko Black. - Pięć minut.
- Pięć minut.

Black Wulkan podrapał się w zadumie po brodzie. -No więc... - zaczął. - Musicie wiedzieć, dzieci, że kiedy zaczynaliśmy te podróże, nie wszystko było takie znowu różowe.

Bynajmniej! To było wspaniałe wejść na pokład tej łodzi w głębi groty i znaleźć się nie wiadomo gdzie, ale towarzyszył temu też strach. I mnóstwo pytań. Jak działały Wrota? I dlaczego w Willi Argo była Metis?

- Ale konkretnie... - przerwał mu Jason.
- No dobrze! Więc na przykład, podczas naszej podróży do Uąbaru, Miejsca z Wyobraźni odkrytego przez argentyńskiego pisarza*, zostaliśmy napadnięci przez bandytów. To się wtedy zdarzyło po raz pierwszy i byliśmy przerażeni. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy też w Miejscach z Wyobraźni oszustów. A tam byli, i to jeszcze ilu! Ale najgorszy ze wszystkich kazał się nazywać kapitanem Spencerem.
- To znaczy, że... spotkaliście go... takiego prawdziwego z krwi i kości? - dopytywała się Julia.
- Tak - potwierdził Black. - Kiedy mi Anita powiedziała przez telefon o książce z jego przygodami, którą znalazła na Frognał Lane, to mną wstrząsnęło. Spencer

* W opowiadaniu Tlon, Uąbar, Orbis Tertius Jorge Luisa Borgesa, polskie wydanie: J.L. Borges, Opowiadania, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978.

twierdził, że świetnie zna rodzinę Moore'ów i Klub Podróżników w Wyobraźni. Mówił, że doskonale zna Rajmunda i Williama Moore'a z 1700 roku.

- A... co to za facet?
- Fanfaron! - niemal wykrzyknął Black Wulkan. - Typ bardzo pewny siebie, z takich co to uwielbiają spędzać czas na przechwalaniu się swoimi sukcesami. Był piratem i to od bardzo dawna. Żył na odległej wysepce, takiej, co to w ogóle nie jest zaznaczona na mapach żeglarskich i z tej wysepki robił wypadki łupieżcze w różne Miejsca z Wyobraźni. Black uprzedził rodzące się wątpliwości Jasona. - Ten pirat poruszał się po morzu na statku podobnym do Metis... który jednak miał kompletnie czarne żagle. Ulysses namówiony przez Petera i innych chciał to zobaczyć. My byliśmy riiim żywo zainteresowani, a on nami. I co więcej: interesował się Kilmore Cove.
- A dlaczego? - szeptem spytała Julia.

- Był piratem. Fascynującym, ale bezlitosnym i pozbawionym serca. Zrozumiał, że przemieszczamy się, korzystając z Wrót Czasu i że one znajdują się w Kilmore Cove. Kiedy spotkaliśmy go w Atlantydzie, śledził Leonarda. Odkrył Wrota Czasu w księgarni Kalipso i je... wykradł.

- A jak u licha to zrobił? - spytał zdumiony Jason. Zawsze myślał, że usunięcie Wrót Czasu jest niemożliwe.

- Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Ale jakoś tego dokonał. Zdjął drzwi z zawiasów i wywiózł je na swoją wyspę. Kiedy potem Leonard spróbował ponownie ich użyć... nastąpiła pierwsza powódź. A pod Salton Cliff zatrzęsła się ziemia. Spencer uszkodził cały mechanizm, grożąc zniszczeniem wszystkiego. W tym naszego miasteczka. Jasona i Julię zatkało. - I co się zdarzyło? - spytali po chwili.

- Postanowiliśmy raz na zawsze zamknąć Wrota. Tak, jak to zrobili trzy wieki wcześniej przodkowie Ulyssesa. Ale żeby mieć pewność, że Spencer nie będzie nadal krążyć po Miejscach z Wyobraźni i ich pustoszyć... musieliśmy za wszelką cenę go powstrzymać! Black przechadzał się nerwowo po pokoju. Jego oczy miały złociste błyski, a głos - mimo że od tamtych wydarzeń upłynęło wiele lat - drżał z emocji.

- Spencer popełnił jeden błąd: był samochwałą, jak wam mówiłem, a w szczególności lubił się chełpić wobec kobiet. Nie oparł się pokusie, żeby pokazać Penelopie swoją kryjówkę i skradzione Wrota Czasu. Ona zgodziła się wsiąść na jego okręt z przepaską na oczach i tam, na miejscu, narysowała szczegółową mapę wyspy i zabrała ze sobą muszlę.

- Ale dzielna! - zawołał pełen podziwu Jason.

- Z muszlą i mapą popłynęliśmy tam na Metis.

Ale... odkryliśmy, że skradzione Wrota były nieodwracalnie uszkodzone. Działały tylko w jedną stronę: z Kilmore Cove na wyspę Spencera. I tylko tak.

- No to coście zrobili?

Black się roześmiał. Roześmiał się serdecznie i głośno. - Szaleństwo: zorganizowaliśmy regularny bunt. Nie obeszło się bez strzelaniny z muszkietów, w której Ulysses został okalawiony, a cięcie szablą pozbawiło Spencera kawałka ucha. Leonard stracił oko, ale... w końcu udało się nam! Weszliśmy na pokład jego okrętu i zostawiliśmy go na jego wyspie w towarzystwie własnych skarbów!

- A potem? Co zrobiliście z okrętem Spencera?

- Osadziliśmy go na przybrzeżnych mokradłach, a na szalupach dotarliśmy do jakiegoś zamieszkałego miejsca. Kiedy wróciliśmy do Kilmore Cove... No, to już wiecie - dla oka Leonarda było niestety za późno.

Jason i Julia wracali do Willi Argo, gorączkowo rozmawiając o tym, co mogło spotkać Nestora, ale głównie o kapitanie Spencerze - widmie, które się nagle wynurzyło z przeszłości grupy przyjaciół Wielkich Wakacji, by zakłócić im sen. Fantazjowali na temat legendarnych wyczynów i odkryć na morzu. Metis stała się głównym ośrodkiem ich fantazji, ale również okręt Spencera z czarnymi żaglami, osiadły na mieliźnie gdzieś na bagnach czasu.

Pośród wszystkich odkryć poczynionych tego niebywałego dnia jedno, dotyczące pozytywki pozostawionej przez J.J. w Willi Argo, zostało niemal przeoczone.

Jason przypomniał sobie o niej nagle, w środku nocy. Zbudził się, z bijącym sercem wyskoczył z łóżka i zszedł boso do jadalni.

Pamiętał doskonale, że pozytywka Elisabeth Kapler znajdowała się na drugiej półce wysokiego czarnego wózka do wożenia naczyń. Jason przysunął stół do tego mebla na kółkach, wszedł nań i sięgnął po cenny przedmiot: był to rodzaj małej ośmiobocznej karuzeli, w kształcie miniatutki ogrodowej altanki. Z ośmioma łódeczkami zamiast tradycyjnych koników, łódeczkami podobnymi do modeli, jakie Ulysses Moore lubił zbierać w swojej pracowni na górze w wieżycy.

I właśnie tam Jason zaniósł pozytywkę.

Za drzwiami z lustrem.

Pracownia w wieżycy była oświetlona srebrzystą poświatą księżyca. Drzewa kołysały się lekko na wietrze.

Czy naprawdę w tej pozytywce kryła się jakaś tajemnica rodzinna?

Uruchomił ją.

Łódeczki zaczęły krążyć i w pracowni rozległy się takty miłej melodyjki.

- Jason? - rozległ się po chwili zaspany i jeszcze trochę zakatarzony głos Julii. - Co robisz?

Co to za muzyka?

Siadła obok brata i przyglądała się wirującej małej karuzeli.

Melodyjka powracała.

Łódeczki krążyły.

Potem, nagle, pozytywka zatrzymała się, przestała się obracać.

Ze szczytu wieżycy powiało potężnym wiatrem i niespodziewanie, z suchym trzaskiem otworzyło się okno.

Jason z sercem bijącym jak oszalałe podbiegł, by je zamknąć.

Odwrócił się.

Jego siostra błada jak upiór wpatrywała się w pozytywkę.

- Co się dzieje? - spytał ją wystraszony.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ale strasznie się boję.

Rozdział 30

BAGNA CZASU

Leonard zwinął żagle i włączył silnik.

Poziom wody obniżył się o kilka metrów i od czasu do czasu o stępkę drapały jakieś korzenie i sterczące konary.

- Daleko jeszcze? - zapytała Kalipso, podając mężowi kubek z gorącą herbatą.

Uściskali się serdecznie. Po czym Leonard ujął ponownie ster, spoglądając prosto przed siebie między jezorami mgły i zarysem drzew wokół bagna.

Długo milczał, popijając gorącą herbatę, w końcu odpowiedział: - Powinniśmy być prawie na miejscu.

Kalipso sprawdziła szybko mapy żeglarskie przy sterze. Odłożywszy cyrkiel, zabrała się do obliczeń. Trzy dni temu opuścili pełne morze, halsując wzdłuż wybrzeża, a przed dwoma dniami wpłynęli w ujście rzeki, pokonując prąd. Zostawili za sobą silny wiatr na otwartym morzu, by stopniowo zanurzyć się w gęstej mgłę siarkowych oparów. Przezroczystą wodę zastąpił błotnisty, zielonka-wozółty szlam.

Spojrzenie Kalipso padło na leżący na mapie list od Petera. Było tam zaledwie kilka linijek, ale wystarczyły, by Leonard postanowił wypłynąć na morze i podjąć tę dziwną podróż, o której nie chciał z nikim mówić. Na maszynie drukarskiej Callera Peter napisał:

Zauważ OnO czarny Okręt w strefie arsenału.

POzostał w mieście przez kilka gOdzin.

Nie ma dOwOdu, by miał bezpośredni związek.

Sprawdź Ostatnią znaną pOzycję.

Tę wiadomość doręczono Leonardowi prawie jednocześnie z zawiadomieniem przez gminę o podwyżce ceny wynajmu domu koło latarni morskiej. I jak łatwo się domyślić - żadna z tych dwóch wiadomości szczególnie go nie ucieszyła.

W następnych dniach po otrzymaniu sygnału od Petera, latarnik zaczął studiować książki, mapy żeglarskie i portulany, po czym prawie bez uprzedzenia zdecydował się wypłynąć.

Kalipso nie próbowała nawet oponować, choć prawdę mówiąc, wolałaby pozostać przy matce

starszycie: Leonard dał jej czterdzieści godzin na zorganizowanie dyżurów różnych opiekunek z miasteczka.

I wyruszyli.

Organizacja podróży stopniowo ulegała zmianie, zwłaszcza po apelu radiowym Nestora.

Kiedy zaczęły się zakłócenia na linii i w końcu zamilkły wszystkie stacje radiowe, Leonard stwierdził: „Weszliśmy”.

Chciał w ten sposób powiedzieć, że porzucili kurs rzeczywisty i weszli do miejsca poza czasem.

- Wkrótce powinniśmy go zobaczyć... - szepnął Leonard, zwalniając obroty silnika. Płynęli w dziwnej i głębokiej ciszy, rozróżniając zaledwie zarysy czarnych i suchych drzew.

Potem nagle błotnista rzeka się poszerzyła, tworząc rodzaj nieruchomego jeziora, z którego tu i ówdzie sterczały pozostałości lasu pochłoniętego przez moczary.

Leonard całkiem wyłączył motor, pozwalając łodzi dryfować. Od czasu do czasu w gęstej zasłonie mgły otwierały się prześwity pozwalające się domyślać nieskończonych przestrzeni pokrytych splątana dżunglą.

- To tu... - wyszeptał latarnik.

Miejsce po usuniętym oku pod opaską zaczęło go nagle swędzić i Leonard musiał zacisnąć zęby, żeby się powstrzymać od drapania.

Tymczasem rozglądał się na wszystkie strony w poszukiwaniu...

- Jest niewiele większy od brygantyny - powtarzał kolejny raz. -1 całkiem czarny.

Kadłub, olinowanie, żagle.

Sunęli wolno i cichutko po płaskiej powierzchni jeziora. »

- Nie widać żadnego okrętu - zauważyła Kalipso. Leonard otworzył bulaj i wpuścił do kabiny strzępy

mgły razem z... - Słyszysz?

- Nie - odpowiedziała Kalipso. - Nic nie słyszę. Potem jednak i ona to usłyszała. To były jakby dalekie

odgłosy bębnow. Powolne, surrealistyczne. Bębny z mgły. A nad nimi górowały jakieś wrzaski. Nieustające, histeryczne, dzikie.

- Wydaje się, że to... małpy - rzuciła Kalipso. - Ale bębny?

Leonard przez chwilę nasłuchiwał i w końcu zażartował: - Tutejsi mieszkańcy musieli sobie zorganizować party.

Kalipso wypięła ostatni łyk herbaty. - Czy tego się spodziewałeś?

- Nie - odparł Leonard. - Wszystkiego, tylko nie tego.

- Potem ponuro dodał: - Okręt musi tkwić w tym bagnie.

Coś wielkiego zahaczyło o kadłub i spowodowało obrót ich łodzi dookoła osi.

Po czym łódź się zatrzymała.

Biuro Topografii z Wyobraźni znajdowało się u szczytu niebywale wysokich schodów za małymi drzwiczkami. Schody były tak wąskie, że kiedy mijało się osoby idące w przeciwnym kierunku, trzeba było przystanąć i przepuścić tego, kto schodził z góry.

Pomieszczenie biurowe wypełniało mnóstwo wielkich stołów nachylonych jak pulpity z siedzącymi przy nich rysownikami i kartografami zajętymi rysowaniem, kopiowaniem i sprawdzaniem setek map.

Urzednicy o złocistej skórze pchali kilkupoziomowe wózki, rozwożąc i zbierając mapy i papiery, katalogi i spisy. Na sali panowała całkowita cisza zakłócana jedynie odgłosem setek piór, węgla do szkicowania, ołówków i kredek sunących po papierze, szuraniem łokci na stołach i skrzypieniem stołków, na których siedzieli kartografowie.

Nestor podszedł do najbliższego z nich i okazał mu dokument otrzymany w Biurze Imigracyjnym.

- Szukam osoby zajmującej się sprawą o numerze... - wyjaśnił i przeczytał cicho bardzo długi kod identyfikacyjny, jaki mi podyktowano.

Kartograf skierował go do następnego stołu. Po okrążeniu go w końcu znaleźli się przed człowieczkiem o głowie w kształcie bulwy, w ogromnych okrągłych okularach i z gęstą rudą bródką.

Człowiek wziął jeden z tomów, jakich miał pełno wokół siebie, i powiedział: - Pamiętam tę sprawę. Była dosyć niezwykła.

Nestor czekał, aż urzędnik otworzy tom i coś sprawdzi, tymczasem usiłując zerknąć nad krawędź stołu. Potem spytał: - Dlaczego niezwykła?

- Było to trzecie czy czwarte podanie dotyczące tego samego miasta, a każde wpłynęło w innej epoce... - odparł kartograf.

- Słucham?

Człowieczek obrócił tom w stronę Nestora, tak żeby i on mógł przeczytać tekst. - Tutaj, widzi pan? Ostatnią osobą proszącą o wpisanie do Zgromadzenia była pani Penelopa Moore, kilka lat temu...

- A wcześniej?

- Ksawery Moore: ale to dotyczy naprawdę wielu lat wcześniej.

Nestor zacisnął szczęki. Ksawery, obcy. Założyciel rodu Moore'ów.

- A potem kolejno wpłynęły podania Rajmunda i Williama Moore'ów...

Zatem Rajmund wiedział: znał tajemnice przepaści, nad którą kazał wznieść most. Zszedł do Labiryntu. Prosił o przyjęcie do Zgromadzenia Miejsz z Wyobraźni, ale tylko po to, żeby później wycofać się, pozamykać wszystkie Wrota, pochować klucze i pozatapiać statki, na których je poukrywał.

Ale dlaczego?

To wyglądało na jakieś przekleństwo: za każdym razem Moore'owie kończyli sprawę zamknięciem Wrót, które sami odkryli. Dokładnie tak, jak to się przydarzyło jemu, Ulyssesowi.

- W każdym razie - ciągnął urzędnik - sprawa jest nadal otwarta. I jeszcze jedno: w tego rodzaju sprawach jest normalne, że toczą się przez setki lat. Niech sprawdzę... To jest spis chętnych, by wpisać się do Zgromadzenia Miejsz z Wyobraźni i chyba są tu wszyscy. Tak pan Rajmund Moore, jak i pani Penelopa wskazali jako Jediną Charakterystykę istnienie tych... Wrót Czasu. Tak, tak, bardzo dobrze, następuje lista zebranych podpisów...

- Lista podpisów? Co za lista podpisów? - zdumiał się Nestor. Jak Penelopa zdobyła podpisy?

Urzędnik wyciągnął z akt załącznik do sprawy i podał go Nestorowi. Ten wytrzeszczył oczy, rozpoznając papier: była to kartka z podpisami zebranymi przez ojca Feniksa z okazji loterii w miasteczku! Może po to właśnie Penelopa poszła do proboszcza przed swoim wyjazdem! Następnie człowieczek zaczął kartkować inne teczki z papierami i czytać je pod światło. - Istotnie!, dobrze pamiętałem! - zawołał w pewnej chwili. - Załącznik F został wycofany.

- To znaczy?

- Przy podaniu zawsze musi być załączony jakiś przedmiot nierzeczywisty, pochodzący z miejsca, którego dotyczy sprawa. Pozostawiony w depozycie do dyspozycji urzędników...

Ale w tym wypadku przedmiot nazwany „Pierwszym Kluczem” został wycofany przez pana Rajmunda Moore'a i nigdy nie zwrócony.

Nestor znowu podskoczył. Oto, gdzie Rajmund znalazł Pierwszy Klucz!

- Poza tym brakuje też jako załącznika jakiegoś dziennika, skryptu, mapy czy jakiejś serii publikacji dotyczących wspomnianego miejsca, to znaczy w tym wypadku Kilmore Cove.

„Mapa” - powtórzył cicho Nestor. I natychmiast przyszła mu na myśl mapa narysowana przez Thosa Bowena.

A potem pomyślał o swoim kufrze z dziennikami i o książkach opublikowanych pod własnym nazwiskiem. Było tego dosyć dla poparcia dwóch podań!

Brakowało mu w tej układance jeszcze jednej kostki: Penelopa zeszła do Labiryntu, zatrzymała się tam na czas konieczny do przyśpieszenia przekształcenia Kilmore Cove w Miejsce z Wyobraźni i potem... nie udało się jej powrócić.

Co się jej mogło przytrafić?

- Przypomina pan sobie coś jeszcze z tej sprawy? - zapytał urzędnika z cichą nadzieją w sercu.

- No cóż... jak pan widzi upłynęło dużo czasu...

- Oczywiście - odparł Nestor zgnębiony.

Kolejny ślepy zaułek. Kolejna niepełna informacja.

- Ale ponieważ tu, w Labiryncie, czas nie istnieje -dodał człowieczek uradowany - pamiętam doskonale panią Penelopę! Blondynka, wyjątkowo piękna, jeśli pan pozwoli... - Urzędnik poprawił sobie okulary na nosie i uśmiechnął się z miną znawcy. - Wie pan, ja jestem wrażliwy na piękne kobiety...

Nestor z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Po złożeniu podania - ciągnął kartograf - wyznała mi, że jest żywo zainteresowana pewnymi aspektami Labiryntu i bardziej ogólnie, Miejscami z Wyobraźni. Zrozumiałem natychmiast, co miała na myśli...

- Może pan to zrozumiał, ale... ja zupełnie nie! - wybuchnął w tym momencie zdenerwowany mały Flint, a wielu kartografów na sali obróciło się w jego stronę, rzucając mu surowe spojrzenia pełne dezaprobaty.

Człowieczek natomiast zbył go zupełnie, jakby chłopca w ogóle nie było, i dokończył: - Było jasne, że pani Penelopa pragnęła mieć Nić Ariadny.

- Nić Ariadny? - szepnęła Nestor, niczego nie pojmując.

- Tak. Inaczej mówiąc - mapę Labiryntu. Istnieje wiele różnych szpilek, zależnie od tego, dokąd chce się iść. Nici czerwone - kraje ciepłe. Nici białe - kraje zimne. Nici czarne... hmm, prowadzą do Miejsc z Wyobraźni... najstraszniejszych.

- Co to znaczy? - zapytał Nestor i zaczął się lekko pocić.

- To jasne: nie wszystkie Miejsca z Wyobraźni są szczęśliwe. Istnieje także strefa czarna i straszna, gdzie lepiej się nigdy nie wyprawiać. Ktoś je nazwał Wrotami Przerażenia.

- Rozumiem... - powiedział stary ogrodnik, marszcząc czoło. - A czy może Penelopa powiedziała panu, po co zamierzała... tam iść?

- Hmm, bardziej nalegał - jeśli dobrze pamiętam - jej przyjaciel.

Ręka Nestora wyrwała się odruchowo do przodu i schwyciła rękę urzędnika, który aż krzyknął z przerażenia.

- Przyjaciel? O jakim przyjacielu pan mówi? - powtarzał ogrodnik z Willi Argo głosem drżącym z napięcia.

Po chwili jednak opamiętał się i puścił urzędnika, przepaszając.

Człowieczek pomasaował sobie przegub ręki. - Co za obyczaje!

Nestor teraz aż trząsał się z przejęcia. - Czy to przypadkiem nie był bardzo wysoki mężczyzna, który... któremu brakowało płatka ucha?

- Właśnie tak - potwierdził urzędnik.

W jednej chwili sprawdziły się najgorsze koszmary Ulyssesa Moore'a, zapierając mu dech w piersi. A więc tak się sprawy miały: Penelopa musiała spotkać kapitana Spencera w Labiryncie i potem... co potem się wydarzyło? Zrobił nadludzki wysiłek, żeby odpędzić od siebie najgorsze myśli.

Mały Flint przejął sprawy w swoje ręce. Tę ostatnią część, nie wiadomo dlaczego, zrozumiał doskonale. Odchrząknął i obojętnym głosem poprosił: - My potrzebujemy Nici Ariadny... czarnej.

Kartograf tym razem uważnie mu się przyjrzał, zdradzając jednocześnie spojrzeniem wielki niepokój. - W takim razie potrzebne będzie pozwolenie...

- Jakie pozwolenie?

- Musicie się zwrócić do okienka Podróże Bezpieczne w biurze Podróżnicy w Wyobraźni na Świecie. W dół po schodach, potem pierwsza w lewo. Ale na waszym miejscu najpierw bym się dobrze zastanowił...

Rozdział 32

POKÓJ, KTÓRY SIĘ OBRACA

Kiedy tak Anita patrzyła na obracający się wolno nad ogniem rożen z mięsem na kebab, olśniła ją pewna myśl.

- Obraca się - powiedziała cicho.

Bracia Nożyce zapytali ją, o czym mówi i usłyszeli: -Piwnica pod willą Moore'ów.

Patrzyli na nią, nadal niczego nie rozumiejąc. Anita wzięła ze stołu papierową serwetkę i zaczęła na niej rysować.

- Widzicie? Osiem boków. W jednym jest wejście: tu. A pośrodku rodzaj podstawy metalowej... całkiem jak w kebabie. I jeszcze jest siedem siedzisk po bokach, jedno na każdym boku. Siedem siedzisk i jedne drzwi metalowe. Jasne?

Widząc, że nie rozumieją, dodała: - Według mnie ten pokój się obraca. Ale nie pytajcie mnie, skąd to wiem.

Die Planeten haben alle Sieben, Die metallnen Tore aufge-tan... Planety otworzyły wszystkie siedem metalowych bram - zacytował blondyn, nie znajdując akurat nic lepszego do wtrącenia.

Drugi brat chwilę się zastanowił i strzelił: - Wagner... Nie, czekaj... Goethe!

- Zgadłeś!

Anita pokręciła głową i wróciła do rysowania. I im dłużej rysowała, tym mocniej była przekonana, że intuicja jej nie zawodzi. Nie czekając, aż kanapka z kebabem będzie gotowa, wstała i skierowała się do wyjścia. - Możemy iść? - spytała.

Ale to nie było pytanie.

Kwadrans później wyciągali z łóżka zaskoczonego Pi-resa i całą czwórką zeszli do piwnicy pod domem.

- To doprawdy szczególny pomysł, panienko... - mruzczał stary majordomus, ziewając co chwila i torując im drogę. - I pojęcia nie mam, skąd to panience przyszło do głowy. Prawdę mówiąc, sama Anita też tego dobrze nie wiedziała. A nawet nie miała bladego pojęcia. Ale czuła, że coś bardzo ważnego wiązało się z tym pomieszczeniem... Coś, co było przedmiotem zainteresowania Obliwii Newton pragnącej za wszelką cenę nabyć dom przy Frognał Lane.

Anita nie zamierzała odpuścić - musiała sprawdzić ten trop. Tak podpowiadała jej intuicja.

Kiedy Pires otworzył metalowe drzwi prowadzące do podziemnej kaplicy, dziewczynka pokazała przejętym braciom Nożycom to, co próbowała im wcześniej wyjaśnić za pomocą rysunku na serwetce.

Tupnęła stopą w metalowy krąg pośrodku, wywołując złowrogie dudnienie. Potem przebadła dokładnie ściany w poszukiwaniu przeciągów. - Wy też je czujecie? - spytała.

Istotnie, w pomieszczeniu czuło się dziwne przeciągi, jakby ściany nie przylegały ściśle do podłogi.

- Klucz do zagadki... kryje się w tych siedziskach, jestem tego pewna - powiedziała Anita, coraz bardziej podniecona.

Usiadła na pierwszym siedzisku i chwyciła za poręcz, zniszczone i poczerniałe. Oczywiście, nic się nie wydarzyło. Wtedy odwróciła się i przeczytała napis: KSIEŻYC.

Pozostałe sześć foteli było opatrzonych nazwami ciał niebieskich: Merkurego, Marsa, Wenus, Jowisza, Saturna i Słońca.

„Co to może znaczyć?” - powtarzała Anita, myśląc intensywnie.

Potem przyszedł jej pewien pomysł do głowy i poprosiła Piresa oraz braci Nożyców, żeby też usiedli na wolnych fotelach. Ale nie zdarzyło się nic szczególnego z wyjątkiem uczucia lekkiego ucisku, którego doznali wszyscy czworo, gdy próbowali oprzeć się wygodnie, jakby kamienny mur przesuwiał się o kilka milimetrów. Wszelkie ich wysiłki wydawały się bezużyteczne, a nawet dosyć głupie.

Anita zaczęła się nerwowo przechadzać po dziwnej komnatce.

Siedem siedzisk.

A ich było czworo.

- Brakuje trojga - uznała. - Musimy zająć wszystkie fotele.

Kędzierzawy uśmiechnął się pod wąsem. - Posłuchaj, mała... Dobrze jest korzystać z wyobraźni, ale...

- Daj spokój - przerwała mu Anita i zaproponowała jeszcze coś innego.

Ułożyli kilka pudeł Piresa na trzech siedziskach, tak żeby je obciążyły, i znowu zasiedli na swoich miejscach. Znowu doznali tego dziwnego uczucia ucisku, ale...

- Nie wydaje mi się, by się cokolwiek działo! - zawołał blondyn.

- Usiądźcie wygodnie! - nalegała Anita. - Chwyćcie za poręcze i...

Nic.

Potem nagle od ścian powiało gwałtownym, lodowatym przeciągiem.

Następnie zaczęła wibrować metalowa część posadzki.

- Przejeżdża pociąg... - odezwał się lakonicznie Pires.

Anita spojrzała na niego urażona, a potem przyjrzała się fotelom, na których ustawili pudła.

Jowisz.

Mars.

Saturn.

- Chwileczkę... Sa-turn... Turn to po angielsku "obrócić"! - zawołała. - Pomóżcie mi, proszę!

Szybko pomogli jej przenieść pudła z fotela Saturna na fotel Księżycy.

Następnie sama zasiadła na pustym fotelu.

Wzięła głęboki oddech.

Chwyła za poręcze.

A poręcze nagle szarpnęły i obróciły się.

Dał się słyszeć głuchy trzask jak w mechanizmie nagle puszczonego w ruch.

- Udało się! - wykrzyknęła Anita.

- Ale jak, kurczę, to zrobiłaś? - wyszeptał z podziwem kędzierzawy, siedząc nieruchomo na fotelu.

Blondyn i Pires ze zdumienia nie byli w stanie powiedzieć słowa.

Dziewczynka rozejrzała się dokoła, nie przestając ścisnąć poręczy.

Posadzka zaczęła dygotać coraz mocniej. Rozległo się kliknięcie i pomału całe pomieszczenie zaczęło się obracać w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Ściana, w której znajdował się wspianały portal z drzwiami wejściowymi, przesunęła się w prawo jak i pozostałe ściany. W miejscu metalowych drzwi ukazała się teraz ściana.

Dziewczynka raz jeszcze obróciła poręcze i mechanizm znowu zadziałał, przesuwając wszystkie ściany, by zatrzymać portal naprzeciwko drugiego wejścia.

W tym momencie Anita puściła poręcze, które powróciły do swej pierwotnej pozycji, i wstała. - No i proszę! - zawołała tylko.

- I... co tam jest? - zapytał kędzierzawy, wyężając wzrok.

- Ba - odparł Pires swym zwykłym tonem - rzekłbym, że to jakiś ciemny pokój.
 - Czy ktoś z was ma latarkę? - spytała Anita.
- Majordomus poświecił zapalniczką do papierosów, wydobywając z ciemności zarysy pomieszczenia. - Panienska prowadzi, proszę.
- Anita posuwała się ostrożnie przejściem, które właśnie odkryli, aż doszła do wąskiego pokoju.
- Przypuszczam, że to tutaj Moore'owie ukryli swoje prawdziwe skarby.
- Zaraz po przekroczeniu progu Anita popatrzyła uważnie na wspaniałą mozaikę podłogową. Zauważyła, że z części kostek ułożono napis.
- Mógłbyś tu poświecić, Pires?
- Majordomus podszedł do niej i obniżył niebieskawy płomyk zapalniczki. Na mozaice widniało imię RAJMUND.
- Tuż obok leżał duży tobół z ciemnej materii, ciasno obwiązany sznurami przeciągniętymi przez miedziane oczka.
- Mówicie, że w środku jest skarb? - zapytał blondyn, wskazując tobół u stóp.
- Ale Anita pokręciła w zamyśleniu głową. - Nie sędzę - szepnęła, obracając go. - Wydaje się raczej, że z jakiegoś powodu ktoś postanowił ukryć w tej sali... zwinięte... czarne... żagle.

Rozdział 33

WENECKIE WODOSPADY

Rick jeszcze krzyczał, gdy Peter Dedalus już zanurzał batyskaf w szmaragdowych wodach laguny. O kilka metrów od nich Dom Cabota właśnie runął.

- Tommiego zasypało! Został pod gruzami!
- Nie opowiadaj głupstw - zachnął się wynalazca. - Twój przyjaciel już wyszedł, widziałem go wyraźnie!
- To dlaczego na niego nie zaczekamy?

Peter spiorunował chłopca wzrokiem i zaczął manewrować sterami batyskafu. Pomału oddalali się od brzegu.

Rick nie wiedział, co począć. Próbował zobaczyć coś przez peryskop, ale ujrzał tylko wielką chmurę pyłu tam, gdzie przedtem stał Dom Cabota.

Wziął się w garść: trzeba się zastanowić.

Wykonał kilka głębokich oddechów i zwrócił się do Petera: - Co chcesz teraz zrobić?

- Zrealizować swój pierwotny plan - odpowiedział chłodno wynalazca. - Obu was zawieźć do Wrót w zaułku Amor degli Amici i wysłać do domu. Co do mnie... spróbuję dołączyć do was inną drogą.

- Jaką inną drogą? - zapytał zdziwiony Rick.

W następnej chwili poczuli bardzo mocne uderzenie. Coś walnęło w kadłub i o mały włos nie wywróciło pojazdu.

- Co tu się, kurczę, dzieje? - spytał Rick ogarnięty paniką.
- Nie wiem! - krzyknął Peter.

Rudzielec ponownie chwycił za peryskop: tuż za nimi płynęła duża gondola o czarnym kadłubie. Jacyś mężczyźni ubrani na szaro przechyleni za burtę walili długimi wiosłami w batyskaf Petera Dedalusa.

- A niech to diabli! - zawołał Rick. - Są na górze! Musimy wypłynąć na głębsze wody!
- Właśnie to robię! - Odkrzyknął wynalazca, manewrując batyskafem coraz bardziej gorączkowo.

Odnóża batyskafu jak nogi pająka znacznie przyśpieszyły marsz po grząskim dnie, ale goniący ich wiosłowali z całych sił i nie dawali się zgubić.

- Zmieniam program! - rzucił Peter Dedalus. - Nie będzie żadnego przystanku w zaułku Amor degli Amici, popłyniemy moją drogą!

Nagle wentylator ze świstem przestał działać.

- Odciełi nam boję! Oddychaj wolno, chłopcze, nie mamy dopływu powietrza. Rick przełknął ślinę.

Batyskaf sunął nadal po płytkim dnie laguny ścigany przez gondolę tajnej gwardii. Rick spoglądał to przez przeszklony dziób, to przez peryskop. - Nie zostają w tyle ani o metr... - zauważył zaniepokojony.

Peter się nie odezwał. Ruszał sterami i pilotował batyskaf w sobie tylko znanym kierunku.

- Jesteśmy! - zawołał nagle po jakimś kwadransie tej ucieczki.

Wokół kadłuba wytworzył się silniejszy prąd i ogarnął mechanicznego pająka, zmuszając go do stawiania coraz to większych kroków.

- A oni? Gdzie są?

Rick rozejrzał się dookoła przez peryskop i odpowiedział z ulgą: - Zgubili się!

- Bardzo dobrze.

W tej chwili wir o mało co ich nie wywrócił, ale wynalazcy udało się zapanować nad sterami.

- Dokąd płyniemy, Peter? - spytał go Rick kilka minut później.

Wynalazca nie odpowiedział.

Musiało jeszcze upłynąć dobre pół godziny, zanim chłopiec zrozumiał, jaki był ich cel: zmierzali w kierunku tamy na lagunie, od strony lądu. Potwierdziło się to chwilę potem, kiedy batyskaf zaczął powoli wynurzać się na powierzchnię. Kiedy już się całkiem wynurzyli i otworzyli właz, by zaczerpnąć świeżego powietrza, zobaczyli w oddali gondolę i usłyszeli nawoływania tych, co ich ścigali. Ale były przytłumione jakimś głuchym, jednostajnym hałasem, jak wybrzmiewający huk pioruna.

Z sercem w gardle Rick spoglądał na tamę, do której się zbliżali.

- Nie! - krzyknął po chwili ogarnięty przerażeniem.

Wody laguny spływały płytkim strumieniem po tamie, żeby następnie, jakieś dziesięć metrów dalej, wpaść w potężną kipieli, która je pochłaniała, tworząc wodny pył. To było tak, jakby znaleźć się na krawędzi Niagary.

- Ma konstrukcję mocną, jak należy - powiedział najspokojniej Peter. - Powinien wytrzymać.

Po czym wyciągnął coś z jakiegoś schowka w środku batyskafu: wyglądało to na rodzaj skafandra z miękkiej gumy. Podał to Rickowi.

- Włóż to! - rozkazał. - Myślę, że zdrowo się potłuczemy, zanim opadniemy na dno.

- Peter! Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co chcesz zrobić?

- Jasne, że tak. I powinienem to zrobić dawno temu. Tylko że...

Chwycił za stery, a Rick pośpiesznie wciągał na siebie kombinezon.

- ..zawsze miałem zawroty głowy!

Batyskaf skoczył do przodu, wpadając w prąd rwący ku tamie. Rick zaledwie zdążył rzucić ostatnie spojrzenie na gondolę, która ich jeszcze ścigała i pomodlił się, żeby przynajmniej oni zdążyli się zatrzymać.

Potem przestał się nawet modlić.

Pojazd Petera Dedalusa został porwany przez prąd i chwilę potem runął w topiel.

Rozdział 34

KAPITAN SPENCER

Najpierw nadeszła delikatna mżawka, która przesłoniła niebo i morze równomiernie szarą kotarą.

Potem nastąpił wstrząs. Zatrzęsło tak mocno, że aż się cały dom zakolysał.

Jason i Julia zbudzili się w jednej chwili. Byli w pokoju w wieżycy, gdzie w końcu posnęli, zbyt zmęczeni i wystraszeni, żeby się rozejść do swoich pokoi.

Chłopiec podbiegł szybko do okna, żeby zobaczyć, co u licha się dzieje.

- JULIA! - zawołał.

- JASON! - odkrzyknęła siostra. Również ich rodzice zbudzili się i krzykali.

Wstrząs trwał jedną, najwyżej dwie sekundy, ale wszystkim się zdawało, że trwa wiecznie.

Jason pobiegł do swojego pokoju, ubrał się, wkładając dzinsy i sweter wprost na piżamę, i zbiegł na dół. Julia i rodzice nadbiegli kilka sekund po nim.

- Co się dzieje?

- To trzęsienie ziemi!

Otworzyli oszklone drzwi na werandę i wyszli do ogrodu. Dopiero teraz, kiedy znaleźli się w parku, odetchnęli. Spoglądali na dom, na drzewa, składzik z narzędziami, schodki i wszystko dokoła.

Wydawało się, że wszystko jest na swoim miejscu.

Nic się nie zawaliło. Willa Argo wytrzymała wstrząs.

Rodzeństwo padło sobie w objęcia.

Czy to był tylko straszny sen?

Pani Covenant przytulona do męża, wybuchła płaczem.

- Pakujemy się! - krzyknął mąż nie panując nad sobą. - Nie chcę tu być ani minuty dłużej!

Ale minęło.

Trzęsienie ziemi minęło i...

- Jason - szepnęła nagle Julia.

- Co takiego?

- Czy ty też go widzisz?

- Co ?

Julia podeszła do wykutych w urwisku schodków na plażę. Stąd można było objąć spojrzeniem całą zatokę Kilmore Cove i sięgnąć na otwarte morze.

Po chwili dołączył do niej brat. To, co zobaczyli, zaparło im dech w piersiach.

Na redzie, przed plażą Kilmore Cove, stał żaglowiec. Czarna po szczyty masztów brygantyna. Z żaglami w kolorze smoły.

Między masztami i olinowaniem uwijała się załoga złożona z małą.

A przy sterze, w mundurze z lśniącymi guzikami, stał wyprostowany mężczyzna.

Zobaczyli, jak podniósł gwałtownie rękę i natychmiast ją opuścił.

Żaglowiec obrócił się powoli burtą w stronę urwiska. I z jego ośmiu działobitni gruchnął grzmot.

nazwisko: Kapitan Spencer

miejsce zamieszkania: Tajemnicza Wyspa

(skała pośród oceanu, z której nie sposób uciec) znaki szczególne: pirat Spencer jest bohaterem ponad tysiąca wypraw z Miejsc z Wyobraźni do miejsc realnych. Powiadają, że podróżuje na pokładzie okrętu z czarnymi żaglami, który mu pozwala przemieszczać się między Miejscami z Wyobraźni.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1.	Złote Wrota.....	7
2.	Na stacji.....	13
3.	Tajemnicza Wyspa.....	23
4.	Senne koszmary.....	31

5.	Dom Obliwii Newton.....	41
6.	Wyznania w blasku świecy.....	49
7.	Więzienie gubernatora.....	57
8.	Okazja dla dwóch.....	63
9.	Miasto tysiąca kanałów.....	71
10.	Dachy Werony.....	79
11.	Nieoczekiwane spotkanie.....	85
12.	W Ogrodzie Popiołu.....	97
13.	Nieznany zabójca.....	113
14.	Kanał Meloña.....	127
15.	Wyjście.....	133
16.	Wspomnienia z przeszłości.....	143
17.	Batyskaf pajak.....	151
18.	Okręt widmo.....	163
19.	Na skrzydłach przygody.....	171
20.	Stare podejrzenia i nowe odkrycia.....	183
21.	W poszukiwaniu czarodziejki Kirke.....	191
22.	Widowisko pirotechniczne.....	201
23.	Postać w błękicie.....	209
24.	Zagadkowa notatka.....	215
25.	Halo! Czy pan Frank Homer?.....	219
26.	Spotkanie o zmroku.....	225
27.	Pod stosem papierzysek.....	229
28.	Wychowawczyni Stella.....	239
29.	Tajemnica pozytywki.....	245
30.	Bagna czasu.....	253
31.	Ostatnie biuro.....	259
32.	Pokój, który się obraca.....	267
33.	Weneckie wodospady.....	275
34.	Kapitan Spencer.....	281

Seria powieści dla młodzieży lubiącej przygody* tajemnice, zagadki.

Wrota Czasu

Antykwariat ze starymi mapami Dom Luster Wyspa Masek Kamienni strażnicy Pierwszy
Klucz Ukryte miasto Mistrz piorunów Labirynt cienia Lodowa kraina Ogród Popiołu